



# Mike Resnick

## Prorokini

Prophet

**Przełożył: Juliusz Wilczur Garztecki**

**Prószyński i S-ka**

**Warszawa 1997**

## Wróżbiarka T.3 Prorokini

---

*Carol, jak zwykle,  
oraz Dougowi Roemerowi,  
strażnikowi płomienia.*

# PROLOG

Był to czas gigantów.

W rozrastającej się Demokracji rodu ludzkiego nie mieli dla siebie dość miejsca do oddychania i wykazania swej siły; nęciły ich więc odległe, puste światy Wewnętrznej Granicy, przyciągały coraz bliżej jaśniejącego Jądra Galaktyki jak ćmy do płomienia. Och, mieścili się w ludzkich ciałach, przynajmniej większość z nich, niemniej byli gigantami. Nikt nie wiedział, dlaczego pojawili się aż w takiej liczbie w tym właśnie momencie historii ludzkości. Być może potrzebni byli w Galaktyce, pełnej po brzegi małych ludzi, owładniętych jeszcze mniejszymi marzeniami. Być może spowodowała to dzika wspaniałość samej Wewnętrznej Granicy, gdyż z pewnością nie była ona miejscem dla zwykłych mężczyzn i kobiet. A może nadszedł taki czas dla rasy, której w ostatnich tysiącleciach brakowało gigantów, że zaczęli się znowu rodzić.

Bez względu na to, jaki był tego powód, wyroili się poza najdalszy zasięg zbadanej Galaktyki, zanosząc nasienie Człowieka na setki nowych światów i równocześnie stwarzając cykl legend, które nie zginą tak długo, jak długo Człowiek zdolny będzie powtarzać opowieści o bohaterskich czynach.

Był więc Daleki Jones, który postawił stopę na ponad pięciuset nowych planetach, nigdy do końca niepewien czego szuka, lecz zawsze pewien, że tego nie znalazł.

Był Gwizdacz, który nie miał innego, niż to właśnie imię, i który zabił ponad stu ludzi i kosmitów.

Była Piątkowa Nelli, która przerobiła swój burdel na szpital podczas wojny przeciw Settom i wreszcie doczekała się tego, iż ci sami ludzie, którzy wcześniej próbowali go zamknąć, ogłosili to miejsce świątynią.

Był Dżamal, który nie zostawiał odcisków palców ani śladów stóp, ale rabował pałace, które po dziś dzień nie wiedzą,

że zostały obrabowane.

Był Zakład-o-Planetę Murphy, który różnymi czasy posiadał dziewięć różnych złotonośnych planet i stracił je co do jednej przy stołach gry.

Był Ben Ami Łamacz Kręgosłupów, idący w zapasy z kosmitami dla pieniędzy i zabijający ludzi dla przyjemności. Był Markiz Queensbury, który walczył nie stosując się do żadnych zasad i Biały Rycerz, albinos, zabójca pięćdziesięciu mężczyzn; Sally Klinga i Wieczny Chłopiec, który osiągnąwszy wiek lat dziewiętnastu po prostu przestał rosnąć przez następne dwa stulecia; Baker Katastrofa, pod którego stopami trzęsły się całe planety i egzotyczna Perła z Maracaibo; Szkarłatna Królowa, której grzechy przeklinały wszystkie rasy Galaktyki, i Ojciec Boże Narodzenie; Jednoręki Bandyta z morderczą protezą ręki i Matka Ziemia; Jaszczurka Malloy i zwodniczo łagodny Cementarny Smith.

Giganci. Wszyscy.

A jednak pojawił się gigant, któremu przeznaczone było wyrosnąć ponad wszystkich pozostałych, żonglować istnieniami ludzi i planet, jakby to były zabaweczki, napisać na nowo historię Wewnętrznej Granicy i Ramienia Spiralnego, a nawet samej wszechmocnej Demokracji. W różnych okresach swego krótkiego, burzliwego życia znana była jako Wróżbiarka, Wyrocznia i Prorokini. Gdy już zesza ze sceny galaktycznej, tylko garstka tych, co przeżyli, znała jej prawdziwe imię, planetę z której pochodziła, a nawet początek jej historii, bo tak się dzieje z gigantami i legendami.

# **CZĘŚĆ 1**

## **KSIĘGA TANCERZA GROBÓW**

### 1

Gorący, suchy wiatr omiatał powierzchnię Ostatniej Szansy, dalekiej planety na skraju Wewnętrznej Granicy. Wirujące tumany pyłu unosiły się na wysokości sześćdziesięciu stóp. Oddychanie stało się niemal niemożliwe, a nieliczne miejscowe zwierzęta zagrzebały się w ziemi, by przeczekać burzę piaskową.

Samotny mężczyzna w byle jakiej odzieży, z twarzą osłoniętą przed żywiołami maską pyłochłonną, szedł główną ulicą jedynej na planecie osady handlowej, nie patrząc w prawo ani w lewo. Drzwi opuszczonego budynku nagle uchyliły się, poruszone potęgą wichru, człowiek zaś natychmiast skulił się, wyciągnął broń i wystrzelił w miejsce, skąd dobiegł odgłos. Drzwi na chwilę przybrały kolor jaskrawego błękitu, a potem znikły. Człowiek przez chwilę trwał nieruchomo, a potem wetknął broń do kabury i podjął marsz w stronę jasno oświetlonego budynku, stojącego na końcu ulicy.

Zatrzymał się prawie dwadzieścia jardów od miejsca, do którego zdążał, stał z rękami na biodrach przyglądając się budowli. Ściany, choć wyglądały jak drewniane, zbudowano ze stopu tytanowego ze ścisłym wiązaniem molekularnym. Frontowa weranda miała dwoje dużych drzwi wiodących do zatłoczonego wnętrza Końca Trasy. Z miejsca, w którym stał, nie potrafił określić, którą część zajmował bar, a którą kasyno, choć przypuszczał, że kasyno znajduje się w głębi, gdzie łatwiej je chronić przed potencjalnymi rabusiami.

Drzwi rozsunęły się, mężczyzna natychmiast dał nura za pojazd stojący przed domem, jednocześnie wydobywając broń. Na werandzie pojawiła się wysoka kobieta; gdy wiatr sypnął jej



w oczy pyłem, cofnęła się do budynku, głośno kaszłąc.

Mężczyzna powrócił na swój posterunek i dalej gapił się na budowlę. Po jakimś czasie ruszył dalej, obszedł wokół budynku. Nie miał on żadnych okien, co nie było zaskoczeniem, biorąc pod uwagę siłę burz piaskowych. Mężczyzna słynął ze swej dokładności, dzięki niej udało mu się przeżyć tak długo. Zbadał więc metodycznie wszelkie sposoby dostania się do środka. Drzwi było wiele, ale wszystkie zamknięte, zapewne na klucz i z pewnością podłączone do systemu alarmowego. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wspiąć się na dach. Wejście po ścianie nie przekraczało jego możliwości, gdyż wskutek działania wiatru i piasku mur był szorstki. Ale ponieważ uznał, że nie zapewni mu to dostatecznej przewagi, więc odrzucił pomysł.

Wreszcie doszedł do wniosku, że nie ma wyboru, musi wejść frontowymi drzwiami. Nie zachwycało go to. Wolał nie zwracać na siebie uwagi, zanim nie otrzyma należnych mu pieniędzy. Nie miał jednak wyboru, a maska przeciwpyłowa przeszkadzała mu.

Zdał sobie sprawę, że od chwili gdy pojawiła się kobieta, trzyma broń w ręce, schował więc pistolet do kabury. Następnie ruszył na werandę i po chwili wkroczył do Końca Trasy. Zamierzał rozejrzeć się w środku, odnaleźć zwierzynę, na którą polował, splotać kurz w ustach jednym czy dwoma piwami, a potem wziąć się do roboty.

Wewnątrz, zgodnie z jego oczekiwaniem, panował tłok. Wzdłuż jednej ze ścian ciągnął się chromowany bar, po prawej ustawiono tuzin stolików. Klientela składała się w większości z ludzi, gdyż owa planeta była najbardziej wysuniętą placówką ludzkości, ale tu i ówdzie dostrzegł Canphorytów, Lodinitów, a nawet parę istot, jakich jeszcze nigdy nie widział.

Sala w głębi była równie obszerna jak tawerna, a jeszcze

bardziej zatłoczona. Dostrzegł tam stoły z ruletką, do gry w kości, do gry w pokera oraz dwa do gier hazardowych dla kosmitów. Przyjrzał się osobom siedzącym przy stołach, zastanawiając się, na którą z nich poluje. Ruszył do baru.

Łysiejący, lekko kulejący, otyły mężczyzna po drugiej stronie lady zwrócił się do niego:

- Dobry wieczór. Co mogę podać?

- Piwo.

- Już się robi - powiedział mężczyzna za barem. Odkręcił kurek i postawił pod nim kufel. - Nie widziałem cię jeszcze tutaj.

- Właśnie przybyłem.

- Mamy dziś parszywą pogodę - kontynuował barman. - Zwykle Ostatnia Szansa to całkiem przyjemne miejsce, nawet raczej chłodnawe.

- Nie przybyłem tu z powodu pogody.

- Dobrze. Więc się nie rozczarujesz.

Mężczyzna podniósł kufel do ust i jednym haustem wychylił połowę zawartości.

- Potrzebna mi pewna informacja - oświadczył, ocierając usta wierzchem dłoni.

- Jeśli będę coś wiedział, chętnie ci pomogę - odparł barman.

- Szukam kogoś.

- Znam tu prawie wszystkich. O kogo chodzi?

- O człowieka nazwiskiem Carlos Mendoza. Niektórzy nazywają go Lodziarzem.

- Mendoza, hę? - powtórzył barman. Rozejrzał się po sali.

- Jesteś mu winien pieniądze? Mogę mu je zanieść w twoim imieniu.

- Wystarczy, że mi go wskażesz.

- Mam nadzieję, że nie szukasz kłopotów - zauważył barman. - Mówią, że Mendoza to twardziel.

- Nie twój interes, czego szukam - rzekł zimno mężczyzna.  
- W porządku - odparł wzruszając ramionami barman. - Tak sobie tylko pomyślałem, że jeśli go nie znasz, to pewnie wynajęł cię ktoś, kto go zna. Chciałem ci zaoszczędzić tylko zbytecznych nieprzyjemności.

- Swoje myśli zachowaj dla Mendozy.

- Dobra - rzekł obojętnie barman. - Przynajmniej cię ostrzegłem.

- W porządku, ostrzegłeś - zgodził się mężczyzna. - A teraz wskaż mi go.

- Widzisz faceta siedzącego samotnie w kącie? - spytał barman. - Tego, który jest ubrany na czarno?

Mężczyzna kiwnął głową.

- Uzbrojony, jakby wybierał się na wojnę - stwierdził. - Pistolet laserowy, broń dźwiękowa, pistolet na pociski. Pewnie jeszcze ma za cholewą nóż.

- Prawdę mówiąc, ma nóż w każdym bucie - zgodził się barman. - Naprawdę jesteś pewien, że chcesz w to wejść?

- Taką mam robotę - odrzekł mężczyzna, odwracając się w stronę swej ofiary.

- Możesz porozmawiać - zaproponował barman. - Łodziarz zawsze woli rozmawiać niż walczyć.

- Doprawdy?

- Tak słyszałem.

- Nie płacą mi za rozmowę - odrzekł mężczyzna.

Zrobił kilka kroków w stronę człowieka w czerni, a potem zatrzymał się nagle.

- Mendoza - powiedział głośno.

Człowiek w czerni podniósł głowę, pozostali goście zamarli.

- Czy do mnie mówisz?

Palce mężczyzny zawisły nad kolbą pistoletu dźwiękowego.

- Czas umierać, Mendoza.
- Czyja cię znam? - spytał człowiek w czerni.
- To nieważne, ważne, że jestem ostatnią osobą, jaką ujrzysz w życiu.

Nagle nowo przybyły zachwiał się, a po jego twarzy przemknął wyraz zdziwienia. Zamrugał raptownie, jakby próbując pojąć, co się stało, potem jęknął i zwałił się na twarz. Z jego pleców wystawał wielki nóż.

Barman kulejąc zbliżył się do niego, wyciągnął nóż, ciśnięty przed chwilą z morderczą precyzją i wytarł go ścierką do naczyń.

- Coraz młodszy i głupszy - stwierdził, przewracając nogą martwego na plecy. - Nie ma sprawy, przyjaciele - oświadczył, podnosząc głos. - Po prostu nasz cotygodniowy gość skądś tam.

A ponieważ mówiący był tym, kim był, większość klientów uwierzyła mu na słowo i powróciła do drinków i gier. Człowiek w czerni podszedł, by obejrzeć trupa.

- Widziałeś go kiedyś? - zapytał barman.

- Nie - odparł tamten. - A ty, Lodziarzu? Lodziarz potrząsnął tysięcącą głową.

- Nie mam pojęcia, skąd się biorą. Ale w tym miesiącu to już czwarty. Ktoś naprawdę pragnie mojej śmierci. - Umilkł na chwilę. - I chciałbym wiedzieć, czemu. Nie ruszałem się z tej cholernej planety od blisko czterech lat.

- Gdybyś go nie zabił, być może dowiedziałbyś się - zauważył mężczyzna w czerni. - Ostatecznie właśnie po to mnie wynająłeś. Nie ułatwiasz mi roboty.

- Ułatwiłem ci zadanie - odparł Lodziarz. - On by cię załatwił. Człowiek w czarnym ubraniu zmarszczył brwi.

- Czemu tak uważasz?

Lodziarz przyklęknął, chwycił lewą dłoń trupa i pokazał jego palec wskazujący.

- Proteza - oświadczył. - Zauważyłem to przy barze, a gdy odwrócił się tyłem, dostrzegłem pod jego koszulą zasilacz. Kiedy ty wydobywałeś broń, on po prostu pokazałby cię palcem i wypaliłby ci w piersi dziurę na wylot.

- No, niech mnie diabli! - mruknął mężczyzna w czerni. - Coś mi się wydaje, że tym razem naprawdę ułatwiłeś mi robotę.

- Potrącę ci za to - odrzekł kwaśno Lodziarz.

- Wiesz co, któregoś dnia pojawi się ktoś, kto będzie wiedział, jak wyglądasz - zauważył mężczyzna. - I co wtedy zrobisz?

- Przypuszczam, że dam gdzieś nura - odparł Lodziarz. - A tymczasem przenieśmy naszego zmarłego przyjaciela do mego biura i przekonajmy się, czego możemy się o nim dowiedzieć.

- Mam przecucie, że i tym razem będzie tak samo, jak z poprzednimi, których mi opisywałeś - stwierdził jego rozmówca. - Żadnych dowodów tożsamości, brak odcisków palców, retinogram zmieniony chirurgicznie.

- Zapewne - zgodził się Lodziarz. - Ale tak czy inaczej zrobmy to.

Człowiek w czerni wzruszył ramionami i gestem przywołał paru innych mężczyzn, by podnieśli trupa. Ruszyli z nim w stronę kasyna.

Lodziarz natychmiast zastąpił im drogę.

- Nie możecie go nieść przez całą salę - stwierdził. - Mamy tu klientów. Jak by wam się podobało, gdyby ktoś taszczył przed wami trupa w chwili, gdy pijecie? - Głęboko westchnął.

Zmienił kierunek i wynieśli martwego głównym wejściem.

- Dobra - oświadczył człowiek w czerni. - Czy wreszcie powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi?

- Do wszystkich diabłów, sam chciałbym wiedzieć - odrzekł Lodziarz i pokuśtykał znów za bar, by nalać sobie piwa. Podał też szklankę człowiekowi w czerni, który jednak odmówił.

- Nie zabijaj następnego, to może się wreszcie dowiesz.

- Każdy, kto na Ostatniej Szansie chce mnie załatwić, umiera - odrzekł zdecydowanym tonem Lodziarz. - To część mitu, na którego tworzenie poświęciłem trzy dziesięciolecia. Jeśli pozwolę żyć choć jednemu z tych skurwysynów, mit stanie się bajeczką dla dzieci i zaczną się tu pojawiać, by mnie załatwić, co godzina, a nie co tydzień. Bogu wiadomo, że z biegiem lat narobiłem sobie dość wrogów.

- To po co w ogóle mnie wynajmowałeś? - spytał tamten z niechęcią.

- Sam powiedziałeś, że jeden z nich może mnie znać... A ja jestem już starcem z brzuchem piwosza i sztuczną nogą. Gdy wreszcie naprawdę okażesz się potrzebny, zapracujesz na swe pieniądze, nie ma strachu.

- Powinieneś mi pozwolić, abym okaleczył jednego z nich - powiedział czarno ubrany mężczyzna. - Wtedy dowiedzielibyśmy się czegoś.

- Chcesz kogoś okaleczyć? - zapytał Lodziarz. Wskazał gestem drzwi wejściowe. - Masz całą cholerną planetę, na której możesz to zrobić. Ale kiedy zjawiają się tu, w środku, obchodzi mnie tylko jedno: by zostać przy życiu. - Dopił piwo. - A więc jeśli chcesz popraktykować na ludziach, którzy przybywają tutaj, by zabić ciebie, to twój przywilej i życzę szczęścia... Ale ja nie dożyłbym tak podeszłego wieku, ryzykując w podobny spo-

sób.

- Mówią, że był taki czas, gdy ryzykowałeś - zauważył człowiek czerni. - I to niemało.

- Byłem młody. Zmądrzałem od tego czasu.

- Nie tak mi o tym opowiadano.

- Więc ktoś musiał ci nakłamać - stwierdził Lodziarz.

- Mówią nawet - kontynuował mężczyzna w czarnym ubraniu - że jesteś jedynym człowiekiem, który stał się z Wyrocznią i wygrał.

Lodziarz skrzywił się.

- Niczego nie wygrałem.

- Czy ona jeszcze żyje?

- Tak przypuszczam - odpowiedział Lodziarz. - Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek był zdolny ją zabić.

- Czy nie przyszło ci na myśl, że ona może stać za tym wszystkim?

- Ani przez chwilę.

- Czemu nie?

- Bo gdyby tak było, ja byłbym martwy - rzekł z całkowitą pewnością Lodziarz.

- Stawiłeś już jej czoło i żyjesz - upierał się człowiek w czerni.

- Zapomnij o niej - powiedział Lodziarz. - Ona nie ma z tym nic wspólnego.

- Jesteś pewien?

- Dla niej jestem czymś tak nie znaczącym, jak ziarnko piasku na bezkresnej plaży. - Przerwał na chwilę. - Jeśli ona jeszcze żyje, ma na głowie znacznie ważniejsze sprawy.

- Jakiego rodzaju sprawy?

- Mam diabelną nadzieję, że nigdy się tego nie dowiem - odparł poważnym tonem Lodziarz. - Chodzie - dodał. - Obejrzyjmy sobie ciało.

Skierowali się do jego biura, weszli do środka i tam znaleźli trupa, leżącego na wielkim, drewnianym biurku.

Człowiek w czerni starannie zbadał palce martwego.

- Brak linii papilarnych - oznajmił. - Cholernie dobra robota z tym sztucznym palcem. Wcale go nie zauważyłem. - Spojrzał na twarz leżącego. - Masz oftalmoskop?

- Nieduży, w środkowej szufladzie biurka - powiedział Lodziarz, szukając na ciele blizn i znaków szczególnych. - Ale nie jest podłączony do żadnego komputera.

- Mam przecucie, że połączenie z komputerem w przypadku tego faceta nie da niczego. Ale zobaczmy. - Przez chwilę spoglądał przez instrument, a potem odłożył go. - Taak, są zbliżnowacenia. Dwa do jednego, że nigdzie nie zostały zarejestrowane.

- Broń także bez numerów seryjnych - zauważył Lodziarz. - Dziwne. Tutaj, na Wewnętrznej Granicy, większość zabójców wybiera fantazyjne imiona i przechwala się swymi wyczynami. Ale ten, to już czwarty z rzędu, który nie ma nazwiska, żadnych dokumentów ani reputacji.

- Ale piękne buty - stwierdził czarno ubrany mężczyzna.

- Też tak sądzę.

- Bardzo piękne.

- Szukałem etykiet albo firmy producenta - oświadczył Lodziarz. - Brak czegokolwiek.

Człowiek w czerni nie odrywał spojrzenia od butów.

- Czy widzisz coś, co umknęło mej uwadze? - zapytał, nagle zainteresowany Lodziarz.

- Możliwe - powiedział tamten, ściągając but z nogi trupa i oglądając go uważnie.

- W odbitym świetle wygląda niebieskawo - skomentował Lodziarz.

- Wiem - powiedział czarno ubrany człowiek. Wręczył but



Lodziarzowi. - Na Wewnętrznej Granicy nie ma wielu błękitnych gadów. A ja wiem tylko o jednym z łuskami ułożonymi w koła.

- O?

Człowiek w czerni skinął głową.

- Wielki sukinsyn. Żyje na planecie zwanej Szara Chmura, w Gromadzie Quinellus. - Zastanowił się przez moment. - Nazywają go Smokiem Błękitnego Ognia. Może połknąć cię w całości, a potem zacząć rozglądać się za głównym daniem.

- Jak wielką planetą jest Szara Chmura?

- Mniej więcej tej wielkości co Ostatnia Szansa, może nieco mniejsza.

- Tlenowa? - Tak.

- Jakież rozumne istoty żyjące?

- Nie, od chwili gdy spacyfikowaliśmy ją parę stuleci temu - odrzekł człowiek w czarnej odzieży.

- Ilu Ludzi?

- Z siedem tysięcy, w większości górnicy i akwafarmerzy. To planeta pokryta w większości słodkowodnym oceanem, z garścią wysp i jednym, bardzo małym kontynentem.

- Czy ma duży eksport? Człowiek w czerni potrząsnął głową.

- Za mała. Prawdopodobnie statek pocztowy albo towary odwiedzają siedem lub osiem razy na rok.

- Tak więc - kontynuował Lodziarz - jeśli nasz morderca nosił buty z tamtejszego jaszczura...

- Jest całkiem poważna możliwość, że kupił je właśnie tam - zakończył człowiek w czerni.

- Wyglądają, jakby były całkiem nowe - oświadczył Lodziarz, uważnie przyjrawszy się butom. - Myślę, że mógłbyś złożyć krótką wizytę na Szarej Chmurze. Zrób parę hologra-

mów naszemu przyjacielowi, nim go pochowamy, i dowiedz się, czy ktoś wie, kim był lub dla kogo pracował.

- Zakładam, że podczas mej nieobecności nic ci się nie stanie?

- Dam sobie radę - odrzekł sucho Lodziarz. - A nawiasem mówiąc, jeśli Szara Chmura leży tak daleko od uczęszczanych szlaków, jakim sposobem dowiedziałeś się o tym Smoku Błękitnego Ognia?

- Byłem tam.

- Kiedy?

Człowiek w czarnym ubraniu wzruszył ramionami.

- Och, z osiem czy dziesięć lat temu.

- W interesach?

- W pewnym sensie - odparł tamten wymijająco.

- Dobrze - rzekł Lodziarz. - Więc będziesz tam miał jakieś kontakty, ludzi, z którymi możesz porozmawiać.

Człowiek w czerni potrząsnął głową.

- Żaden z tych, których tam znałem, nie żyje.

- Od jak dawna?

- Od ośmiu lub dziesięciu lat. Lodziarz uśmiechnął się ponuro.

- Nic dziwnego, że nazywają cię Tancerzem Grobów.

### 2

Jego prawdziwe imię i nazwisko brzmiało Felix Lomax, a używał go przez pierwsze dwadzieścia sześć lat życia. Ale na Wewnętrznej Granicy nazwiska mają skłonność do zmian, podlegają metamorfozom, by dostosowywać się do charakterów ludzi, którzy je noszą. Początkowo był Pionierem, członkiem owej grupy znakomicie wykształconych specjalistów, otwierających dla Demokracji nowe planety, terraformujących je, gdy zachodziła potrzeba, katalogujących różnorodne formy życia, planujących osiedla, analizujących próbki gleby, minerałów i wód, by określić jakiego rodzaju koloniści okażą się najbardziej produktywni: górnicy, farmerzy, akwafarmerzy czy jeszcze inni. Jego specjalizacją była pacyfikacja. Eufemizmem tym określano dziesiątkowanie miejscowej ludności. Pionier robił to tak długo, aż wszyscy byli gotowi zgodzić się na kolonizację... Albo też, w niektórych wypadkach, póki nie było już nikogo, kto mógłby wyrazić sprzeciw.

W tym okresie swego życia występował jako Podwójny X. Było to łatwe do zidentyfikowania imię kodowe, oparte na pisowni jego prawdziwego imienia i nazwiska. (Lepiej było nie używać prawdziwych nazwisk, na wypadek, gdyby pewne istoty, które przeżyły proces pacyfikacji, darzyły większą nienawiścią narzędzia polityki, niż tych, którzy ją ustalali w swych wysokich na milę biurach na Deluros VIII, stołecznej planecie Człowieka, czując się błogo i bezpiecznie w sercu Demokracji.)

Po czterech latach pacyfikowania kosmicznych ludów, na planecie Innisfree coś się wydarzyło. Nigdy o tym nie opowiadał, nigdy nie zrobił o tym żadnej wzmianki w oficjalnym raporcie, ale w samym środku kampanii złożył dymisję i poleciał na We-

wnętrzną Granicę. Na Backgammon II kupił obszerne ranczo i następane dwa lata poświęcił hodowli zmutowanego bydła: wielkich, ważących po trzy tysiące funtów okazów, które sprzedawał Marynarce Wojennej. W tym okresie nazywał się Felix Markotny, gdyż nigdy się nie uśmiechał, nie żartował, wydawało się też, że nic go nie interesuje.

Wreszcie odrzucił dręczące go demony i zagłębił się dalej w Wewnętrzną Granicę, wracając do rzemiosła, które znał najlepiej: zabijania. Przez krótki czas znany był jako Człowiek w Czerni, bo nosił ubranie tylko tego koloru. Ale na Granicy żyło jeszcze czterech innych Ludzi w Czerni i nie upłynęło wiele czasu, gdy nadano mu przezwisko Tancerza Grobów i tak już pozostało. Nie dlatego, by kiedykolwiek tańczył na cmentarzach lub je odwiedzał, ale jeśli lądował na jakiejś planecie, pozostawało tylko kwestią czasu, że kogoś trzeba będzie odwiedzić na cmentarz.

Jego osobowość niewiele się zmieniła. Nadal się nie uśmiechał i wyglądało na to, że nie uważa, aby zawód, który wykonuje, był powodem do dumy. Wkrótce jego reputacja zaczęła go wyprzedzać i nie brakowało mu klientów. Przebierał w nich i przyjmował tylko tych, którzy go zainteresowali. W taki właśnie sposób zaczął pracować dla Lodziarza, który stał się już legendą, co w przypadku człowieka żyjącego na Wewnętrznej Granicy jest wielką rzadkością.

Niezbyt dużo wiedział o Lodziarzu, nikt nie znał go dobrze. Ale wiedział, że człowiek ten swego czasu stawił czoło kobiecie, która była Wróżbiarką, a potem Wyrocznią, i przeżył, by o tym opowiedzieć. I tylko on mógł się poszczycić takim dokonaniem. Tancerz Grobów sądził, że Lodziarz jest ostatnim człowiekiem na Granicy, który potrzebowałby ochrony. Tak więc, gdy nadeszła oferta, pobudziło to jego zainteresowanie do tego

stopnia, że przyjął zlecenie. Nie przypuszczał, że będzie to wymagało ponownej wizyty na Szarej Chmurze. Ale nawet gdyby wiedział, nie zrezygnowałby z podobnego zajęcia.

Gdy jego statek wyhamował do szybkości podświetlonej, a na ekranie wizyjnym ukazał się obraz wodnej planety, sprawdził swój arsenał, wybrał broń, która, jak uważał, będzie najskuteczniejsza w takim środowisku naturalnym, i poprosił o pozwolenie na lądowanie w małym kosmoporcie jedyne go kontynentu.

- Proszę o podanie swojej tożsamości - powiedział metaliczny głos, przerywany trzaskiem zakłóceń.

- Tu „Peacekeeper”, dowódca Felix Lomax, po pięciu dniach lotu z Ostatniej Szansy.

- Pozwolenia odmówiono.

- Dlaczego?

- Jesteś Felixem Lomaxem, znanym także jako Tancerz Grobów, prawda?

- Owszem, tak mnie nazywano.

- Oczekuje tu dziewięć nakazów aresztowania, wystawionych na twoje nazwisko, wszystkie za morderstwa.

- Tym bardziej powinniście chcieć mnie zatrzymać - odparł Lomax.

- Tancerzu Grobów, nie ma tu nikogo, kto byłby zdolny do zaareztowania cię wbrew twojej woli - powiedział głos. - Zakładam, że nie przybyłeś tutaj, by oddać się w ręce władz.

- Słuszne założenie.

- Wobec tego nie zezwalamy ci na lądowanie. Jeśli spróbujesz osiąść na Szarej Chmurze, ostrzelamy twój statek i zniszczymy go, zanim zdołasz wylądować.

- Chwileczkę - rzekł Lomax, przerywając połączenie. Poleciał swemu komputerowi przeskanować kosmoport i jego bliskie otoczenie w poszukiwaniu uzbrojenia. Nie znalazł

niczego, zresztą nie spodziewał się, by tak rzadko zaludniona planeta mogła posiadać jakieś urządzenia obronne.

- Ładna próba, Szara Chmuro - oświadczył, włączając ponownie radio. - A teraz proszę podać mi koordynaty do lądowania.

- Odmowa.

- Ląduję, czy wam się to podoba, czy nie. Jeśli nie podacie mi koordynatów, lepiej oczyśćcie niebo albo ryzykujecie kolizję nad lądowiskiem. „Peacekeeper”, bez odbioru.

Opuścił orbitę i wszedł na eliptyczną ścieżkę w kierunku kosmoportu, wylądował około dwudziestu minut później. Polecił czujnikom statku przeskanować otoczenie w poszukiwaniu uzbrojonego personelu, nie znalazł niczego, włączył szereg urządzeń zabezpieczających i wreszcie wynurzył się ze śluzy, schowawszy w skórzanej torbie, którą przewiesił przez lewe ramię, buty i hologram nieżywego mężczyzny.

Przeszedł z pół mili, minął dwa małe hangary, skierował się ku głównej kontroli ruchu i budynkowi dla przybywających. Wszedł tam, mając się cały czas na baczności. W środku siedziało czworo urzędników, zajętych swoimi sprawami, jeden mężczyzna i trzy kobiety. Żadne z nich nie podniosło głowy ani nie okazało, że zauważają jego obecność. Dopiero kiedy chrząknął, troje z nich zaczęło kręcić się nerwowo. Podszedł do czwartej osoby, szpakowatej kobiety, i stanął przed nią.

- Tak? - zapytała chłodno.

- Potrzebny mi środek transportu do miasta - powiedział.

- Czy ja wyglądam na szofera? - zapytała.

- Jeśli go nie znajdę, też się nadasz.

- Spadaj i daj mi spokój, panie Lomax - oświadczyła. - Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

- Czy ja cię znam? - zapytał.

- Nie, ale ja znam ciebie - spoglądała na niego nienawistnie.

- To powiedz mi, gdzie mogę znaleźć kogoś, kto podwiezie mnie do miasta, i nie będziesz musiała mi się przyglądać.

- Nie pomogłabym ci nawet, gdybyś się wykrwawiał na śmierć, leżąc na ulicy - powiedziała.

Przyglądał jej się przez długą chwilę.

- Niech będzie, jak chcesz - rzekł wreszcie. - Ale - dodał - zanim odejdę, powinienem cię zawiadomić, że jeśli ktokolwiek dotknie mego statku, nastąpi eksplozja, która zrówna z ziemią kosmoport i wszystko, co znajduje się w promieniu dwóch mil od niego.

Potem zawrócił na pięcie i ruszył do głównego wyjścia. Parking był prawie pusty. Ta słabo zaludniona planeta prawie nie utrzymywała kontaktów z resztą Galaktyki. Gdy tak stał z rękami na biodrach, zastanawiając się, co robić dalej, podjechał nieduży samochód: Lomax podszedł do niego i, zanim kierowca zdołał wysiąść, otworzył drzwiczki od strony miejsca dla pasażera.

- Co tu się dzieje? - spytał kierowca, młody człowiek ledwie po dwudziestce.

- Płacę ci pięćdziesiąt kredytów za odwiezienie mnie do miasta - powiedział Lomax.

- Cholerę w bok! - warknął młodzieniec. - Muszę odebrać transport części do komputera.

- Mogą poczekać.

Lomax usiadł, wyciągnął pistolet dźwiękowy i wycelował w chłopaka.

- To nie była prośba - powiedział spokojnie.

- Coś ty za jeden? - spytał kierowca. - O co, u diabła, w tym wszystkim chodzi?

- Po prostu jestem facetem, który potrzebuje, żeby ktoś

go podwiózł do miasta - odparł Lomax. - A teraz jedź.

- Czemu nie weźmiesz aerotaxi? - spytał chłopiec, zawracając wóz.

- Nie wiedziałem, że je tu macie.

- Mamy. Mogę cię podwieźć do ich hangaru.

- Nie chciałem cię narażać na kłopoty - zauważył Lomax. - Po prostu jedź przed siebie.

Młody człowiek przyjrzał mu się i nagle wyraz jego twarzy się zmienił.

- Ty jesteś nim, prawda? - powiedział.

- Kim?

- Tancerzem Grobów.

- Niektórzy ludzie tak mnie nazywają.

- Cholera! - zaklął młodzieniec, szczerząc zęby i waląc dłonią w tablicę rozdzielczą. - Tancerz Grobów we własnej osobie, w moim samochodzie! - Zwrócił się do Lomaxa. - Po co tu przyjechałeś?

- Interesy.

- Kogo zabijesz?

- Nikogo.

- Mnie możesz powiedzieć - nalegał młody człowiek. - Jestem po twojej stronie.

- Przybyłem tu tylko po to, by pogadać z miejscowym szewcem. Młodzieniec parsknął pogardliwie.

- Dajże spokój, Tancerzu Grobów. Czy oczekujesz, iż wierzę, że przebyłeś całą drogę na Szarą Chmurę tylko po to, aby kupić parę butów?

- Nie obchodzi mnie, w co wierzysz - stwierdził Lomax. - Tylko zawieź mnie tam, gdzie chcę. - Przerwał. - Możesz ruszać do miasta.

Młody człowiek uruchomił pojazd i w chwilę później jechali drogą równoległą do wybrzeża oceanu.



- Zastanawiałem się, czy kiedykolwiek powrócisz. - Jesteś zbyt młody, by mnie pamiętać - zauważył Lomax.

- Gdy ostatnio byłeś na naszej planecie, miałem dwanaście lat - odparł młodzieniec. - Widziałem, jak załatwiłeś dziewiciu mężczyzn naraz. - Przerwał, a potem wyciągnął rękę. - Nazywam się Neil. Neil Cayman.

Lomax spojrział przelotnie na podaną dłoń, a potem krótko ją uściskał.

- Felix Lomax.

Neil potrząsnął głową.

- Nie, ty jesteś Tancerzem Grobów. - Przerwał. - Dokąd polecisz, kiedy załatwisz tu swoje sprawy?

Lomax wzruszył ramionami.

- Wszystko zależy od tego, czego się dowiem podczas pobytu tutaj.

Neil zamyślił się na chwilę, a potem się odezwał:

- Czy nie chciałbyś towarzystwa?

- Gdzie?

- Tam - powiedział, machnąwszy ręką w stronę nieba. - Całe życie spędziłem na tym światku. Chciałbym zobaczyć coś odmiennego.

- Pracuję w pojedynkę.

- Mogę ci się przydać.

- Na każdej cholernej planecie, gdzie ląduję, zawsze się trafia jakiś młody chłopak, który chce odlecieć ze mną i zdobyć sławę na Wewnętrznej Granicy - odparł Lomax. - Większość z nich umiera, zanim przedsiębiorca pogrzebowy dowie się, jakie nazwisko umieścić na ich nagrobkach.

- Ja jestem inny - powiedział Neil.

- Taak, wiem - odrzekł Lomax. - Wszyscy jesteście inni.

- Spędziłem całe życie na Szarej Chmurze - kontynuował Neil.

- Chcę zobaczyć, co jest tam, poza nią.
  - Idź do agencji turystycznej - poradził Lomax. - Dłużej pożyjesz.
  - Nie chcę oglądać tego, co turyści - upierał się Neil. - Chcę zobaczyć, jak naprawdę wyglądają planety, jak naprawdę żyją ludzie.
  - Przerwał. - Zaoszczędziłem trochę pieniędzy. Mogę być gotów do podróży dziś po południu.
  - Nie ze mną - stwierdził Lomax.
  - Zrobię wszystko, czego ode mnie zażadasz.
  - Nie jestem zainteresowany.
- Droga skręciła w głąb łądu i prowadziła wśród gęstej, tropikalnej roślinności, która stawała się coraz rzadsza, w miarę jak oddalali się od oceanu.
- Muszą być takie miejsca, gdzie znają twoją twarz, gdzie ludzie uciekają, gdy przybywasz. Mogę tam zdobywać informacje dla ciebie.
  - Dzień dzisiejszy jest wyjątkowy - rzekł Lomax. - Zwykle szukam ludzi, nie informacji.
  - Mogę ich odnajdywać dla ciebie, informować cię o ich przyzwyczajeniach. Nie chcę żadnej zapłaty - kontynuował młodzieniec.
  - Chcę tylko opuścić tę nudną, małą planetkę i podróżować z kimś takim jak ty.
  - Podziwiam twój upór - stwierdził Lomax. - Ale odpowiedź jest nadal taka sama.
  - Popędzasz błąd, Tancerzu Grobów. Lomax wzruszył ramionami.
  - Możliwe. Popędziłem je już wcześniej.
  - Więc pozwól mi odlecieć z tobą.
  - Nauczyłem się także wyciągać wnioski ze swoich błę-

dów - rzekł Lomax. - Temat jest zamknięty.

Wjechali do małego miasteczka. Była tu jedna, szeroka ulica z jakimiś czterema tuzinami sklepów i składów, stary hotel i dwie restauracje, z których jedna obsługiwała klientów na ocienionym, zewnętrznym tarasie. Neil zatrzymał się przed sklepem, w połowie długości ulicy.

- Poczekam tu na ciebie - oznajmił.

Lomax bez słowa wysiadł z samochodu i wszedł do sklepu. Mieścił się on w ciepłym, zakurzonej, parterowym budynku, gdzie wystawiono w oknach wiele towarów skórzanych: płaszcze, kurtki, pasy, kapelusze, buty. W głębi wisały płyty różnych skór, na ścianach zaś starannie rozwieszono liczne futra.

- Tak? - Z głębi pomieszczenia wynurzył się chudy, łysiejący mężczyzna. - Czym mogę ci służyć?

Lomax sięgnął do swej skórzanej torby i wyciągnął jeden z butów zabitego.

- Czy rozpoznajesz to?

Starzec podniósł but na chwilę do światła.

- Zrobiony ze skóry Smoka Błękitnego Ognia - orzekł.

- Ty go zrobiłeś?

- Jeśli jeszcze ktokolwiek inny na Granicy je robi, to pewne jak śmierć, że o nim nie słyszałem. - Ponownie zbadał but. - To była robota na zamówienie, owszem. Nie ma na niej mojej etykiety.

- Ile na rok robisz butów na zamówienie?

- Och, może z pięćdziesiąt par.

- Ze Smoków Błękitnego Ognia?

- Może dwie albo trzy.

- Dobrze - stwierdził Lomax, wyciągając hologram i wręczając go mężczyźnie. - Czy go poznajesz?

- Wygląda na martwego - zauważył stary.

- Bo jest. Czy go znasz? Tamten kiwnął głową.

- Taak, zrobiłem mu buty z osiem czy dziesięć miesięcy temu.

- Co możesz mi o nim coś powiedzieć?

- Prawdę mówiąc, nie był rozmowny - odrzekł starzec. - Wydaje mi się, że cały czas spędził w barze naprzeciwko, potem odebrał swe buty i zniknął.

- Czy podał jakieś nazwisko?

- Zjrzyj do zapisów - odparł stary, uruchamiając komputer. - Taak. Nazywa się... nazywał... Cole. Jason Cole.

- Czy zapłacił gotówką? - spytał Lomax.

- Tak.

- Więc nie wiesz, na jakiej planecie ma rachunek bankowy?

- To zapewne Olympus - odpowiedział starzec. - To jest... niechże pomyślę sobie... Alfa Hayakawa IV.

- Czemu sądzisz, że rachunek bankowy ma na Olympusie?

- Buty spodobały mu się tak bardzo, że zamówił drugą parę. Polecił mi, bym je wysłał na adres na Olympusie.

- Jaki adres?

- Noo, hmm, to jest informacja zastrzeżona - powiedział stary, patrząc na Lomaxa.

- Ja nazwałbym ją informacją kosztowną - odrzekł Lomax, kładąc na ladzie dwa dwustukredytowe banknoty.

- Cóż, biorąc pod uwagę, że biedak zmarł, przypuszczam, że to nikomu nie wyrządzi żadnej szkody - stwierdził stary, chciwie chwytając pieniądze i wpychając je do skórzanej sakiewki na szyi. - Komputer, wydrukuj adres Jasona Cole'a - poleciał.

Adres pojawił się szybko i stary wręczył go Lomaxowi.

- Rzekłbym: pomyślnych łowów - skomentował starzec. - Ale wygląda na to, że łowy już się odbyły.

- Mam przecucie, że dopiero się zaczynają.
- No, w takim wypadku, powodzenia, Tancerzu Grobów.
- Znasz mnie? - zapytał ostro Lomax.
- Trudno byłoby cię zapomnieć - odrzekł stary. - W ciągu pół wieku działa się na Szarej Chmurze coś ciekawego tylko wtedy, kiedy ty się pojawiłeś. - Nie kłopotz się, że zawiadomię władze, czy zrobię cokolwiek. Po pierwsze, zapewne nikt nie potrafiłby cię powstrzymać; po drugie zaś większość z tych, których zabiłeś, zasługiwała na to.
- Dzięki.
- Ale pozwól, Tancerzu Grobów, że dam ci jedną radę. - Jaką?
- Czy mam rację, sądząc, że teraz wybierasz się na wycieczkę na Olympusa?
- Być może masz.
- Na twoim miejscu byłbym naprawdę ostrożny. - O?
- Stary kiwnął głową.
- Od czasu do czasu słyszę różne rzeczy od przejezdnych. - Jakiego rodzaju rzeczy?
- Och, niezbyt dbam o szczegóły - odpowiedział starzec. - Wiesz, że w tych stronach ludzie są skłonni do wygłaszania przesadnych opinii. Ale ci, którzy w ogóle chcą o tym mówić, nie określają Olympusa jako szczególnie przyjazne miejsce.
- Będę o tym pamiętał - zapewnił Lomax, kierując się ku drzwiom.
- Czy, póki tu jeszcze jesteś, mógłbym cię zainteresować parą butów? - zawołał za nim starzec. - A może chciałbyś nową kaburę na któryś ze swoich pistoletów?
- Może następnym razem - odrzekł Lomax.
- Ludzie twojej profesji zwykle nie żyją tak długo, by przyjeżdżać tu następnym razem - stwierdził stary z półuśmie-

kiem samozadowolenia. - A to już druga twoja podróż tutaj, więc żyjesz w pożyczonym czasie.

- Następnym razem - powtórzył Lomax, wychodząc na ulicę.

Neil otworzył drzwi wozu.

- Czy znalazłeś to, czego szukałeś? - zapytał.

- Być może - odpowiedział Lomax, sadowiąc się na swym miejscu. - Przynajmniej wiem, dokąd teraz polecę.

- Dokąd?

Lomax uśmiechnął się.

- Gdzie indziej - zbył go.

Do kosmoportu jechali w milczeniu.

- Jesteś pewien, że mnie nie zabierzesz? - spytał Neil parkując wóz.

- Chłopcze, na Szarej Chmurze będziesz żył dłużej.

- Myślałem, że to jakoś, nie długość życia się liczy - odpowiedział z ironią Neil.

- Miałeś błędne informacje.

Neil wysiadł z pojazdu i skierował się do portu towarowego, Lomax zaś wszedł do głównego budynku.

Szpakowata niewiasta, która niedawno odmówiła mu pomocy, spojrzała na niego groźnie, ale pod maską nienawiści dostrzegł ślad zadowolenia, przelotny błysk triumfu.

Wolnym krokiem podszedł do drzwi prowadzących na lądowisko, uważnie badając wzrokiem otoczenie. Dwóch mechaników w ołowianych strojach ochronnych z wielką ostrożnością niosło mały pakiet plutonu, by odnowić paliwo w starym, ciągle jeszcze atomowo napędzanym transportowcu. Trzyosobowa drużyna łatała kilka pęknięć i wyboji na przyległym pasie startowym. Poza tym panował spokój. Nagle dostrzegł kątem oka jakiś ruch na dachu hangaru. Odwrócił się twarzą w tamtą

stronę, ale nie zauważył niczego niezwykłego.

Zapalił cygaro, oparł się leniwie o ścianę i nadal badał wzrokiem pole startowe. W chwilę później na dachu drugiego hangaru pojawił się błysk słońca, odbitego od czegoś metalicznego.

Przeszedł do miejsca, gdzie znajdowała się książka wideofonów, wybrał na chybił-trafił nazwisko, a potem podszedł do szpakowatej kobiety.

- Zadzwoń do Jonathana Sturma i powiedz mu, że Tancerz Grobów jest w drodze do niego. Do zachodu słońca ma czas na uporządkowanie swych spraw i pojednanie się z takim bogiem, jakiego czci - oświadczył i wyszedł głównym wejściem, nim mógł usłyszeć odpowiedź lub odmowę.

Wsiadł do samochodu Neila i czekał jego powrotu. Po chwili chłopak wyłonił się z portu towarowego, niosąc pudło części komputerowych.

- Myślałem, że do tej pory już cię tu nie będzie - rzekł zaskoczony Neil.

- Zmiana planów - powiadomił go Lomax. - Czy masz własny statek?

Neil zrobił rozbawioną minę.

- Skąd niby miałbym go wziąć?

- A twoi rodzice lub pracodawca?

- No, taak, mój szef ma małą czteromiejscówkę. - Tu?

- Tak - odrzekł młodzieniec. - Jest w jednym z hangarów.

- Czy pozwolą ci wyprowadzić ją na lądowisko?

- Tak sądzę.

Lomax odliczył pięć banknotów o wysokich nominatach.

- Za jakieś trzy godziny zajdzie słońce. Zrób to wtedy.

- Gdy tylko odkryją, że ci pomogłem, zostanę aresztowany. Lomax potrząsnął głową.

- Będziesz miał mnóstwo czasu na sfabrykowanie alibi.

Prawie wszyscy gliniarze tej planety będą czekać na mnie w domu Jonathana Sturma.

- Sturm? Co masz przeciw niemu?
- Nic - odparł Lomax. - Nie znam człowieka.
- Więc czemu...?
- Zrób tylko to, co powiedziałem, okay?

Neil wpatrzył się w niego.

- Rozumiem, że przygotowali tam na ciebie pułapkę? - spytał wreszcie.

Lomax skinął głową.

- Czy mi pomożesz?  
- Nie uwierzę, że ktoś taki jak ty nie mógłby załatwić ich wszystkich.

- Być może mógłbym - zgodził się Lomax. - Ale nikt mi za to nie płaci. A gdy się ciągle ryzykuje własne życie, człowiek dowiaduje się, jaki to cenny towar. Jeśli będę musiał przedostać się do mego statku walcząc, zrobię to. Ale jeśli znajdzie się łatwiejszy sposób, wybiorę go bez wahania. - Przerwał. - Muszę ukryć się do zachodu słońca, a potem potrzebuję, abyś przesunął twój statek. - Spojrzał na młodzieńca. - A więc pomożesz mi czy nie?

- Tak, pomogę ci, Tancerzu Grobów.
- Dobrze.
- Pod jednym warunkiem. - O?
- Weź mnie ze sobą. Mam po uszy tej planety.
- Powiedziałem ci... Neil oddał mu pieniądze.
- Taka jest moja cena. Lomax skrzywił się.
- Zgoda, umowa stoi - powiedział w końcu.



### 3

Neil podjął z banku wszystkie swoje pieniądze, a potem zaparkował w ustronnym miejscu, gdzie wraz z Lomaxem czekali, aż noc zapadnie. Wtedy pojechali znów do kosmoportu, gdzie Neil podszedł do hangaru i polecił wyprowadzić statek swego pracodawcy na wzmocnioną powierzchnię pasa startowego. Gdy komputer statku czekał na zezwolenie startu, młodzieniec wyskoczył z kokpitu i zatrzymał pierwszego napotkanego pracownika bezpieczeństwa.

- Coś jest nie tak! - wydyszał.

- Co? - spytał zagadnięty.

- Ktoś ukrył się w luku towarowym mego statku; komputer wykrył dodatkowy ciężar. Tylko mignął mi. Jest ubrany całkiem na czarno.

- Trzymaj się z dala od statku - polecił mu pracownik bezpieczeństwa. - Weźmiemy się do tego zaraz.

Ukryty w cieniu Lomax obserwował akcję tak długo, dopóki nie przekonał się, że cały personel bezpieczeństwa otoczył statek pracodawcy Neila. Potem podszedł szybko i bezgłośnie do własnego statku, gdzie znalazł młodzieńca oczekującego przy śluzie.

- Ale numer - wyszczerzył zęby Neil, gdy Lomax wypowiedział właściwy kod otwarcia śluzy bez detonowania systemu bezpieczeństwa wewnątrz statku.

- W drogę - rzekł Lomax, wchodząc do statku. - W chwili gdy uruchomię zapłon, będą wiedzieli, że wystrychnąłem ich na dudka. Wal się na siedzenie, zapnij pasy i módl się, aby nikt nie zbliżył się do naszej trajektorii lotu.

- Nikt nigdy tu nie przylatuje - zapewnił Neil, sadowiąc się

w ciasnym kokpicie. - Dlatego chcę się stąd wynieść do wszystkich diabłów.

Lomax wgrał koordynaty Olympusa do komputera nawigacyjnego, odczekał, aż ten wybrał ścieżkę lotu, a potem włączył zapłon. Tak jak przypuszczał, wszyscy zbrojni funkcjonariusze ruszyli w ich kierunku, ale udało mu się wystartować, nim strzały zdołały wyrządzić jakąkolwiek szkodę.

- A więc dokąd lecimy? - zapytał Neil Cayman, gdy opuścili system planetarny Szarej Chmury i osiągnęli szybkość światła.

- Olympus - odrzekł Lomax.

Młody człowiek polecił komputerowi rzucić na ścianę hologram kartograficzny.

- Nie mogę go znaleźć - oświadczył po chwili.

- Spróbuj Alfa Hayakawa IV - podsunął Lomax.

- Zgadza się. Jest tutaj. Zastanawiam się, po co dwie nazwy?

- To typowe - odpowiedział Lomax. - Większość planet otrzymuje nazwy od imion szefów zespołów Pionierów, które je otworzyły. Cyfry rzymskie oznaczają, jak daleko od swego słońca znajduje się dana planeta. Każdy inny numer informuje, ile planet Pionier poprzednio otworzył.

- Nie rozumiem cię.

- To jest Alfa Hayakawa IV - wyjaśnił Lomax. - Co oznacza, że została po raz pierwszy wniesiona na mapy przez mężczyznę czy kobietę nazwiskiem Hayakawa i że jest czwartą planetą, licząc od podwójnego słońca. Ale jeśli zajrysz gdzie indziej, możesz także dowiedzieć się, że jest to jones 39 albo jones 22, co oznacza, że to trzydziesta dziewiąta lub dwudziesta druga planeta, otwarta przez jakiegoś faceta z Korpusu Pionierów, nazwiskiem Jones. - Przerwał. - I oczywiście kiedy tylko pojawiają się osadnicy, od razu zmieniają nazwę. Zapewne jest tam

jakaś góra, wyglądająca jak hologram góry Olimp na Ziemi, a może pierwszy gubernator był grekoznawcą, a może mieli wojnę domową i generał zwycięskiej strony nazywał się Olympus.

- To bardzo mylące, prawda? - powiedział Neil. - Uczyc się wszystkich tych nazw.

- I jeszcze bardziej, gdy miejscowe formy życia mają własną nazwę dla swojej planety - rzekł z uśmiechem Lomax. - Po jakimś czasie zaczyna się chwytac, co jest grane.

- Podoba mi się pomysł, by mieszkańcy sami wybierali nazwę swej planety - oświadczył Neil. - Teraz, gdy lecę na Granicę, chcę wybrać sobie imię.

- Już je masz.

- Nie lubię go. Chcę czegoś równie barwnego jak Tancerz Grobów, Katastrofa Baker czy Cmentarny Smith.

- Twoje prawo, jak sądzę. - Lomax włączył autopilota, odpiął pasy i wstał, przeciągając się.

- Tak sądzisz? - zapytał Neil, idąc za nim do luku bagażowego, przebudowanego na salonik z dwoma wygodnymi fotelami, przymocowanymi do podłogi.

Lomax usiadł i zapalił cygaretkę.

- Jeśli jesteś w czymkolwiek dobry, zwykle przekonujesz się, że ktoś już wybrał dla ciebie imię, określające rodzaj twoich zdolności. Takie miano przykleja się do ciebie, czy ci się to podoba czy nie.

- Mogę długo na to czekać - oświadczył smutno młodzieniec, siadając naprzeciw Lomaxa. - Jedyne, w czym jestem naprawdę dobry, to marzenie, by zostać kimś innym.

- To już jest początek.

- Doprawdy?

- Słyszałeś kiedyś o Dalekim Jonesie?

- Nie. Kto to taki?

- Stary człowiek, który odwiedził zapewne sześćset czy siedemset planet.

- Czy jest badaczem? - Nie.

- Kartografem? Lomax potrząsnął głową.

- Mówią, że gdy był tak młody jak ty, zakochał się w dziewczynie na Binderze X. Nikt nie wie, co się stało, ale jasne jest, że musiał zrobić coś, co spowodowało, iż go opuściła i od tej pory stale jej poszukuje. - Lomax zrobił pauzę. - Musi jej szukać, och, teraz już prawie siedemdziesiąt lat.

- Czy myślisz, że ona jeszcze żyje? - zapytał z powątpiewaniem Neil.

- Prawdopodobnie nie. Przeżyć na Wewnętrznej Granicy siedemdziesiąt lat, to dla każdego wyczyn.

- Więc czemu nie przestaje szukać? Lomax wzruszył ramionami.

- Musiałbyś go zapytać.

- Czy spotkam go kiedykolwiek?

- Jeśli odwiedzisz sam dostatecznie wiele planet, wpadniesz na niego wcześniej czy później.

- Kogo jeszcze spotkam? - spytał z entuzjazmem młodzieniec.

- Nie wiem. A kogo chcesz spotkać?

- Wszystkich. Wszystkie te barwne typy, o których słyszałem i czytałem. - Uśmiechnął się do Lomaxa. - Wszyscy oni wydają się nadnaturalnej wielkości.

Lomax odpowiedział uśmiechem.

- Wiem, co czujesz. Gdy byłem w twoim wieku, też chciałem polecieć na Granicę i ujrzeć moich bohaterów. - Przerwał. - Ale szybko się przekonałem, że wszyscy oni krwawią, wszyscy umierają.

- A jak było z Prorokiem?

- Kto to taki?

- Nie wiem. Po prostu ktoś, o kim słyszałem i widziałem go na wideo.

- Tegoroczny wyjęty spod prawa bohater - zadrwił Lomax. - Uwierz mi na słowo, chłopcze: jakiś łowca nagród odstrzelił go, tak samo jak ustrzelono Santiago i wszystkich pozostałych.

- Wszystko jedno, chcę ich zobaczyć. - Neil przerwał. - Na razie jesteś jedynym słynnym człowiekiem, którego spotkałem.

Lomax uśmiechnął się niewesoło.

- Pozwól, że ci powiem, iż sława nie ma nic wspólnego z tym, co się o niej trąbi... Szczególnie na Granicy.

- Mówisz tak, bo bez przerwy oglądasz słynnych ludzi - zaprotestował młody człowiek. - Ale na Szarą Chmurę nigdy nie przybył nikt godny uwagi.

- Nie ma nic szczególnie godnego uwagi w tym, że się cełuje z broni i zabija ludzi - powiedział Lomax.

- Z pewnością jest - nie ustępował Neil. - Ilu ludzi to potrafi?

- O wiele za dużo.

- Ale ja mimo wszystko chcę tam polecieć i zobaczyć ich na własne oczy.

- Możesz się rozczarować - ostrzegł Lomax.

- Wątpię.

- Co ty sobie wyobrażasz? Że jest tam parę tysięcy planet zaludnionych wyłącznie przez zabójców i ludowych bohaterów? Chłopcze, Wewnętrzna Granica jest pełna górników, farmerów, kupców, lekarzy i wszystkich innych, potrzebnych do zarządzania planetą.

- O tym wiem - rzekł z irytacją Neil. - Ale to nie ci mnie interesują.

- Coś mi mówi, że znajdziesz te wszystkie barwne typy, których szukasz. - Lomax przerwał. - Tacy chłopcy jak ty zwykle

ich znajdują.

- Być może sam zostanę jednym z nich - kontynuował Neil, starając się ukryć podniecenie.

- Jeśli przeżyjesz dość długo - zauważył Lomax. - A teraz weźmy się do roboty.

- Co mamy do załatwienia przed dotarciem do Olympusa?

- Przyjmijmy na początek - powiedział Lomax - że rozesłali z Szarej Chmury listy gończe, aby aresztowano mnie za kidnaping. Chcę, abyś skontaktował się przez radio z Olympusem i oświadczył, że poleciałeś ze mną z własnej woli.

- Nie uwierzą mi.

- Może, ale chcę, żeby to zostało oficjalnie odnotowane.

Neil skinął głową.

- Zgoda.

- A następnie, ponieważ musisz zacząć zarabiać na życie, chcę żebyś poszedł do kambuza i zrobił nam coś na kolację. - Przerwał. - Tylko produkty sojowe. Żadnego czerwonego mięsa, żadnego nabiału.

- Nie rozumiem, w jaki sposób może to czynić z ciebie lepszego zabójcę - zauważył Neil.

- Czyni zdrowszego zabójcę - odrzekł Lomax. - Mam wysokie ciśnienie krwi i duży poziom cholesterolu. Nie ma sensu czekać, aż te plastry kontrolne, które noszę przez cały czas, zrobią całą robotę.

Młodzieniec uśmiechnął się z niedowierzaniem.

- Nabierasz mnie.

- Czemu tak uważasz?

- Po prostu nie mogę sobie wyobrazić, że Tancerz Grobów nalepia sobie na ciele plastry lecznicze.

Uśmiech rozbawienia przemknął przez twarz Lomaxa.

- Zapewne nie możesz sobie też wyobrazić, że mam protezę oka, a mój obecny komplet zębów liczy sobie trzy lata.

- To prawda?

- Chłopcze, na Wewnętrznej Granicy chodzi bardzo niewiele ludzi, którzy pozostali w jednym kawałku - stwierdził Lomax. - A teraz nadajmy te wiadomości.

Neil uruchomił radio i krótko porozmawiał z ojcem, którym miotały na przemian rozpacz i wściekłość, ale w końcu zdał sobie sprawę, że w tej sytuacji nic nie może zrobić i nawet zaproponował, że wyśle mu nieco pieniędzy już teraz na Olympus. Młodzieniec odmówił przyjęcia tego daru.

Później zjedli kolację, a młody człowiek uparł się, by próbować tylko takich samych nieszkodliwych potraw jak Lomax.

Wreszcie przypięli się pasami na kojach, które wysuwały się z grodzi w krótkim korytarzu pomiędzy salonikiem i lukiem towarowym, i poszli spać.

W godzinę później Lomax przebudził się gwałtownie.

- Cholera! - mruknął.

- Co się stało? - spytał Neil, prostując się szybko.

- Włączyłem autopilota, ale zapomniałem uruchomić czujniki uchylania. Z nami zapewne okay, ale z moim szczęściem możemy zderzyć się z jedynym cholernym meteorem w obrębie pięciu parseków.

- Zajmę się tym - oświadczył Neil, podchodząc do tablicy sterowania.

- Zaczekaj chwilkę, aż zapalę światła.

- Nie ma potrzeby.

- Nawet jeśli wiesz, gdzie się znajduje sterowanie czujnikiem, musiałbyś go widzieć, aby wprowadzić potrzebną poprawkę.

- Już gotowe - odparł Neil, wracając w całkowitej ciem-

ności na swą koję.

- Jak, u diabła, tego dokonałeś? - zapytał Lomax.

- Myślę, że już ci powiedziałem: pracuję z komputerami.

Gdy cię spotkałem, właśnie odbierałem pewne części.

- No i?

- Parę lat temu zaprogramowałem dwa mikroczipy na widzenie w podczerwieni i kazałem je chirurgicznie umieścić w moich oczach.

- Naprawdę potrafisz widzieć w ciemnościach?

- Oczywiście - stwierdził Neil.

- Zdumiewające! - mruknął Lomax.

- Och, to nic. Mam w sobie także czipy wzmacniające słuch i węch.

- Sam je zaprojektowałeś?

- Tym się zajmuję.

- Przypuszczam, że gdybyś musiał, mógłbyś zapewne zaprojektować taki, który przyspieszyłby wszystkie twoje reakcje - powiedział Lomax.

- Mając dość czasu zapewne mógłbym. Bo co?

- Tam gdzie lecisz może się to okazać przydatne.

- Wiesz, nigdy mi to nie przyszło do głowy - przyznał Neil z namysłem.

- No, tak czy inaczej jest to pomysł - zwrócił uwagę Lomax, kładąc się znów na koi.

- To cholernie dobry pomysł, Tancerzu Grobów - oświadczył Neil. - Jeśli mam zamieszkać na Granicy, powinienem być... no, przygotowany.

- I nic w tym niewłaściwego - zgodził się Lomax. - Tam przyda ci się każda przewaga, jaką zdołasz sobie zapewnić. Niedawno miałem do czynienia z człowiekiem, który miał wbudowany laser w sztuczny palec. W ogóle tego nie zauważyłem.



Gdyby stary tłuścioch, dla którego pracuję, nie był odrobinę czujniejszy niż ja, nie przeżyłbym i nie przyleciałbym na Szarą Chmurę.

- Broń w protezie palca... - zastanawiał się Neil. - Ja potrafiłbym to zbudować. - Zastanowił się nad pomysłem. - Do diabła, potrafiłbym przerobić całe moje ciało w maszynę do zabijania.

- A kogo zamierzasz zabić? - zainteresował się Lomax.

- Nikogo.

- To czemu się chcesz tym zajmować?

- Bo któregoś dnia ktoś będzie chciał zabić mnie, a w takim wypadku lepiej być przygotowanym.

- Wbrew temu, co mogłeś oglądać na wideo, życie na Wewnętrznej Granicy to niejedna, nieustająca strzelanina - powiedział Lomax.

- Twoje, tak.

- Moje życie jest takie samo, jak życie każdego, kto uprawia ten zawód - odrzekł Lomax. - Nie kończące się okresy nudy, przerywane bardzo krótkimi chwilami zagrożenia, które powodują, że zaczynasz się przede wszystkim zastanawiać, co było złego w owej nudzie.

- No, ale przygotowanie się nie może zaszkodzić - odparł z uporem młody człowiek. - Przecież ty sam to zasugerowałeś.

- Wiem - odrzekł sennym głosem Lomax. - Zrobisz, co chcesz.

- Rano zacznę projektować na komputerze statku to, czego potrzebuję.

- Świetnie - ziewnął Lomax. - Przynajmniej wiem, jak cię teraz nazywać.

- Naprawdę?

- Taak. Od dzisiaj jesteś Silikonowym Chłopcem. Uszczę-

## Wróżbiarka T.3 Prorokini

---

Śliwiony Neil uśmiechnął się w ciemności.

- To mi się podoba!

### 4

Olympus był niewielką, dziką planetą, górzystą i ubogą w ziemię uprawną. Jej słone oceany miały skłonność do tworzenia fal pływowych, słodkowodne jeziora i rzeki zaś wysychały każdego lata. Na pierwszy rzut oka nie widać było powodów, dla których ktokolwiek chciałby się tu osiedlić, a cóż dopiero budować rozległą megalopolię pomiędzy dwoma największymi łańcuchami górskimi.

Planeta była położona niemal w identycznej odległości od Demokracji i tej części Wewnętrznej Granicy, nad którą panował układ Binder. Początkowo mieściła się na niej tylko jedna osada handlowa, ale w miarę rozwoju handlu między Demokracją i światami Wewnętrznej Granicy owo miasteczko zaczęło rozrastać się we wszystkich kierunkach, w tym również w górę. Nikt nie wiedział, jak to się stało, że pewnego dnia przekształciło się w ogromne miasto, zamieszkane przez prawie dwa miliony Ludzi i pięćdziesiąt tysięcy kosmitów różnych ras, i zmieniło się w ośrodek handlu i żeglugi kosmicznej. Posiadało cztery kosmoporty, dwa orbitujące hangary, każdy zdolny pomieścić ponad tysiąc statków zbyt wielkich lub nazbyt ciężkich, by lądować na powierzchni planety. Około czterdziestu mil kwadratowych terenu na północ, tuż od miasta, zajmowały składy zboża, wysyłanego do Demokracji.

Miasto nosiło nader trafne miano: Ateny, a większości głównych dróg przelotowych nadano nazwy zaczerpnięte z „Iliady” lub „Odysei”. Ateny dysponowały wieloma udogodnieniami właściwymi Demokracji, lecz pomimo swej wielkości i bogactwa nadal zachowały atmosferę pierwotnej osady handlowej. Barwnie ubrani górnicy i hazardziści ocierali się o tradycyj-

nie odzianych biznesmenów. Łowcy nagród o ponurych obliczach oraz zabójcy byli stałymi mieszkańcami barów i narkomańskich spelunek. Wszelkiego rodzaju przedsiębiorcy nieustannie knuli intrygi, aby wyszarpnąć trochę grosza z miliardów, złożonych w skarbcach dwóch tuzinów wielkich i małych banków.

- Ten Olympus to nie byle jakie miejsce! - stwierdził Silikonowy Chłopiec, jadąc wraz Lomaxem ruchomym chodnikiem jedną z największych arterii. - Spójrz na te budynki, Tancerzu Grobów!

- To tylko domy - odparł, wzruszając ramionami, Lomax.

- Nie robią na tobie wrażenia?

- Zastaniają słońce. - Lomax zastanowił się. - Wygląda tu, jak na każdej innej planecie bramy.

- Planecie bramy?

- Pomiędzy Wewnętrzną Granicą a Demokracją - wyjaśnił Lomax. - Jest ich z pięćdziesiąt.

- No, ja nigdy nie oglądałem niczego podobnego.

- Każda planeta jest podobna do innych - odpowiedział Lomax. - Ta, jak na mój gust, jest zbyt ciepła. Pasowałaby mi także odrobinę większa grawitacja.

- A mnie podoba się mniejsza grawitacja - zachwycił się Chłopiec. - Czuję się, jakbym pływał. - Nagle zamilkł na chwilę. - Za każdym razem trzeba przyzwyczajać się do zmian grawitacji, prawda?

Lomax skinął głową.

- Na planecie takiej jak ta ma się skłonność do strzelania za wysoko.

- Taak - zadumał się Chłopiec. - O tym nie pomyślałem. - Znowu zamilkł. - Być może uda mi się skonstruować czipy powodujące, by na wszystkich planetach czuć się jednakowo.

- Zbuduj taki czip, a nigdy nie zabraknie ci przyjaciół -

odrzekł Lomax.

- Dokąd idziemy? - spytał Chłopiec, przyglądając się mknącej nad ich głowami kolei jednoszynowej.

- Zobaczyć, gdzie mieszkał Jason Cole.

- To ten facet z laserem w palcu?

- Zgadza się - stwierdził Lomax. - I co wtedy?

- Wtedy zadam parę pytań. - Lomax odwrócił się do Sili-konowego Chłopca. - Nie musisz iść ze mną. Możemy umówić się na spotkanie gdzie indziej.

- I utracić szansę ujżenia cię w akcji? - powiedział Chłopiec, patrząc na dwa ciche poduszkowce, ścigające się do jedy-nego miejsca nadającego się do lądowania na pobliskim dachu.

- Nie ma mowy.

- Kiedy się zadaje pytania, zazwyczaj niewiele się dzieje.

- A jeśli nie zechcą odpowiedzieć?

Lomax odsunął się na bok, by przepuścić dwóch chłopaczków mknących obok i strzelających do siebie z pistoletów zabawek.

- Cole nie żyje. Czemu mieliby nie chcieć nic mówić?

- Może ten, co z nim mieszkał, będzie odrobinę zdenerwowany, że go zabiłeś.

- Nie zabiłem go.

- Może ci nie uwierzą - upierał się Chłopiec. - Ostatecznie to ty jesteś Tancerzem Grobów.

Lomax skrzywił się.

- Jeśli z kimś mieszkał, tamci muszą wiedzieć, na czym polegała jego praca. - Zapalił cygaretkę. - W tym biznesie, jeśli wystarczająco często się wyjeżdża, nadchodzi czas, gdy się nie wraca. To pewnik.

- Wszystko jedno, idę z tobą - stwierdził Chłopiec. - Może się zdarzyć, że będzie ci potrzebna pomoc.

Lomax wzruszył ramionami.

- Zdarzało się.

Gdy mijali wielośrodowiskowy hotel, który, jak się zdawało, specjalizował się w klienteli oddychającej chlorem, Chłopiec zmarszczył brwi. - Wiesz - powiedział - za każdym razem, gdy cię naciskam, masz odpowiedź, która zbija mnie z tropu.

- O?

- Przecież ty jesteś Tancerzem Grobów! Nie potrzebujesz niczyjej pomocy.

- Gdy się widzi ciągle mężczyzn rozwalonych w drobiazgi, nie upływa wiele czasu, a stajesz się chętny do przyjęcia każdej pomocy, którą możesz dostać - odrzekł Lomax, sprawdzając wszystkie kolejne tablice z nazwami mijanych ulic.

- No więc to wygląda nie tak, jak powinno.

- Nędzne byłoby wideo na ten temat - przyznał Lomax z uśmiechem rozbawienia.

- To pewne jak wszyscy diabli - zgodził się z powagą Chłopiec.

- Witaj w realnym świecie.

Przez kilka następnych minut jechali w milczeniu, aż dotarli do skrzyżowania bulwaru Hektora z ulicą Heleny. Lomaxowi udało się z łatwością zmienić ruchome chodniki, ale musiał podtrzymać Silikonowego Chłopca, który nigdy w życiu nie jeździł nimi i niemal stracił równowagę.

- Dzięki - mruknął Chłopiec. - To byłaby cholernie głupia śmierć pierwszego dnia na nowej planecie.

- Nie skacz - ostrzegł Lomax. - Po prostu stań jedną nogą na wąskim pasku chodnika między ruchomymi elementami, a potem stań na następnym ruchomym pasie.

- Durny sposób podróżowania.

- Łatwiejszy niż pięciomilowy spacer - odparł Lomax.

- Czy wszystkie planety Granicy mają coś takiego?  
- Prawie żadna - odpowiedział Lomax. - Olympus nie jest prawdziwą planetą graniczną.

- Wedle map jest.

- Och, znajduje się na Wewnętrznej Granicy - przyznał Lomax. - Ale jest zbyt rozwinięta, za bardzo ucywilizowana. Prawdziwa Granica przesuwa się nieustannie w kierunku Jądra, natomiast Demokracja pochłania planety peryferyjne.

- To właśnie chcę zobaczyć - oświadczył Chłopiec. - Prawdziwą Wewnętrzną Granicę.

Lomax wskazał kciukiem biuro podróży, które właśnie mijali.

- Na mój koszt - powiedział.

- Mogę poczekać parę dni.

- Jakże pocieszające. - Lomax sprawdził numer ulicy. - Zbliżamy się do następnej zmiany ruchomych chodników. Przygotuj się.

Tym razem Chłopiec zrobił to równie zręcznie jak Lomax. Wkrótce potem zeszli na trotuar przed Hotelem Apollo.

- Czy to jest to miejsce? - zapytał Chłopiec, spoglądając na stalowo-szklaną budowlę przed nimi.

- Jeśli moja informacja jest ścisła - odrzekł Lomax. Chłopiec skrzywił się.

- Kto mógłby mieszkać w takich budynkach? Nie ma tu nawet dość miejsca, by się obrócić.

Lomax zrobił rozbawioną minę.

- Och, nie więcej niż trzydzieści do czterdziestu trylionów ludzi. Należysz do rasy zwierząt społecznych, Chłopcze.

- Nie ja - zaprotestował Silikonowy Chłopiec. - Oszalałbym, mieszkając w czymś takim.

Lomax podszedł do głównego wejścia. Chłopiec już miał

wkroczyć do holu, gdy Lomax wyciągnął rękę i powstrzymał go.

- O co chodzi? - spytał Chłopic.

- Zaczekaj - rzekł Lomax. - Już nie jesteś na Szarej Chmurze. Portier, czerwonawy i z grubsza humanoidalny kosmita, skinął

głową w geście powitania i wypowiedział jednowyrazowy rozkaz, rozpraszając chroniące wejście pole energetyczne.

- Witam w Hotelu Apollo, najwspanialszym schronieniu na całym Olympusie - powiedział z mocnym obcym akcentem. - Czym mogę służyć?

- Przybyliśmy z wizytą do przyjaciela - powiedział Lomax.

- Znakomicie - odrzekł portier. - Wszyscy powinni mieć przyjaciół.

- Nazywa się Jason Cole.

- Niestety, nie ma go w tej chwili.

- Zaczekamy.

- Wyjechał dwadzieścia trzy dni temu - poinformował portier. - Może nie wrócić przez następne dwadzieścia trzy dni.

- Nie ma sprawy.

- Niestety zawsze o północy opróżniamy hol - kontynuował portier. - Nie możecie panowie tam czekać.

- Nie mieliśmy takiego zamiaru - oświadczył Lomax. - Poczekamy w jego pokoju.

- To nie jest dozwolone.

- Z pewnością jest - powiedział Lomax, wyciągając duży plik banknotów.

- Prawie nigdy - rzekł kosmita.

- Jesteś pewien? - zapytał Lomax, oddzielając dwa banknoty. - Jestem prawie pewien.

- Cóż za skandal - stwierdził Lomax, dodając trzeci banknot do poprzednich.

- Z wyjątkiem szczególnych okazji - odrzekł kosmita,



chwytając banknoty i pakując je do kieszeni munduru. - Jakże szczęśliwie składa się dla panów, że jest to szczególna okazja.

- Jaki jest numer jego pokoju?

- Zaprowadzę was tam osobiście - powiedział portier.

- To niepotrzebne.

- Ależ tak.

- Czemu?

- Panowie wprawdzie nie potrzebują mej pomocy, by dostać się do pokoju Jasona Cole'a, ale za to ja nie mogę pozwolić, abyście spacerowali korytarzami naszego zakładu bez nadzoru.

Lomax uśmiechnął się wyrozumiale.

- Pójdziemy z tobą.

- Tędy, proszę - wskazał kosmita, kierując się kaczkowatym krokiem do windy powietrznej. Popłynęli w górę na czterdzieste trzecie piętro, wyszli na powoli sunący korytarzem ruchomy chodnik, który przeniósł ich obok szeregu pokoi, nim dojechali do właściwego.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił kosmita, pozwalając czujnikom drzwi zbadać swą dłoń i siatkówkę. W końcu wypowiedział słowo kodowe we własnym języku i drzwi rozciągnęły się ukazując wewnątrz niedużego apartamentu.

- Teraz panów opuszczę - oznajmił kosmita. - Ale muszę ostrzec, że polecę naszym siłom bezpieczeństwa monitorować wasze kroki, gdy tylko wyjdziecie z apartamentu Jasona Cole'a.

Lomax skinął głową.

- Nie oczekiwałbym niczego innego od najlepszego hotelu na całym Olympusie.

Kosmita obnażył zęby, miał to być uśmiech.

- Mam jedno pytanie - rzucił Lomax, gdy tamten już miał odejść.

- Tak?

Lomax podniósł do góry kolejny banknot.

- Kto jest pracodawcą Jasona Cole'a?

Portier wpatrzył się w banknot niemal z ludzkim smutkiem.

- Nie wiem, sir.

- Szkoda - stwierdził Lomax, chowając banknot do jednej ze swych licznych kieszeni.

Wraz z Chłopcem wszedł do pokoju i w chwilę później drzwi zamknęły się za nimi.

- Dobra - oświadczył - zobaczymy, czego możemy się dowiedzieć o świętej pamięci panu Cole'u.

Lomax wszedł do sypialni i sprawdził szafę. Wisały tam dwa kolorowe ubrania w nader krzykliwych barwach i nic więcej. W komodzie leżało trochę bielizny, ale trzy z czterech szuflad były puste. Łazienka wyglądała, jakby nigdy z niej nie korzystano, nawet w szafeczce na leki niczego nie znalazł.

Wrócił do pokoju dziennego, gdzie zastał Chłopca w chwili, gdy ten przeglądał bibliotekę holodysków.

- Facet lubił pornografię - oznajmił Chłopic. - Jeśli miał jakiegokolwiek inne zainteresowania, nie można nic wywnioskować na podstawie tego, co się tutaj znajduje.

- Sprawdziłeś kuchnię i przedpokój? - Tak.

- Co znalazłeś?

- W kuchni jest trochę piwa i nic więcej, a w szafie para ubrań termicznych. Albo na tej planecie zima jest piekielna, albo on od czasu do czasu leci na planetę o wiele zimniejszą niż ta.

Lomax ponownie skontrolował pomieszczenia sprawdzone przez Chłopca.

- Według mnie - powiedział na koniec - on tego pokoju używał po prostu jako skrzynki kontaktowej, może też jako miejsca, gdzie od czasu do czasu spędzał noc, gdy bywał na tej planecie. - Spojrzenie Lomaxa zatrzymało się na ekranie wbu-

dowanego w ścianę komputera. - Okay, sprawdźmy jego pocztę. - Podszedł do ekranu. - Komputer, włącz się.

- Włączony - odpowiedział metaliczny głos.

- Proszę pokazać całą pocztę, która nadeszła od chwili, gdy włączyłem cię po raz ostatni.

- Jest osiemdziesiąt siedem przesyłek, panie Cole.

- Wyeliminuj wszystkie reklamy.

- Są dwie przesyłki, panie Cole.

- Odczytaj starszą z nich.

Czytam... „Gdy tylko uzyskasz dowód, że twoje zlecenie zostało z powodzeniem wykonane, zamelduj się u mnie w biurze osobiście, a zapłata zostanie dokonana w zwykły sposób”.

- Kto podpisał list?

- Nie ma podpisu.

- Czy jest adres nadawcy? - Nie.

- Wspaniale - mruknął Lomax.

- Nie posiadam się z radości, że jest pan zadowolony - powiedział komputer.

Lomax skrzywił się.

- Teraz przeczytaj drugi list.

- „Drogi Panie Cole, informujemy, że przekroczył Pan możliwą wysokość debetu: wynosi on dwa tysiące pięćset kredytów. Do chwili uregulowania wyżej wymienionej sumy, nie możemy dłużej świadczyć Panu usług. Proszę spowodować, by pieniądze zostały przelane na nasz rachunek numer 30337 w Pierwszym Planetarnym Banku Olympusa. Z góry dziękujemy za Pana szybkie zainteresowanie i wpłatę”.

- Czy jest podpis?

- „Kierownik”.

- Czy jest adres nadawcy?

- „Błękitny Pawilon, ulica Achillesa 37”.

- Dziękuję. Wyłącz się.

- To będzie nasz następny przystanek? - spytał Silikonowy Chłopic.

- Tak sędę - zgodził się Lomax. - Czy zauważyłeś coś szczególnego w doborze słów w pierwszym liście?

- Niespecjalnie - odpowiedział Chłopic. - Tyle tylko, że on już poprzednio miewał interesy z tym facetem.

- To zdecydowanie oficjalne pismo - podkreślił Lomax. - Jakby ten kto je pisał był biznesmenem i cały czas dawał takie zlecenia.

- Zapewne tak jest - zgodził się Chłopic. - Ostatecznie zabijanie to też biznes jak każdy inny.

Lomax potrząsnął głową.

- Nie to miałem na myśli.

- W takim razie nie nadążam za tobą.

- Mam przeczucie, że mój pracodawca zderzył się z bardzo sprawną organizacją - powiedział Lomax. - Organizacją, która co dzień wydaje zlecenia na morderstwa. Zapłata zostanie dokonana „w zwykły sposób” przez biuro jakiegoś typka? Ktoś, kto zajmuje się pracą w biurze na pewno nie życzyłby sobie pojawienia się mordercy, chcącego podjąć swoją należność... Chyba że podstawową działalnością owego biura jest najmowanie morderców.

- Ale to jeszcze nie informuje nas, czy ten typ jest pośrednikiem, czy też bezpośrednim zleceniodawcą.

- Wiem.

- To co teraz zrobimy?

- Dowiemy się, co wiedział Cole. - Jak to zrobimy?

- Jeśli będziemy mieli szczęście, po prostu zapytamy komputer. - Lomax zwrócił się do ekranu. - Komputer, włącz się.

- Włączony.

- Proszę odczytać ostatni list, który nadałem z tego adresu.

- Czytam... „Powiedz Namaszczonemu, że przyjmuję zlecenie za zwykłą cenę”.

- Jaki jest adres listu?

- Elektroniczna skrytka pocztowa numer 804432J.

- Na jakie nazwisko została zarejestrowana?

- Czytam... Nie potrafię uzyskać tej informacji, panie Cole. Właściciel skrytki zażądał, by jego nazwisko nie znajdowało się w wykazie.

- Czy istnieje sposób, bym dowiedział się, kto jest jej właścicielem?

- Jeśli jest pan prawowitym wierzycielem, może pan udać się do Trybunału Skarg i Zażaleń i wypełnić Formularz 86-F. Po należytym zbadaniu skargi władze podadzą panu nazwisko.

- Nie istnieje szybszy sposób?

- Nie, panie Cole.

- Dziękuję, komputerze. Wyłącz się.

- Namaszczony? - powtórzył Chłopiec, gdy ekran pociemniał. - Czy słyszałeś kiedy o kimkolwiek, kto by się tak nazywał?

- Nigdy.

- A twój pracodawca?

- Powiedziałby mi, gdyby zetknął się kiedykolwiek z kimś takim. Nastąpiła chwila milczenia, które przerwał Silikonowy Chłopiec.

- To teraz idziemy do Błękitnego Pawilonu? - zapytał. Lomax potwierdził skinieniem głowy.

- Teraz idziemy do Błękitnego Pawilonu.

### 5

Błękitny Pawilon był nocnym klubem, mieszczącym się na szczycie jednego z wyższych budynków w mieście. Przez kolosalną szklaną ścianę, wysoką na jakieś czterdzieści stóp, widać było imponującą górę Olimp. Pozostałe trzy ściany pomieszczenia pokrywały lustra, w których odbijał się błękit nieba, góra i potężny basen, zajmujący środek klubu.

Basen pełen był podobnych do delfinów istot, importowanych z Sylestirii II. Sądzono, że są rozumne, choć jak dotąd nie potrafiło się z nimi porozumieć, potrafiły jednak wykonywać skomplikowane manewry, wyglądające prawie jak precyzyjny taniec. Gdy widzowie zaś mogli się owym widokiem znudzić czy zmęczyć, do wody skakało dwanaście nagich dziewczyn. Wspięły się na owe stworzenia i jechały na nich na oklep, wykonując z nimi kolejny numer wodnego baletu.

Po jednej stronie sali umieszczono długi, chromowany bar oraz szereg stolików. Większość z nich zajmowali goście ubrani raczej na pokaz niż dla wygody. Oczywiście było, że Błękitny Pawilon to miejsce, gdzie się ogląda i jest się oglądanym.

Kelnerzy i kelnerki, wszyscy w eleganckich jedwabnych strojach, błyskawicznie poruszali się wśród gości, napełniając opróżnione kieliszki, przyjmując zamówienia, podając kolacje oraz drinki. Nad basenem unosiła się sześćoosobowa orkiestra na błyszczącej estradzie, pływającej w powietrzu.

Gdy Lomax i Silikonowy Chłopiec podeszli do wejścia, zbliżył się do nich wysoki mężczyzna w stroju wieczorowym.

- Czym mogę panom służyć? - zapytał z miną, wyrażającą dezaprobatę dla ich ubrania.

- Prosilibyśmy o stolik - rzekł Lomax.

- Obawiam się, że dzisiejszego wieczoru nie mamy już wolnych stolików.

- Jest pięć pustych - zauważył Lomax.

- Wszystkie zarezerwowane.

Lomax wyciągnął banknot stukredytowy.

- Niezbyt blisko basenu - kontynuował.

- Obawiam się, że to nie wchodzi w grę - powiedział mężczyzna.

- Hej, rozmawiasz z Tancerzem Grobów - warknął Chłopic.

- Wiem, kim on jest - odparł spokojnie mężczyzna. - Odwrócił się do Lomaxa. - Pańska reputacja wyprzedza pana, panie Lomax.

- Proszę wybaczyć memu przyjacielowi - oświadczył Lomax, dodając jeszcze dwa banknoty do pierwszego. - Jest nowicjuszem.

- Doprawdy, panie Lomax, powinien pan nauczyć go dobrego wychowania - zauważył mężczyzna, biorąc banknoty i prowadząc ich do wolnego stolika koło baru.

Gdy usiedli, Lomax położył na stole trzy dalsze banknoty.

- Przydałaby się nam pewna informacja - oświadczył. Mężczyzna popatrzył na pieniądze, a potem skłonił się głęboko. - Jeśli jestem w stanie jej udzielić.

- Jeśli się nie mylę, Jason Cole zwykł bywać w tym lokalu.

- To się zgadza, sir - odpowiedział zapytany, sięgając po banknoty.

Lomax przykrył je dłonią.

- To wiem - powiedział. - Chodzi mi o to, z kim się tu spotykał. Mężczyzna nerwowo popatrzył na pieniądze.

- Z najwyższą radością dopomógłbym panu, panie Lomax, ale... Lomax dodał jeszcze trzy banknoty do stosiku. Męż-

czyzna znów popatrzył, a potem westchnął i potrząsnął głową.

- Gdybym go panu wskazał, zapewne zabiłby mnie. Byłbym szczęśliwy, robiąc z panem interesy, panie Lomax, ale poczuję się jeszcze szczęśliwszy, jeśli obudzę się jutro rano.

- Coś ci powiem - zaproponował Lomax biorąc plik pieniędzy i wkładając je w rękę mężczyzny. - Powiedz mu, że znam Jasona Cole i że chciałbym z nim porozmawiać. Niech on sam zdecyduje, czy przyjść i rozmawiać ze mną. Czy nie będziesz się wtedy czuł zagrożony?

- Wspaniale - orzekł mężczyzna, chowając pieniądze. Dał znak kelnerce, która natychmiast podeszła do stolika.

- Co mogę podać panom do picia? - zapytała w chwili, gdy maitre d'hotel zaczął się oddalać.

- Szampana - powiedział Chłopic.

- Szampan dla niego, sok owocowy dla mnie - zarządził Lomax. - Jakiego rodzaju?

Lomax wzruszył ramionami. - Jakikolwiek dostępny.

- Więc również nie pijesz? - zainteresował się Chłopic, gdy kelnerka odeszła.

- Nie wtedy gdy pracuję.

- Uważam, że to prawie zbrodnia, przyjść do takiego lokalu i nie zamówić drinka.

- Wystarczy, że sobie pooglądasz gole dziewczyny, a mnie zostawisz myślenie.

- Przyglądam im się uważnie - stwierdził Chłopic. - Na Szarej Chmurze nagość jest niedozwolona. Czy często się ją widuje na Wewnętrznej Granicy?

- Różnie na różnych planetach - poinformował go Lomax. - Jest nawet kilka planet kolonialnych, rządzonych przez nudyków.



- Chciałbym je obejrzeć. Lomax wzruszył ramionami.
- Uwierz mi na słowo: większość ludzi lepiej wygląda w ubraniach.
- Niemniej...
- Zrobisz, co zechcesz. Nikt cię tu nie trzyma.
- Czemu mam takie uczucie, jakbyś chciał się mnie pozbyć?
- Posłuchaj - rzekł Lomax. - Przywiozłem cię tutaj. To powinno wystarczyć. Teraz w każdej chwili może się zrobić niebezpiecznie.
- Potrafię zadbać o siebie - powiedział Chłopiec. - Nie musisz mnie chronić.
- Nie mam zamiaru cię chronić - stwierdził Lomax. - Chcę tylko, byś nie wchodził mi w drogę.
- Bardzo mocne słowa - odrzekł na wpół serio Chłopiec. - Myślałem, że mieliśmy zostać przyjaciółmi.
- Przyjaźń nie pasuje do zawodu, który wykonuję.
- A co powiesz o człowieku, dla którego pracujesz? - nie ustępował Chłopiec. - Mówiłeś o nim jak o przyjacielu.
- O Lodziarzu? On jest tym, kim ja będę za trzydzieści czy czterdzieści lat. Jeśli dożyję.
- Lodziarz? - powtórzył Chłopiec. - Ty pracujesz dla niego?
- Taak.
- Dlaczego on cię potrzebuje? Przecież jest człowiekiem, który zwyciężył Wyrocznię!
- Teraz jest starcem kulawym na jedną nogę. Jeśli to w ogóle jego noga; domyślam się, że ma raczej protezę. - Lomax przerwał.
- Zresztą Lodziarz uważa, iż wcale jej nie zwyciężył i miał szczęście, wychodząc z tego z życiem.
- Ależ on ją zwyciężył - odparł zdecydowanie Chłopiec. - Wszyscy o tym wiedzą. - Ledwie potrafił okiełznać swój entu-

zjazm. - Tylko pomyśleć; Lodziarz! Goja bym dał, by go spotkać! Czy wszystko inne co o nim opowiadają to prawda?

- Zapewne nie.

- Mówią, że zabił Charlie'ego Trzy Pięści i że znalazł Wróżbiarkę, gdy setki łowców nagród nie mogło, i...

- Ścisz głos i uspokój się - poleciał Lomax rozbawionym tonem

- bo orkiestra może ci wytoczyć proces o nieuczciwą konkurencję.

- Przepraszam - powiedział Chłopiec. - Ale Lodziarz! To jeden z moich bohaterów. - Przerwał. - Jak on wygląda?

- Jest grubym, łysiejącym i kulejącym starcem - rzekł Lomax. - Ale jedno muszę mu przyznać: pozostał bystry. Nie przeczy żadnej pułapki.

- Czemu dla niego pracujesz? Myślałbym, że ze wszystkich ludzi na Granicy Lodziarz jest ostatnim, aby wynajmować ochroniarza.

- Ludzie się starzeją, Chłopcze. Nawet Lodziarz.

Kelnerka wróciła z napojami, a w chwilę później podszedł do nich maitre d'hotel.

- Przekazałem pana wiadomość, panie Lomax. - I?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Teraz sprawa jest w rękach dżentelmena, z którym pragnie pan rozmawiać.

Lomax skinął głową,

- Dobrze. Załatwiłeś to, co do ciebie należało.

- Jeszcze coś, panie Lomax.

- Tak?

- My tu jesteśmy ludźmi kulturalnymi, a Olympus to cywilizowana planeta. Bardzo ściśle przestrzegamy prawa. Jeśli miałby nastąpić jakiś akt przemocy, dla wszystkich zaintereso-

wanych byłoby w wysokim stopniu niefortunne, gdyby wydarzył się on w Błękitnym Pawilonie. - Spojrzał znacząco na kamery systemu bezpieczeństwa, wyraźnie widoczne nad każdym stołem.

- Będę o tym pamiętać.
- Dziękuję, panie Lomax.

Mężczyzna wycofał się w stronę kuchni. Lomax napił się łyk swego soku i skrzywił się z niesmakiem.

- Coś nie tak? - zapytał Chłopic.

- Próbowałem już tego napoju - powiedział Lomax. - Jakiś rodzaj zmutowanego cytrusa z układu Altaira. Prawdopodobnie kosztuje więcej niż twój szampan, ale bardzo mi to świństwo nie smakuje. - Pchnął szklankę na środek stołu. - Chcesz go?

Chłopic pokręcił głową.

- Dziękuję, zostanę przy tym, co mam. - Jak sobie chcesz - odrzekł Lomax. Chłopic jednym haustem wychylił pół kielicha.

- Dobry towar - stwierdził z uznaniem.

- Piłeś szampana kiedykolwiek przedtem?

- Oczywiście - odparł szybko Chłopic. - Mnóstwo razy.

- Taak, można się tego domyślić po sposobie, w jaki go połknąłeś. - Nagle Lomax zrobił się czujny. - Idź na spacer, Chłopcze.

- Co?

- Słyszałeś mnie.

- Czemu? Co się dzieje?

- Myślę, że zaraz będę miał gościa - powiedział Lomax, patrząc na wytwornie ubranego mężczyznę w średnim wieku, który szedł przez salę w ich kierunku.

- Wolałbym zostać.

Lomax spojrzał na niego.

- Zgoda. Ale nie odezwiesz się ani słowem, nie zaprzeczysz

niczemu, co powiem, i powstrzymasz się od nagłych ruchów.

- Załatwione.

Lomax przyjrzał się nadchodzącemu. Był to człowiek średniego wzrostu i budowy. Miał bladoniebieskie oczy, orli nos, szpakowate włosy oraz niezwykle starannie uczesane wąsy. Nawet nie próbował ukryć, że ma wypchaną kieszeń, ale jeśli schował w niej broń, bardzo trudno byłoby mu ją szybko wydobyc.

- Pan Lomax? - zapytał mężczyzna, zatrzymując się za wolnym krzesłem.

- Zgadza się. A to jest mój współpracownik, pan...

- Silikonowy Chłopiec - wtrącił młody człowiek.

- Nie sądzę, bym o panu słyszał, sir.

- Usłyszysz pan - odrzekł Chłopiec. - Jestem Milo Korbekian. Czy mogę usiąść?

- Proszę - powiedział Lomax. Korbekian usiadł.

- Nie będzie panom przeszkadzało, jeśli zapalę? - Jak pan sobie życzy.

Wytworny mężczyzna zapalił cygaretkę, Lomax zmarszczył nos.

- Zawiera łagodny środek podniecający - wyjaśnił Korbekian. - Zapach jest nieszczęśliwym efektem ubocznym. Mogę je zgasić, jeśli pan sobie życzy.

- Proszę się nie krępować. Jeśli pan to wytrzyma, mnie też się zapewne uda.

- Wobec tego, z pana łaskawym zezwoleniem, wypalę go do końca. - Korbekian lekko pochylił się do przodu.

- Jak rozumiem jest pan znajomym Jasona Cole'a?

- Zgadza się.

- Drogi Jason - powiedział Korbekian, równocześnie dając znak przechodzącemu kelnerowi, by przyniósł mu drinka. -

Ostatni raz słyzałem o nim, gdy odlatywał na jakąś małą planetkę na Wewnętrznej Granicy. - Przerwał. - Jak mu się powodzi?

- Jak przypuszczam, mniej więcej tak dobrze jak większości trupów.

- Biedny chłopiec - rzekł Korbekian bez cienia żalu czy zaskoczenia.

- Nigdy nie należy posyłać chłopca, by wykonał robotę dla mężczyzny - kontynuował Lomax.

- O?

- Nie miał cienia szansy przeciw Lodziarzowi. - Lomax popatrzył w oczy rozmówcy. - Ani też inni trzej, których pan posłał.

- Jacy inni trzej? - zapytał niewinnym tonem Korbekian, gdy przyniesiono mu drinka.

- Panie Korbekian, nigdy nie dojdziemy do porozumienia, jeśli nie wyłożymy kart na stół. Wiem, że posłał pan czterech ludzi, by zabili Lodziarza. Wiem, że wszyscy czterej są pogrzebani na Ostatniej Szansie.

- Zakładając, że naprawdę posłałem tam czterech ludzi, dlaczego słynny Tancerz Grobów, jeśli wolno mi użyć pana przezwiska, miałby przybyć z tak daleka na Olympusa, aby powiadomić mnie, że zawiedli?

- Może pan nadal wyrzucać swoje pieniądze, wysyłając tam mięso armatnie przeciw Lodziarzowi - oświadczył Lomax. - Albo też - dodał - może pan kupić najlepszego i mieć robotę wykonaną.

Wyglądało na to, że Silikonowy Chłopiec chce coś powiedzieć, ale Lomax uciszył go groźnym spojrzeniem.

- Rozumiem - odparł Korbekian, wreszcie podnosząc swego drinka do ust i wypijając jednym haustem. - Przybył pan w poszukiwaniu zatrudnienia.

- Przybyłem, by to przedyskutować - odpowiedział Lo-

max. - Nie jestem tani.

- Wyobrażam sobie, że sporo trzeba panu zapłacić. - Postawił kieliszek na stole i zaczął się mu z natężeniem przypatrywać.

- Ile by pan sobie życzył i kiedy będzie pan gotów do odjazdu? - zapytał Korbekian, wpatrując się przez stół w Lomaxa. - Zaiste, znaczący szczegół.

- Chciałbym dwa miliony kredytów lub ich równowartość w talarach Marii Teresy - powiedział Lomax. - A będę gotów do odjazdu, gdy tylko porozmawiam z Namaszczonym.

Lomax nie odwracał wzroku od Korbekiana, czekając na jakąś reakcję: zaskoczenie faktem, że zna imię jego pracodawcy, szok, lęk, cokolwiek. Ale twarz rozmówcy była jak pozbawiona wszelkich emocji maska.

- To może okazać się trudne, panie Lomax.

- Ośmielę się zauważyć, że nie trudniejsze niż wykończenie Lodziarza - odpowiedział Lomax.

- Namaszczony nie lubi się angażować bezpośrednio w takie sprawy.

- Ja nie lubię mieć do czynienia z pośrednikami.

- Zapewniam pana, że jestem kimś o wiele ważniejszym niż pośrednik - zapewnił Korbekian.

- Ile są warte pana zapewnienia? - zapytał Lomax.

- Obawiam się, że nie rozumiem pana, panie Lomax.

- Jeśli będę umawiał się z panem, moje honorarium wynosi trzy miliony kredytów - oświadczył Lomax. - A więc, czy dziesięć minut czasu Namaszczonego warte jest miliona kredytów, czy nie?

Korbekian przypatrywał mu się przez długą chwilę.

- Czemu życzy sobie pan go spotkać?

- Mam swoje powody.

- Z przyjemnością mu wszystko przekażę. Lomax pokręcił głową.

- Nie załatwiam interesów w taki sposób.

- Czy mogę udzielić panu przyjacielskiej rady, panie Lomax?

- Zawsze z przyjemnością przyjmuję porady - odparł uprzejmie Lomax.

- Na pana miejscu nie stawiałbym żadnych żądań ani warunków, które mogłyby zirytować Namaszczonego - powiedział Korbekian. - Nawet ktoś tak sprawny w swym zawodzie jak pan nie mógłby wytrzymać jego gniewu.

- Jestem o wiele sprawniejszy niż Lodziarz, a on świetnie sobie poradził jak dotąd.

- Lodziarz stanowi tylko niewielką przeszkodę. Zapewne nawet nie jest świadomy istnienia Namaszczonego - stwierdził Korbekian. - Mieszka na Wewnętrznej Granicy i nie ma żadnego wpływu na bieg wypadków.

- Czemu więc z takim nakładem sił staraliście się go zabić?

- To, panie Lomax, nie pańska sprawa.

- Jeśli przyjmę zlecenie Namaszczonego, stanie się także moją sprawą - rzekł Lomax.

Korbekian zgasił cygaro i natychmiast zapalił następne.

- Nie sądzę, panie Lomax, abyśmy mogli zrobić interes - oświadczył wreszcie.

- Oczywiście możemy - powiedział Lomax. - Niech pan tylko przekáže moją wiadomość Namaszczonemu, a mnie jego odpowiedź.

Korbekian potrząsnął głową.

- Mam inne zdanie na ten temat, panie Lomax. Zadaje pan zbyt wiele pytań, stawia pan zbyt wiele żądań.

- Potrafię żądać bardzo wiele, gdy stawką ma być moje życie - stwierdził Lomax. - Gdyby zabicie Lodziarza było łatwe, już by nie żył.

- Nie rozumiem, dlaczego podjęcie się zabicia Lodziarza uzależnia pan od spotkania z Namaszczonym - powiedział z irytacją Korbekian.

- Nie musi pan - odrzekł Lomax. - Ja rozumiem i to wystarczy.

- Bardzo wątpię, czy on zechce z panem rozmawiać, panie Lomax.

- Owszem, zechce.

Korbekian nie próbował ukryć zainteresowania.

- Skąd ma pan aż taką pewność, panie Lomax?

- Bo powie mu pan, że jeśli nie zaszczyci mnie rozmową, mogę po prostu zaofiarować moje usługi Lodziarzowi.

Korbekian przez długą chwilę przypatrywał mu się uważnie.

- Gdzie mogę się z panem skontaktować?

- Tutaj, jutro wieczorem. Elegancki mężczyzna wstał.

- Przyniosę panu o tej porze odpowiedź. - Zawrócił na pięcie i wyszedł z Błękitnego Pawilonu.

- Przecież ty nie masz zamiaru przyjąć zlecenia na zabicie Lodziarza? - spytał Chłopiec.

- Nie bądź głupi.

- Więc czemu nie zabiłeś tego człowieka tu, na miejscu? Lomax uśmiechnął się tajemniczo.

- Obiecałem maitre'owi, że nie będzie krwi na obrusach.

- Co nas powstrzymuje przed tym, aby pójść za nim od razu i załatwić go?

- Nic prócz zdrowego rozsądku - odrzekł Lomax. - To tylko najemnik. Jeśli go usunę, ten Namaszczony znajdzie kogoś



innego, kto będzie wynajmował dla niego zabójców.

- Więc co teraz robimy?

- Ja zostanę tutaj cieszyć oczy przedstawieniem.

- A co ze mną?

- Z tobą? - powtórzył Lomax. - Weź swoje widzące w ciemności oczy i pójdz za panem Korbekianem.

- Dokąd mam go tropić? - zapytał Chłopiec. Lomax wzruszył ramionami.

- Dokądkolwiek pójdzie.

- A co potem?

- Potem zapamiętaj to miejsce na wypadek, gdyby Namaszczony zdecydował nie spotykać się ze mną.

Chłopiec wyszedł z klubu, Lomax zaś, w poczuciu pożytecznie spędzonego wieczoru, rozsiadł się wygodnie, by oglądać przedstawienie.

### 6

Tuż po wschodzie słońca zaczął brzęczeć hotelowy wideofon.

Lomax usiadł, przerzucił nogi na bok łóżka i polecił aparatowi, by się włączył. W chwilę później zobaczył holograficzny obraz Milo Korbekiana. - Dzień dobry, panie Lomax. - W jaki sposób pan mnie znalazł? - zapytał Lomax. - Nie podałem prawdziwego nazwiska wprowadzając się tutaj.

- Mam swoje sposoby.

- Co się stało? Myślałem, że mamy się spotkać w Błękitnym Pawilonie dziś wieczorem.

- Niekoniecznie. Rozmawiałem z nim i zgodził się z panem spotkać, panie Lomax.

- Kiedy?

- Będę czekał na pana przed wejściem do pańskiego hotelu dokładnie o dwunastej w południe - zawiadomił Korbekian. - Tylko na pana, na nikogo więcej. Proszę zabrać bagaż. Nie wróci pan tutaj.

- Nie ma go na Olympusie?

- Proszę się po prostu przygotować, panie Lomax.

- Zgoda - powiedział Lomax. - Jeszcze jedno, panie Lomax.

- Co takiego?

- Nie lubię, gdy się mnie śledzi. Jeśli pański towarzysz jeszcze kiedykolwiek tego spróbuje, nie odpowiadam za to, co go spotka.

Lomax pozwolił sobie na uśmiech. - Jest bardzo młody.

- Jeśli chce dorosnąć, lepiej będzie, aby usłuchał tego, co właśnie powiedziałem.

- Przekażę mu pana ostrzeżenie. - Lomax umilkł na

chwile. - Czy chce pan, żeby pozostał na Olympusie?

- To dla mnie bez znaczenia, czy pański towarzysz zostanie na Olympusie czy nie. Ale nie może nam towarzyszyć.

Lomax skinął głową, i - Spotkamy się w południe.

- W południe - odpowiedział jak echo Korbekian i przerwał połączenie.

Lomax wstał, przeszedł do łazienki, wziął prysznic, przeczesał włosy grzebieniem i zaczął się ubierać. Gdy skończył, opuścił pokój, windą powietrzną zjechał dwa piętra i zapukał do drzwi pokoju Chłopca.

- Otworzyć - powiedział Chłopiec i drzwi się odsunęły.

- Dzień dobry - rzekł Lomax wchodząc do pokoju.

- Dzień dobry - odpowiedział Chłopiec. Był już ubrany i oglądał holograficzne wideo. Poleciał aparatowi, aby się wyłączył. - Czy adres, który ci dałem zeszłej nocy, przydał się do czegokolwiek?

- Jeszcze nie. - Spojrzał na Chłopca. - Zauważyli cię.

- Niemożliwe - zaprotestował Chłopiec. - Nigdy nie zbliżyłem się bardziej do niego, niż na sto jardów. Przysięgam, że w ogóle mnie nie dostrzegł!

- Wobec tego wytropił cię zapewne jeden z jego ochroniarzy.

- On ma ochroniarzy? - spytał zaskoczony Chłopiec. - Żadnego nie widziałem.

Lomax uśmiechnął się.

- Tacy są najlepsi.

- Powiedział ci to? Lomax kiwnął głową.

- Kiedy? - zapytał Chłopiec.

- Zadzwoił do mnie z dziesięć minut temu. - Jak cię znalazł? Użyliśmy fałszywych nazwisk.

- Mieszka na Olympusie - odrzekł Lomax. - Gdyby nie był dość dobry, by nas odnaleźć, nie utrzymałby się tak długo w

interesie.

Chłopiec przez chwilę patrzył na Lomaxa, a potem odezwał się:

- Więc jak będzie? - zapytał. - Czy spotkamy się z Namaszczonym?

- Ja tak.

- A co ze mną?

- Korbekian nie zgadza się, abys jechał z nami.

- Kim wobec tego jestem? Zakładnikiem? Lomax zachwycił się.

- On nie potrzebuje zakładnika. Ma mnie.

- To co mam robić?

Lomax przyglądał mu się przez chwilę.

- Naprawdę chcesz się w to mieszać, Chłopcze? - Już się wmieszałem.

- Gdybyś chciał się wycofać, moment jest właściwy - stwierdził Lomax. - W tej chwili jesteś cywilem. Jeśli zostaniesz, będziesz wojownikiem, a więc także zwierzyną łowną.

- Zostaję - oświadczył zdecydowanie Chłopiec.

- Okay - rzekł Lomax. - No to zjedzmy śniadanie i przedyskutujmy wszystko.

Opuścili pokój, windą powietrzną zjechali na półpiętro i przeszli do małej restauracji. Chłopiec zamówił duże śniadanie, natomiast Lomax zadowolony był filiżanką kawy i bułką.

- Nigdy nie widziałem takiej restauracji - entuzjasmował się Chłopiec, obserwując unoszące się nad stołem obrazy różnych potraw. - To naprawdę interesujące.

- Banalne - stwierdził Lomax. - To, co widziałeś zeszłej nocy: drukowane menu i żywi kelnerzy, to rzadkość.

Posiłek dostarczono im do stołu automatycznym wózkiem, który poczekał, aż wezmą wszystkie talerze, a potem odjechał do kuchni.

- A więc - powiedział Chłopiec - przejdźmy do interesów.
- Chwileczkę - rzekł Lomax, wyciągając z jednej z kieszeni nieduże, podłużne urządzenie.
- Co to takiego? - zapytał Chłopiec.
- To tylko skrambler - poinformował go Lomax, uruchamiając aparat. - Na głównym piętrze są tu wszędzie urządzenia bezpieczeństwa - kontynuował, wskazując ruchem głowy kamerę, umieszczoną w kącie restauracji. - Jeśli ktokolwiek będzie próbował nas podsłuchiwać, to go powstrzyma.
- Myślisz, że ktoś próbuje nas monitorować? Lomax wzruszył ramionami.
- Kto wie? - Zamyślił się. - Pożyjesz znacznie dłużej, jeśli zawsze będziesz spodziewał się najgorszego i spróbujesz się na to przygotować.
- Zapamiętam twoje słowa - oświadczył Chłopiec.
- Lepiej, by tak było. - Lomax niedbale rozejrzał się wokół, omiótł spojrzeniem twarze przechodzących, próbując rozpoznać kogokolwiek, kogo by widział zeszłej nocy w Błękitnym Pawilonie. Wreszcie ponownie zwrócił się do Chłopca. - Jesteś pewien, że chcesz się w to angażować? Jeszcze jest dość czasu, byś się wycofał.
- Nie ma mowy - stwierdził Chłopiec.
- Dobrze - odrzekł Lomax, pijąc łyk kawy. - Na Olympusie nie można już niczego się dowiedzieć, więc nie ma powodu, abyś tu na mnie czekał.
- Co chcesz, abym zrobił?
- Zawsze marzyłeś, aby poznać Lodziarza, prawda? - powiedział Lomax. - Polecisz zatem na Ostatnią Szansę i przekażesz mu wiadomość.
- Oczywiście chcę go poznać - przyznał Chłopiec. - Ale brzmi to tak, jakbyś wysyłał mnie tam po to, abym poczuł się

użyteczny. Czemu nie możesz jej przekazać radiem podprze-  
strzennym?

- Nie obchodzi mnie, czy się czujesz użyteczny czy nie -  
odrzekł poważnie Lomax. - Wysyłam cię jako kuriera, ponieważ  
przechwycenie tej wiadomości prawie na pewno kosztowałoby  
mnie życie. Czy to dla ciebie dostateczny powód?

- Jak brzmi wiadomość? - zapytał Chłopiec.

- Chcę, abyś mu powiedział, że bez względu na to, co  
usłyszysz, nadal pracuję dla niego.

- A co może usłyszeć?

- Jeśli w ogóle coś usłyszysz, będzie to informacja, że Na-  
maszczony wynajął mnie, abym go zabił.

- Czemu on miałby mi uwierzyć?

Lomax zdjął pierścionek z małego palca lewej dłoni.

- Daj mu go. On wie, że to należy do mnie.

- W porządku - powiedział Chłopiec. Popatrzył przez stół  
na Lomaxa. - A właściwie czemu miałby ci uwierzyć?

- Cholernie dobre pytanie - przyznał Lomax.

- Masz na nie odpowiedź? Lomax skrzywił się.

- Prawdę mówiąc, nie.

- Możesz mieć wielką pokusę - stwierdził Chłopiec. Lomax  
westchnął ciężko.

- Płacą mi za przewyciężanie ich - dokończył butkę i  
wstał. - Mam parę rzeczy do zrobienia. Zapłacę za twój pokój  
do południa. Jeśli zostaniesz dłużej, pokrywasz rachunek z wła-  
snej kieszeni.

- A co będzie z opłatami za hangar i odlot?

- Zajmę się nimi - odparł Lomax. - Zobaczymy się jeszcze,  
Chłopcze.

- Tak jest.

Lomax przyłożył kostkę kredytową do skanera, zaczekał,

aż zarejestrowano wypłatę, a potem opuścił restaurację. W recepcji uregulował swój rachunek, następnie zatrzymał się przy wideofonie i załatwił sprawę opłat w kosmoporcie.

Potem zajrzał do książki wideofonicznej, zapłacił za połączenie z głównym działem biblioteki planetarnej i dotarł do oddziału taśm dzienników.

- Podaj wszelkie informacje dotyczące Namaszczonego - polecił. - Jest sześć artykułów dotyczących Namaszczonego, datowanych

od roku 3445 Ery Galaktycznej do chwili obecnej.

- Daj mi wydruki wszystkich sześciu.

- To będzie dodatkowa opłata 24 kredytów lub 26,2 nowostalinowskich rubli albo 4,78 funta Dalekiego Londynu. Jeśli twój bank macierzysty operuje jakąkolwiek inną walutą, dojdzie trzyprocentowa opłata za wymianę. Czy akceptujesz opłaty?

- Akceptuję.

- Drukuję... załatwione.

Ze szpary poniżej ekranu wysunęły się kopie sześciu artykułów i Lomax przerwał połączenie.

W kącie holu znalazł wygodny fotel, usiadł i rozpoczął lekturę.

Najwcześniejsza wzmianka o Namaszczonym identyfikowała go jako przywódcę małej sekty religijnej, z siedzibą daleko na Skraju. Był aresztowany za zamordowanie jednego ze swych podwładnych, ale oskarżenie oddalono z braku dowodów, gdy dwóch naocznych świadków znikło.

W pięć miesięcy później przeniósł swą bazę operacyjną do Ramienia Spiralnego, niezbyt daleko samej Ziemi, i wówczas Demokracja ścigała go za niezapłacenie 163 milionów kredytów podatków.

W rok później ustanowił świątynie i „punkty rekrutacyjne” na około dwudziestu planetach w sercu Demokracji i, jak mówiono, jego zwolenników liczone na miliony. Brakowało jakiegokolwiek wzmianki o losach oskarżenia o nie zapłacone podatki.

Trzy ostatnie artykuły, datowane w odstępach jednego miesiąca, dotyczyły: polityków oraz innych osobistości publicznych, wypowiadających się przeciw Namaszczonemu; rzekomych ekscesów jego sekty; ponownej odmowy płacenia podatków oraz jego rosnącej potęgi. W najświeższym artykule znajdowała się lista pięciu osób, które przeciwstawiły mu się publicznie, a następnie znikły.

Nie było fotografii ani hologramu Namaszczonego, ani żadnej informacji, czy nawet domysłów co do jego pochodzenia. Lomax był nieco zdziwiony, że nie słyszał o człowieku, który przewodzi tak wielkiej organizacji, ale oczywiście organizacja owa zaczęła istnieć na Skraju i rozprzestrzeniła się tylko w Demokracji, i jeszcze nie dotarła do planet stanowiących Wewnętrzną Granicę. Mężczyźni zaś i kobiety na Granicy nie zajmowali się wydarzeniami nie dotyczącymi ich bezpośrednio.

Najistotniejsze było nie to, w jaki sposób Namaszczony stał się w szybkim tempie tak potężny, lecz raczej to, czemu Lodziarz, właściciel knajpy na zapomnianej planecie Granicy, który prawie od trzech dziesięcioleci nie postawił stopy na terenie Demokracji, zwrócił na siebie uwagę i wywołał wrogość człowieka, mieszkającego pięć tysięcy lat świetlnych od Wewnętrznej Granicy.

Lomax spojrzął na zegarek. Od spotkania z Korbekkią dzieliło go jeszcze kilka godzin, wyszedł więc na chłodne, rześkie powietrze. Spacerował bez celu zatrzymując się od czasu do czasu, tu obejrzał jakąś wystawę, ówdzie holograficzny pokaz, sprzedawcę ulicznego proponującego prześliczne, wykona-



ne przez kosmitów małe rzeźby w kamieniu, jasnowidza przepowiadającego upadek Demokracji, ulicznego muzyka nieznannej rasy, grającego atonalną niepokojącą melodię na strunowym instrumencie dziwnego kształtu.

Zatrzymał się pod sklepem z bronią, z uwagą obejrzał wystawę i nie zauważył niczego, co byłoby lepsze niż jego uzbrojenie, i wreszcie zawrócił do hotelu. Z aprobatą zauważył, że Olympus, jak większość planet Wewnętrznej Granicy, gardził nanotechnologią Demokracji i zamiatało tu ulice zręcznymi maszynami, zamiast posłużyć się nowymi, pożerającymi kurz bakteriami, wyhodowanymi na Deluros VIII.

Do hotelu dotarł jakieś dwadzieścia minut przed dwunastą, pośpiesznie wypił filiżankę kawy i stanął w głównym wejściu. W chwilę później podjechał wspaniały samochód. Drzwi otwały się i Milo Korbekian przywołał go gestem.

- Dzień dobry, panie Lomax - powiedział Korbekian, gdy Lomax wszedł do samochodu.

- Dzień dobry.

- Zakładam, że miał pan tyle rozsądku, by polecić swemu młodemu przyjacielowi, aby nas nie śledził.

- W tej chwili jest o całe lata świetlne stąd.

- Tym lepiej dla niego. Mamy numer rejestracyjny pana statku i gdybyśmy się na niego natknęli podczas naszej podróży, bez wahania rozwalilibyśmy go w kawałki. Czy to jasne?

- Jasne - powiedział Lomax, rozpierając się na luksusowym siedzeniu.

- Czy ma pan jakieś pytania? - zapytał Korbekian, gdy jego kierowca odjechał spod hotelu i włączył się w leniwy, poranny ruch uliczny.

- Zadam je, gdy o nich pomyślę.

- Nim wsiądzie pan na mój statek, zostanie pan gruntow-

nie przeświełony i skonfiskujemy wszelką broń, jaką pan posiada. Jeśli dojdzie pan do porozumienia z Namaszczonym, wszystko panu zwrócimy.

- W porządku.

- Myślę, że się rozumiemy - rzekł Korbekian z uśmiechem zadowolenia.

- Nie ma powodu, by było inaczej, panie Korbekian - odrzekł Lomax. - Przecież mamy znaleźć się w tej samej drużynie.

- Z całego serca żywię taką nadzieję - oświadczył Korbekian. - Z przyjemnością pracowałbym z człowiekiem o pańskich kwalifikacjach.

- Myślę, że mogę to samo powiedzieć o pańskim szefie.

Korbekian leniwie śledził wzrokiem ruch uliczny.

- Co pan wie o Namaszczonym? - zapytał wreszcie.

- Tyle tylko, ile udało mi się przeczytać w taśmach z wiadomościami.

- Nie wierzyłbym we wszystko, co czytuję w oficjalnej prasie, panie Lomax - powiedziała Korbekian.

- Nie?

- Zdecydowanie nie.

- Czy to oznacza, że on płaci podatki? - spytał z uśmiechem Lomax.

Korbekian odwrócił się do niego.

- Nie żartuje się z Namaszczonego, panie Lomax. Prasa jeszcze nie zdaje sobie sprawy, z kim ma do czynienia.

- Odniosłem wrażenie, że jest nader potężnym człowiekiem, choć nie całkiem mile widzianym czy przestrzegającym prawa.

- Panie Lomax, gdybym opowiedział panu, jaki posiada zakres władzy politycznej i finansowej, uznałby pan mnie za głupca lub kłamcę.

## Wróżbiarka T.3 Prorokini

---

- To możliwe - zgodził się uprzejmie Lomax.
- Jeśli nie wierzy pan w nic innego, co panu mówię, proszę uwierzyć w to jedno - powiedział Korbekian. - Pomyliłby się pan podając moje słowa w wątpliwość. - Przerwał. - Śmiertelnie by się pan pomylił.

### 7

Na pokładzie statku Lomax został zamknięty w oddzielnej kwaterze i dlatego nie miał pojęcia, z jaką szybkością podróżują ani jak daleko się udali, gdy wreszcie statek wylądował.

- Przybyliśmy, panie Lomax - zawiadomił Korbekian, otwierając drzwi. - Gdy tylko opuścimy statek, proszę dokładnie przestrzegać poleceń.

- A co z moją bronią?

- Zostanie panu zwrócona po spotkaniu.

- Pański szef może chcieć się przekonać, czy wiem, jak się nią posługiwać.

Korbekian uśmiechnął się. - Jest pan Tancerzem Grobów. To wystarczy. Lomax wzruszył ramionami i wyszedł z kabiny. - Jaka tu jest siła ciężkości?

- Dziewięćdziesiąt siedem koma dwa procent standardowej. Nie będzie pan potrzebował żadnej odzieży ochronnej, żadnego aparatu oddechowego, żadnych środków stymulujących czy uspokajających.

- Zakładam, że gdyby chciał pan, abym wiedział na jakiej planecie jesteśmy, powiedziałby mi pan - zauważył Lomax.

- To prawda.

- No to ruszajmy.

- Proszę za mną.

Korbekian zaprowadził go do śluzy i w chwilę później Lomax znalazł się na niegościnniej, spalonej słońcem ziemi. W dali widać było potężne wydmy piaszczyste, a na horyzoncie wiatr unosił czerwonawe wiry pyłu. Powietrze, suche i gorące, wskazywało, że może to być planeta pustynna, choć dostateczny do oddychania procent zawartego w nim tlenu sugerował, że

gdzieś znajduje się ocean. Ale nie ulegało wątpliwości, że Lomax znalazł się pośrodku pustyni, ciągnącej się we wszystkich kierunkach, jak okiem sięgnąć.

- Przyzwyczai się pan do upału - powiedział Korbekian.  
- Jeśli zrobi się panu słabo, proszę dać mi znać.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Lomax. - Strasznie tu pusto.

- Na spotkanie z Namaszczonym - odrzekł Korbekian. - Jeszcze trochę cierpliwości. Za chwilę ktoś po nas przyjedzie.

Lomax schował się w cień statku i zapalił cygaretkę. Kiedy wypalił ją do połowy, pojawił się błyszczący wóz pancerny i zatrzymał się dziesięć jardów od nich. Korbekian dał znak, aby Lomax wszedł do pojazdu, i sam pośpieszył za nim. Ruszyli pełnym gazem, a Lomax rozparł się wygodnie i odprężony obserwował bezkresny pustynny krajobraz. Nikt nie odezwał się ani słowem. Milcząca podróż trwała ponad pół godziny, po czym pojazd zwolnił i zatrzymał się nagle. Korbekian i Lomax wysiedli, a wóz pancerny popędził dalej.

- Rozumiem, że jesteśmy na miejscu - powiedział Lomax.  
- Tak jest.

Lomax podparł się pod boki i obserwował okolicę. Znajdowali się w oazie. Naturalnej, czy stworzonej przez człowieka, trudno było zgadnąć. Około trzydziestu jardów przed nimi stał duży namiot, którego metaliczna powłoka pochłaniała promienie słoneczne i odbijała je wszystkimi barwami tęczy. Otaczały go dwa tuziny uzbrojonych strażników: wszyscy mieli takie same karabiny dźwiękowe, ale różnorodne mundury. W odległości mili na wschód, na płaskiej, wypalanej słońcem ziemi, pomiędzy dwiema niewielkimi wydmami rozciągał się ogromny budynek. Lomax nie mógł dojrzeć, czy był to garaż, czy hangar. Nie zauważył też pasa startowego, ale ziemia wydawała się tak twarda i płaska, że chyba nie był potrzebny.

Na dachu budynku sterczała bardzo wysoka, cylindryczna antena stacji radiowej, znajdującej się bez wątpienia w pobliskim namiocie.

- Spodziewałem się czegoś bardziej wymyślnego - skomentował kwaśno Lomax.

- To tylko jeden z około pięćdziesięciu przyczółków, które mamy w całej Demokracji i Wewnętrznej Granicy - odparł Korbekian. - Miejsce bez większego znaczenia. - Zawahał się. - Zdziwiłbym się, gdyby Namaszczony spędził tu więcej niż trzy dni w roku.

Lomax milczał.

- Schrońmy się w cień drzew - zaproponował Korbekian. - Nie ma potrzeby się prażyć.

- Ma pan rację - zgodził się Lomax i podążył za nim w stronę pustynnego drzewa rosnącego obok zbiornika wody.

- Mam nadzieję, że nie będziemy zbyt długo czekać - dodał Korbekian po chwili.

- Tak?

- Jestem pewien, że Namaszczony zechce zakończyć rozmowę, abyśmy mogli wyruszyć z planety przed zmrokiem. - Uśmiechnął się chytrze. - Przecież nie ma sensu, aby ujrzał pan gwiazdy i zorientował się, gdzie jesteśmy.

- Nie zamierzam czekać do zmroku, aby rozpocząć pracę - odparł Lomax.

- Nie przeczę. Mam już dosyć wysyłania przeciwko Lodziarzowi wychwalających się nieudaczników. Powinien być martwy od dwóch miesięcy.

Z namiotu wyłoniła się młoda kobieta i podeszła do nich.

- Namaszczony przyjmie pana teraz - powiedziała.

- Świetnie - odrzekł Korbekian, ruszając naprzód. - Tylko pan Lomax - zaznaczyła.

Korbekian odwrócił się.

- Życzę szczęścia. Mam nadzieję, że po rozmowie będziemy ze sobą współpracować.

Lomax podążył za kobietą do namiotu. Na progu odwróciła się i spojrzała na niego.

- Będzie pan używał zwrotu: „Mój Panie” - oznajmiła, jakoby że nie jest pan jeszcze wyznawcą naszej wiary. Nie trzeba klękać przed nim - ciągnęła. - Pochyli pan głowę na powitanie, ani na chwilę nie odwróci się tyłem, i wycofa, kiedy spotkanie dobiegnie końca. Czy to jest zrozumiałe?

- Tak - odparł Lomax.

- Proszę zatem wejść - rzekła kobieta, usuwając się na bok. Lomax schylił głowę i przekroczył próg. Natychmiast wyrosło przed nim dwóch krzepkich mężczyzn odzianych w luźne szaty z błyszczącej metalicznej tkaniny. Poprowadzili go do środkowej części namiotu.

Podłogi zaścilały misternie utkane kobierce, a ściany, pokryte stopami tytanu i dzięki temu całkowicie odporne na każdy atak, zawieszane obrazami i hologramami ze światów ludzi oraz kosmitów.

W powietrzu unosił się słodki zapach kadzidła, a ze srebrnej kostki, zwieszającej się nad podłogą, dobywała się delikatna, egzotyczna muzyka.

Pośrodku stało drogocenne, rzeźbione krzesło, na którym spoczywał wysoki, ascetyczny mężczyzna o orlim nosie, wystających kościach policzkowych i czarnych jak węgiel oczach. Ubrany był w białą szatę, a na szyi miał złoty łańcuch z licznymi religijnymi symbolami.

Obok mężczyzny, na podłodze, siedziało zwierzę z rodziny kotów. Silne mięśnie, wielkie pazury i ostre kły budziły respekt. Zielone oczy zwężyły się na widok Lomaxa, a z pyska zwierzęcia wydobywały się głucho pomruki. Namaszczony uspokoił wiel-

kiego kota, który położył się, ale bacznie obserwował przybysza.

Wreszcie Lomax odważył się podejść bliżej.

- Witaj w moich skromnych progach - powiedział gospodarz niskim, głębokim głosem, wstając z krzesła. - Jestem Mojżesz Mahomet Chrystus, znany prawdziwym wyznawcom jako Namaszczony.

- Bardzo mi miło, Mój Panie - odparł Lomax z głębokim ukłonem.

- Czy mój ulubieniec pana niepokoi?

- Nie, jeśli to ulubieniec...

- Nikt, oprócz mnie, nie może się do niego zbliżyć, jeżeli nie chce stracić ręki lub nogi - wyjaśnił Namaszczony, delikatnie głaszcząc zwierza po głowie. - Ale mnie, jak pan widzi, nic nie grozi.

- Tak, widzę - bąknął Lomax.

- Gdybym kazał mu zaatakować, przegryzłby panu gardło w sekundę - ciągnął Namaszczony.

- Możliwe - wtrącił Lomax. - Jeśli jednak by mnie zaatakował, któż pokonałby dla pana Lodziarza?

- Podoba mi się pan - uśmiechnął się Namaszczony.

- Dziękuję, Mój Panie.

Uśmiech zamarł na twarzy Namaszczonego.

- Dlaczego chcesz zabić Carlosa Mendozę?

- Tak naprawdę nie pragnę go zabić - odparł Lomax. - Zabijanie ludzi to niebezpieczna zabawa. Wolałbym dostać pieniądze za to, aby Mendoza pozostał żywy... Ale chyba nie dostanę forsy bez roboty, prawda?

- To nie jest temat do żartów, panie Lomax - odparł z powagą Namaszczony, a zwierzę, wyczuwając gniew pana, poruszyło się groźnie. - Jest sprawą najwyższej wagi, aby Carlos Mendoza został usunięty.



- Dlaczego?
- To nie pańska sprawa.
- Zawsze, zanim przyjmę zlecenie, muszę wiedzieć, z jakiego powodu mam zabijać.
- Do tej pory otrzymywał pan zlecenia jedynie od zwykłych Śmiertelników.
- Czy pan jest nieśmiertelny? Pomazaniec otworzył usta i powiedział:
  - Między moimi zębami jest szpara. Na lewym uchu mam pieprzyk, a na prawym ramieniu znamię. Narodziłem się czwartego dnia w czwartym miesiącu, a Słońce skryło się za Księżyc. Nie może być wątpliwości, że jestem Namaszczonym.
  - Z całym należnym szacunkiem, Mój Panie - powiedział Lomax - ale co to właściwie oznacza, że jesteś Namaszczonym?
  - Jestem tym, na którego rasa ludzka oczekiwała przez wszystkie eony. Chcę zjednoczyć całą rasę, zanieść władztwo Człowieka do najdalszych granic Galaktyki.
  - Myślałem, że Demokracja robi dokładnie to samo.
  - Wybaczam ci twój brak respektu, gdyż nie jesteś jeszcze prawdziwie wierzącym - oświadczył Namaszczony. - Ale wiedz, że Demokracja jest zaledwie moim zwiastunem, że teraz, gdy wstąpiłem na scenę, dni Demokracji są policzone. Bóg wybrał mnie, abym stał się narzędziem Jego przekazu dla rasy Człowieka, bym rządził nią tak, jak On sobie życzy. Czy widzisz tron, na którym siedzę?
  - Tak.
- Oczy Namaszczonego rozświetlił fanatyzm.
- Bóg polecił mi rządzić Galaktyką z tego tronu, zasiąść na nim na Syriuszu V, na Ziemi i w pałacu, który wybuduję na Deluros VIII, gdzie wreszcie wypełnię moje przeznaczenie i będę rządzić Jego bezkresną dziedziną.

- Wydaje się, że to zadanie na twoją miarę - rzekł wymijająco Lomax.

- Jestem bliższy wypełnienia planu Wszchemogącego, niż potrafisz sobie wyobrazić - odparł z absolutnym przekonaniem Namaszczony. - Ponad dwieście planet już przysięgło mi posłuszeństwo, a nawet w chwili, gdy rozmawiamy, moi zwolennicy nawracają masy na tysiącu planet.

- Czemu człowiek, który rządzi setkami planet i milionami zwolenników i który planuje zdobycie stołecznej planety Demokracji, miałby niepokoić się właścicielem knajpy na dalekim skraju Wewnętrznej Granicy - zapytał prawdziwie zadowolony Lomax. - Jakąż groźbę może dla ciebie stanowić Lodziarz?

- Mendoza? - powtórzył Namaszczony. - On sam nie stanowi w ogóle dla mnie zagrożenia.

- Więc czemu chcesz jego śmierci?

- Już ci powiedziałem: to nie twoja sprawa.

- Może nie... Ale jeśli chcesz, bym go zabił, będziesz musiał mi powiedzieć.

- Czy ośmielasz się rozkazywać Mojżeszowi Mahometowi Chrystusowi? - zapytał Namaszczony.

- Nie, Mój Panie - odparł Lomax, kłaniając się ponownie.

- Bądź pewien, że nie zamierzałem cię obrazić. - Przerwał. - Myślałem, że będziemy w stanie robić wspólnie interesy. Myliłem się jednak.

Namaszczony długo spoglądał twardym wzrokiem na Lomaxa. - Czemu miałbym wierzyć, że potrafisz go zabić, gdy nie zdołało tego dokonać tylu innych?

- Po pierwsze, ponieważ jestem najlepszy ze wszystkich - odparł natychmiast Lomax. - A po drugie, ponieważ już byłem na Ostatniej Szansie. Moja obecność nie zaalarmuje go.

- Jeśli z powodzeniem wykonasz to zlecenie - odpowie-

dział powoli Namaszczony, jakby ważąc każde słowo - dam ci następne. Przekonasz się, że potrafię być równie hojny, nagradzając sukces, jak okrutny, gdy mam do czynienia z nieudolnością. - Zamilkł na chwilę. - Ponieważ nie potrafisz jeszcze pojąć prawdziwego zasięgu mej potęgi i nie jesteś biegły w prawdach Jedynej Wiary i, wreszcie, ponieważ Carlos Mendoza musi umrzeć, w tym jednym wypadku wybaczę ci twój występki i zaspokoję twoją ciekawość.

- Dziękuję, Mój Panie.

- Jeśli wykonasz to zlecenie, nigdy więcej nie będziesz kwestionował moich rozkazów - kontynuował Namaszczony. - Czy to jasne?

- Całkowicie, Mój Panie.

- Więc słuchaj z uwagą, bo nie będę się powtarzał - powiedział Namaszczony. - W końcu Demokracja ugnie się przed moją wolą. Nawet miliard okrętów jej osławionej Marynarki Kosmicznej nie będzie umiało mi się przeciwstawić. - Zastanawiał się przez chwilę, wpatrując w jakiś odległy punkt, widzialny tylko dla niego. - W całej Galaktyce jest tylko jedna siła, zdolna mi się przeciwstawić, obalić wolę Boga i powstrzymać mnie przed zaniemieniem mego tronu na DelurosVIII.

- Lodziarz? - zapytał Lomax, marszcząc brwi z niedowierzaniem.

- Powiedziałem ci, byś słuchał, a nie mówił - napomniął go ostro Namaszczony. - Carlos Mendoza w ogóle nie stanowi dla mnie groźby. Ale jest jedyną osobą, która przeżyła pojedynek z moim prawdziwym przeciwnikiem. Jeśli ona miała powody, by zostawić go przy życiu, nie obchodzi mnie, jakie one były. Chcę, by umarł.

- Ona? - zapytał Lomax.

- Podobnie jak ja zaprzysięgła zgubę Demokracji, a przecież przeciwstawiła się również mnie, co w końcu będzie ją

kosztować życie. Ale przedtem poleje się krew milionów - odrzekł Namaszczony.

- O kim ty mówisz?

- Jej prawdziwe nazwisko jest nieistotne - kontynuował - ale w ostatnich czterech latach wynurzyła się z mroku i przyjęła nowe imię. Jest Prorokinią.

**CZĘŚĆ 2**  
**KSIĘGA LODZIARZA**

### 8

Silikonowy Chłopiec, w olśniewająco barwnej nowej odzieży i błyszczących czarnych butach, wszedł do tawerny Końca Trasy, zaczekał, aż drzwi zasuną się za nim i rozejrzał się dookoła. To, co zobaczył, było bardziej zbliżone do jego wyobrażeń o Wewnętrznej Granicy (szulerzy i kurwy, górnicy i awanturnicy, wszyscy uzbrojeni, sami prawdziwi lub potencjalni zabójcy) niż Błękitny Pawilon, który bardziej pasował do Demokracji. Koniec Trasy zaś był dokładnie na swoim miejscu w osadzie handlowej na maleńkiej planecie zwanej Ostatnią Szansą.

Raz jeszcze rozejrzał się po sali, z przyjemnością stwierdzając, że wielu klientów przygląda mu się ciekawie i z satysfakcją kiwnął głową. Wreszcie podszedł do baru.

- Co podać? - zapytał Lodziarz, który podszedł kulejąc, by go obsłużyć.

- Piwo.

- W tej chwili.

Lodziarz podstawił pod kurek pustą szklankę, mruknął „Lej”, odczekał chwilę, kazał kurkowi skończyć i posunął szklankę po barze Silikonowemu Chłopcowi.

- Do oporu? - zapytał Lodziarz.

- Nie, chcę tylko jedno piwo - powiedział Chłopiec, posuwając po barze kilka sześciokątnych monet i przyglądając się z napięciem Lodziarzowi.

- Coś nie w porządku? - zapytał Lodziarz, podejrzliwie patrząc na Chłopca.

- To zabawne - odparł zapytany.

- Co takiego?

- Niech mnie diabli wezmą, jeśli wyglądasz jak żywa legenda.

- Cóż, prawdę mówiąc, nie czuję się, jakbym był żywą legendą - odpowiedział Łodziarz. - Ale zapytam przez czystą ciekawość: jak, według ciebie, wygląda żywa legenda?

- Nie wiem - przyznał Chłopiec. - Ale nie tak jak ty. - Zastanowił się. - Ale musiałeś być groźny, jak mówią, tylko dzięki temu zapewne dożyłeś tak późnej starości.

- Synu, pozwól, że dam ci przyjacielską radę, jeśli mi wolno - rzekł Łodziarz, z napięciem wpatrując się w Chłopca.

- Jaką?

- Bez względu na to, co o mnie mówią, jestem nadal dość groźny - stwierdził. - Nie zdołasz ich dostrzec, ale w tej chwili są wycelowane w ciebie cztery strzelby, radzę ci więc, byś nie robił nic takiego, co by spowodowało, że nie dożyłbyś chwili, w której mógłbyś tego pożałować.

- Cztery? - powtórzył zaskoczony Chłopiec. Rozejrzał się po sali raz jeszcze. - Gdzie one są?

- Powiedzieć ci - odrzekł z ponurym uśmiechem Łodziarz - byłoby nieostrożnością. A skoro już o tym mowa, może powiesz mi, co właściwie robisz na Ostatniej Szansie?

- Przyleciałem tutaj, by cię odnaleźć.

- Okay, znalazłeś mnie - stwierdził Łodziarz. - I co teraz?

- Teraz mam ci przekazać wiadomość od Tancerza Grobów. Łodziarz wlepił w niego wzrok.

- Co wiesz o Tancerzu Grobów? - zapytał wreszcie.

- Można by powiedzieć, że jesteśmy w pewnym sensie partnerami - odpowiedział Chłopiec.

- Nie, nie sądzę, aby to była prawda - rzekł Łodziarz. - Ludzie tacy jak Lomax nie biorą partnerów.

- Cóż - odrzekł Chłopiec, lekko wzburzony - dał mi swój statek i zaufał mi na tyle, bym ci przekazał wiadomość od niego.

- Okay - zgodził się Lodziarz. - Co to za wiadomość?

- Tutaj? - zdziwił się Chłpiec. - Przy barze? Lodziarz zrobił rozbawioną minę.

- W promieniu trzydziestu stóp od nas nie ma nikogo. Czy wolałbyś powiedzieć mi to raczej przy kole ruletki... a może w męskiej toalecie?

Chłpiec wzruszył ramionami i pochylił się nad barem.

- Człowiek, który ogłosił kontrakt na zabicie ciebie to przywódca sekty religijnej, nazywają go Namaszczonym.

Lodziarz zmarszczył brwi.

- Nigdy o nim nie słyszałem. Czemu pragnie mojej śmierci?

- Nie wiem.

Lodziarz zaczął wycierać szklankę ścierką, zastanawiając się nad tym, co usłyszał.

- Czemu Lomax nie przekazał tej wiadomości po prostu przez radio?

- Odlatywał na spotkanie z Namaszczonym oraz, no... - A ty nie byłeś zaproszony?

Chłpiec skinął głową.

- Cóż, tak to bywa, gdy się jest młodszym partnerem.

- Mam przekazać ci coś jeszcze - powiedział Chłpiec.

- O?

Chłpiec wyciągnął pierścionek Lomaxa.

- Kazał ci to pokazać.

- W porządku, widziałem - odrzekł Lodziarz. - To jego. A więc jak brzmi reszta wiadomości?

- Bez względu na to, jakie usłyszysz plotki, Lomax nie zamierza cię zabić.

- A usłyszę takie plotki?

- Wydaje się, że on tak uważa.

- A więc spotkał się z tym Namaszczonym rzekomo jako



zabójca, wolny strzelec?

- Bardzo szybko myślisz.

- No, to miejmy nadzieję, że Namaszczony nie zaproponuje mu aż tyle pieniędzy, by zapomniał, wobec kogo powinien być lojalny.

- Tego by nie zrobił - zapewnił Chłopic.

- Zdziwiłbyś się, do czego ludzie są zdolni dla pieniędzy - powiedział Lodziarz. Zza baru wyciągnął butelkę, wyjął dwa kieliszki i kulejąc podszedł do stolika niezbyt odległego od wejścia. - Chodźże, młody człowieku - dodał. - Mamy ze sobą do pogadania.

Chłopic poszedł za nim i usiadł po drugiej stronie stolika.

- Napij się - rzekł Lodziarz, napełniając oba kieliszki i podsuwając jeden Chłopcu. - Na koszt firmy.

- Dziękuję. Co to takiego?

- Whisky, którą robią w układzie Bindera.

Chłopic pociągnął łyk. Spalił mu język i gardło, ale młodzieniec zmusił się do uśmiechu.

- Dobrze - wybełkotał.

- Nigdy nie bierz posady dyplomaty ani polityka - zauważył kwaśno Lodziarz.

- Przepraszam? - Jesteś fatalnym kłamcą.

- Powiedziałem, że to lubię - odrzekł poirytowany Chłopic, dopijając jednym haustem resztę drinka, a potem bez powodzenia walcząc z kaszlem.

- Jak, u diabła, Lomax w ogóle dał ci się omamić?

- A to co ma znaczyć? - zapytał Chłopic.

- Chcę po prostu wiedzieć jak, u diabła, Lomax dał ci się omamić - powtórzył spokojnie Lodziarz.

- Oddałem mu przysługę na Szarej Chmurze. - Jakiego rodzaju?

- Uratowałem mu życie. Lodziarz wlepił w niego spojrzenie.

- Ty? - zapytał z jawną niewiarą.

- Ja

- Prawdopodobnie sam mi opowiesz, jak to było?

- Myślisz, że kłamię? - spytał podniecony Chłopic.

- Powiedzmy, że przesadzasz - powiedział Lodziarz. - I lepiej, by tak było - dodał. - Jeśli Lomax potrzebował ciebie, aby ujść z życiem, oznacza to, że wynająłem niewłaściwego człowieka. A nie dożyłbym takiej starości, myśląc się w ocenie ludzi, których wynajmowałem - stwierdził. - Gdzie natknęliście się na tego Namaszzonego?

- Nigdzie. Skontaktowaliśmy się z jednym z jego ludzi na Olympusie, ale nie wiem, gdzie znajduje się sam Namaszczony.

- Co ci o nim wiadomo?

- Niewiele. Jest przywódcą jakiejś sekty religijnej i chce twojej śmierci.

- Jesteś pewien, że ten, o którym mówisz, to on, a nie ona? - zapytał Lodziarz, wreszcie popijając swego drinka.

- Taak. Przynajmniej Korbekian, to jest ten człowiek na Olympusie, który w kółko najmuje ludzi mających cię zabić, Korbekian zawsze mówił o nim: on. A bo co? - zapytał Chłopic. - Czy istnieje jakaś kobieta śmiertelnie na ciebie obrażona?

- Wszystko jest możliwe - stwierdził Lodziarz. - Chciałem tylko upewnić się, że nie przyjęła teraz imienia: Namaszczony.

- A więc gdzieś tam w kosmosie żyje kobieta, która chce cię zabić? - powtórzył Chłopic. Jego twarz ożywiło zainteresowanie. - Co jej zrobiłeś?

- To długa historia - odpowiedział Lodziarz, kończąc drinka.

- Zamieniam się w słuch.

- To nie twoja sprawa - stwierdził Lodziarz.
- Wiesz, nie jesteś najprzyjaźniej usposobionym człowiekiem, jakiego spotkałem - zauważył Chłopic.
- Posłuchaj - odrzekł Lodziarz - w ubiegłym miesiącu miałem tu czterech ludzi, którzy chcieli mnie zabić, nigdy wcześniej ich nie widziałem. Teraz ty pojawiaasz się jak grom z jasnego nieba, by opowiedzieć mi, że jakiś maniak religijny, o którym nigdy nie słyszałem, pragnie mojej śmierci i że w najbliższych dniach mogę się dowiedzieć, iż Tancerz Grobów pracuje dla niego. Owszem, niektórzy ludzie mogą w takich okolicznościach darzyć wszystkich wokół przyjaźnią, ale ja do nich nie należę.
- Ależ ja tu jestem po to, by ci pomóc - oświadczył Chłopic.
- Ty? - Lodziarz uśmiechnął się rozbawiony. - A co ty potrafisz?
- Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział. Lodziarz wzruszył ramionami.
- Zapewne - odparł.
- Jak się nazywasz?
- Nazywają mnie Silikonowy Chłopic.
- Kto tak cię nazywa?
- Chłopic z wysiłkiem przełknął ślinę.
- Wszyscy, których spotkałem od czasu opuszczenia Szarej Chmury - wyjaśnił niepewnym głosem.
- Ilu ich było? Dziesięciu, he? - rzekł Lodziarz. - Cóż, imię jest ciekawe, szczególnie, że nosi je człowiek z krwi i kości, a do tego młody. Jak się go dorobiłeś?
- Tancerz Grobów mi je nadał.
- W takim razie jestem pod wrażeniem - stwierdził Lodziarz. - Czemu nazwał cię Silikonowym Chłopcem?
- Mam implantowane czipy, pozwalające mi widzieć w

ciemności oraz w pasmach podczerwieni i ultrafioletu. A gdy byłem w drodze z Olympusa tutaj, stworzyłem taki czip, który uczyni mnie człowiekiem o najszybszych reakcjach w całej Galaktyce.

- Nie dałeś go sobie jeszcze wszczepić?

- Nie, ale to prosta operacja, do załatwienia w gabinecie zabiegowym - powiedział Chłopiec. - Jeśli macie lekarza na Ostatniej Szansie, można to zrobić w niecałą godzinę.

- Jednego mamy - odpowiedział Lodziarz - ale nie widziałem go trzeźwego przez większą część ostatniego dziesięciolecia. Na twoim miejscu poczekałbym, aż trafię na większą planetę.

We wzroku Chłopca malowało się rozczarowanie.

- Miałem nadzieję, że zrobią mi to tutaj, abym mógł cię chronić.

- Dzięki za tę myśl - rzekł Lodziarz - ale nie potrzebuję ochrony na mojej własnej planecie. Poza tym odlatuję dzisiajszego popołudnia.

- O? Dokąd lecisz?

- Do Demokracji.

- Czemu?

- Bo jeśli zostanę tutaj, będę tarczą strzelecką dla morderców Namaszczonego - powiedział Lodziarz. - Może Lomax zdoła dać sobie radę z tą sytuacją, a może nie... Nie zamierzam jednak czekać, aż się tego dowiem.

- Ale czemu do Demokracji? - zapytał Chłopiec. - Przecież nie mówiłem, że Namaszczony tam przebywa. - Przerwał. - Do diabła, w ogóle nie wiem, gdzie on jest.

- Ja też nie - stwierdził Lodziarz. - Ale, do jasnej cholery, zamierzam się dowiedzieć.

- I myślisz, że ktoś w Demokracji może ci to powiedzieć?

- O tak - stwierdził z całkowitą pewnością Lodziarz. - Jest

tam ktoś, kto może mi powiedzieć.

- Dlaczego chcesz odbyć tak daleką podróż? - zapytał Chłopic. - Czemu po prostu nie wyślesz mu wiadomości podprzestrzennej?

- Nie mówiłem, że on będzie chciał mi powiedzieć - odrzekł Lodziarz. - Tyle tylko, że może to zrobić. I robi to - zakończył ponurym tonem.

- Jadę z tobą - oświadczył Chłopic.

- Nie przypominam sobie, bym cię zaprosił.

- Gdy wyjedziesz, nic tu się nie będzie działo.

- Chłopcze - rzekł poważnym tonem Lodziarz - cmentarze pełne są młodych ludzi, którzy przybyli na Wewnętrzną Granicę w poszukiwaniu czegoś, co się dzieje. Wierz mi, znacznie lepiej będzie dla ciebie, jeśli poczekaasz tu, dopóki nie pojawi się Lomax.

Chłopic potrząsnął głową.

- Tam jest cała Galaktyka, czekająca, by ją zwiedzić. - Uśmiechnął się. - Zamierzam to zrobić.

- Poleć jako turysta. Dłużej pożyjesz.

- Jeśli mnie nie weźmiesz, po prostu polecę w ślad za tobą statkiem Tancerza Grobów - oświadczył Chłopic.

- To twoje prawo - stwierdził Lodziarz. - Postaraj się go nie rozbić.

- Jasna cholera, Lodziarzu - wybuchnął Chłopic - czemu nie możesz zrozumieć, że jestem po twojej stronie?

- Chłopcze, ty nawet nie wiesz, co to za gra. - A ty?

- Też nie - przyznał Lodziarz. - Ale się dowiem.

- Możesz mnie potrzebować. - Wątpię.

- Gdy tylko będę miał wszczepiony mój czip, stanę się najszybszym strzelcem, jakiego kiedykolwiek widziano.

- Szybkość jest dobra - powiedział Lodziarz. - Celność

lepsz. - Znów przerwał. - A wiedza, kiedy nie strzelać, jeszcze lepsza.

- Jeśli będę z tobą, możesz mi powiedzieć kiedy strzelać, a kiedy nie.

- Pouczanie cię, co masz robić, nie należy do mnie - oświadczył Lodziarz. - Popatrzył Silikonowemu Chłopcowi w oczy.

- Nie wiesz, w co się pakujesz. Jeśli masz mózg pod czaszką, wrócisz na Szarą Chmurę i tam zostaniesz.

- Ty także nie wiesz, w co się pakujesz - odgryzł się Chłopiec. - Ja już się wpackowałem - stwierdził Lodziarz. - Czterech ludzi przybyło tutaj, by mnie zabić.

- A czemu wyobrażasz sobie, że przestaną tylko dlatego, że opuścisz Ostatnią Szansę? - zapytał Chłopiec. - Mogę ci pomóc.

- Dlaczego?

- Co dlaczego? - zapytał skonfundowany Chłopiec. Lodziarz przyjrzał mu się z nieukrywaną ciekawością.

- Znamy się od dziesięciu minut. Czemu chcesz dla mnie ryzykować życie?

- Od czasu gdy byłem dzieckiem, słyszałem jak o tobie opowiadano. Zapewne nie uwierzysz, ale jesteś jednym z moich bohaterów.

- Jestem za stary, za gruby i do tego kulawy, nie mogę być czymkolwiek bohaterem - powiedział Lodziarz.

- Tym bardziej mnie potrzebujesz. Możesz czuć się bezpiecznie na Ostatniej Szansie, ale gdy ją opuścisz, staniesz się tarczą strzelecką.

- Posłuchaj, Chłopcze, nawet jeśli będziesz miał twój implant, oznacza to tylko tyle, że twoje reakcje staną się szybsze.

- Czy to nie wystarczy?

Lodziarz znów zrobił rozbawioną minę.

- Oznacza więc, że będziesz mógł spudłować strzelając

dwukrotnie szybciej niż większość zwykłych ludzi.

Chłopiec wstał, wziął butelkę i podszedł do baru. Postawił ją na samym końcu i wrócił do stolika.

- Czy możesz zasłonić okna i zgasić światła?

- Mam tu parę tuzinów gości, którzy tego nie pochwalą.

- Tylko na kilka sekund. - Po co?

- Bym mógł ci udowodnić, że mnie potrzebujesz. Lodziarz popatrzył na niego, a potem wzruszył ramionami.

- Na chwilę zaciemnimy salę - zawiadomił zgromadzonych pijaków i szulerów. - Nie ma się czego obawiać. Jeśli na stołach leżą karty albo pieniądze, przykryjcie je dłońmi.

Odczekał kilka sekund, a potem kiwnął głową jednemu ze swych ludzi, który udał się do jego biura. W chwilę później drzwi zamknęły się bezgłośnie, okna stały się nieprzezroczyste, a światła pogasły.

- Co teraz? - zapytał Lodziarz.

- Teraz pokażę ci, co potrafię - oznajmił Chłopiec. Nastąpiła chwila ciszy, przerwana odgłosem wystrzału z pistoletu na pociski, a potem trzask.

- Co to, u diabła, było? - zapytał Lodziarz, gdy jakaś kobieta wrzasnęła, a paru mężczyzn rzuciło mięsem.

Natychmiast zapaliły się światła, Lodziarz zaś ujrzał, że połowa jego klientów wyciągnęła broń.

- Ludzie, nic się nie stało - powiedział uspokajająco. - Nie ma co się podniecać.

- Popatrz - oznajmił z dumą Chłopiec, wskazując roztrząskaną butelkę na barze.

Lodziarz pokuśtykał do baru i zatrzymał się o kilka kroków od butelki, patrząc na odłamki szkła leżące na barze.

- Doprawdy umiesz widzieć w ciemności? Chłopiec kiwnął głową.

- I trafić do tego, w co celuję.
- Skąd mam wiedzieć, że nie zapamiętałeś, gdzie ona stała? - zapytał Lodziarz.
- Sądzisz, że to możliwe? - odpowiedział pytaniem Chłopic. - Możemy to powtórzyć, a ty możesz postawić butelkę gdziekolwiek, gdy tylko sala będzie ciemna.
- Lodziarz zastanowił się nad propozycją, a potem pokręcił głową.
- Nie, nie trzeba. Wierzę ci.
- A więc? - zapytał Chłopic z pewnym siebie uśmiechem.
- Dobrze - odparł Lodziarz. - Zrobiłeś na mnie wrażenie. - Jak wielkie? - nie ustępował Chłopic.
- Od tej chwili pracujesz dla mnie.
- A ile zarobię w tej robocie?
- Zależy, czego będę od ciebie chciał - odrzekł Lodziarz. - Wyciągnął z kieszeni plik kredytów i wręczył go Chłopicu. - Przez pewien czas utrzymasz się za to.
- Dzięki - odpowiedział Chłopic, biorąc pieniądze. - Kiedy odlatujemy?
- Kiedy tylko zjem lunch i spakuję rzeczy. Możemy się spotkać przy hangarze.
- Dziękuję, Lodziarzu - oświadczył Chłopic. - Nie pożalujesz.
- To się jeszcze okaże - powiedział Lodziarz.



Planeta nazywała się Słodkowodna i była względnie nowym pomysłem międzygwiazdowego handlu nieruchomościami: planetą dla emerytowanych Bardzo Bogatych.

Słodkowodna szczyła się tym, że było na niej mnóstwo pól golfowych (jedno przypadało na pięćdziesięciu mieszkańców), każdy dom miał kryty i odkryty basen, a jeden lekarz przypadał na dwustu mieszkańców. Każdy właściciel nieruchomości posiadał jedną milę plaży nad słodkowodnym oceanem. Z miejscowych sklepów szybko dostarczano zakupy. Otwarto codzienne połączenia statkami pasażerskimi z ponad tuzinem głównych planet Demokracji. Znajdowały się tu dosłownie setki prywatnych hangarów, z pół tuzina domów maklerskich, połączonych ze wszystkimi ważniejszymi giełdami na obszarze Demokracji, ogrodzenia o najwyższym stopniu bezpieczeństwa wokół każdej posiadłości oraz znaczne, lecz dyskretne siły bezpieczeństwa.

- Osiedlenie się tutaj musi kosztować harmonię pieniędzy - zauważył Chłopic, gdy wraz z Lodziarzem wyszedł ze statku.

- Większość mieszkających tu ludzi może sobie pozwolić na harmonię lub dwie - odrzekł sucho Lodziarz.

- Kto w ogóle tu mieszka?

- Każdy, kto sobie może na to pozwolić.

- Nie może tu być wielu mieszkańców - orzekł Chłopic.

- I nie ma. Jakies trzydzieści pięć tysięcy - powiedział Lodziarz.

Przeszli przez budynek kosmoportu, w którym znajdowała się elegancka restauracja i dwa bardzo wytworne sklepy z prezentami; jeden z nich sprzedawał wyłącznie rzadkie i kosz-

towne dzieła sztuki kosmitów. W końcu wynurzyli się na jasne światło słoneczne i ciepłe, suche powietrze Słodkowodnej.

- Człowiek, z którym chcę się spotkać, nie będzie rozmawiał w obecności nieznanego - uprzedził Lodziarz, zwracając się do Chłopca. - Na tej planecie lekarze nie zaliczają się do ginących gatunków. Może dasz sobie wszczepić swój czip w czasie, gdy ja zajmę się moją sprawą, a za jakieś pięć do sześciu godzin spotkalibyśmy się tu, przed wejściem do restauracji. Przed odlotem możemy zjeść przyzwoitą kolację.

- Świetnie - zgodził się Chłopiec. Lodziarz pokazał palcem windę powietrzną.

- Ta prowadzi na peron kolei jednoszynowej, skąd w ciągu dziesięciu minut możesz się dostać do tutejszego centrum. Gdy tylko tam dotrzesz, bez trudności znajdziesz lekarza.

- Nie jedziesz do miasta? Lodziarz potrząsnął głową.

- Mój człowiek mieszka w przeciwnym kierunku. Wynajmę samochód i pojadę do niego.

- Okay - powiedział Chłopiec. - Spotkamy się później.

Młody człowiek poszedł do windy, a Lodziarz załatwił sobie wehikuł. Po paru minutach wjechał w okolicę starannie utrzymaną jak park, mijając jedną po drugiej położone nad brzegiem oceanu posiadłości.

Skręcił w boczną uliczkę, jechał nią przez około ćwierć mili, aż dotarł do pola chronionego wysokim napięciem.

- Kto tam? - zapytał mechaniczny głos, dobiegający z holograficznej kamery obrazowej.

- Carlos Mendoza.

- Sprawdzam kartotekę... - powiedział głos. - Pozytywna identyfikacja dokonana.

Potem dał się słyszeć inny głos, tym razem odezwał się człowiek.

- A niech mnie diabli! Wejdźże!

Pole rozproszyło się, Lodziarz zaś przejechał pozostałe trzysta jardów do kanciastego domu, zbudowanego z jakiegoś dziwnego materiału, który zdawał się odbijać setki zmiennych kolorów według stale powtarzającego się wzoru. Dom otaczały baseny, pomosty i egzotyczne ogrody pełne dźwięczących jak dzwonki krystalicznych kwiatów, z jednej strony zaś przez długą szklaną ścianę widać było niebieskozielony ocean.

Zatrzymał pojazd, a potem stanął na ruchomej poduszce powietrznej, która łagodnie zaniósła go na drugą kondygnację domu. Gdy dotarł do drzwi wejściowych, stwierdził, że są otwarte, więc wszedł do wyłożonego lustrami holu. Powitał go tam stary, łysiejący mężczyzna z długimi rękami i nogami oraz niewielkim brzuszkiem.

- Carlos Mendoza! Kopę lat! Lodziarz skinął głową. - Jak ci się wiodło?

- Nie mogę narzekać - powiedział starszy pan, prowadząc go przez hol do dużego pokoju w kształcie koła, z którego roztaczał się fantastyczny widok na wybrzeże.

Lodziarz ogarnął wzrokiem cały pokój i uśmiechnął się.

- Zamknęliby cię, gdybyś narzekał. To wspaniałe miejsce. - Jeszcze tu nie byłeś?

- Raz, gdy tylko zamieszkałeś na Słodkowodnej.

- Ach tak... na przyjęciu z okazji mojego odejścia ze służby czynnej. - Starzec zamyślił się, a po chwili zapytał: - Czy mogę podać ci coś do picia?

- Czemu nie?

- A co byś chciał? - zapytał gospodarz, podchodząc do baru, który wyrósł z podłogi w chwili, gdy się do niego zbliżył.

- Cokolwiek masz.

- No, na specjalną okazję zachowałem butelkę koniaku z

układu Łabędzia - powiedział stary. - Ponieważ jesteś moim pierwszym gościem od ponad miesiąca, uważam, że jest ona wystarczająco specjalna.

- To mi się podoba - zgodził się Lodziarz. Podeszedł do szklanej ściany i spojrzał na ocean. - Miły widok.

- Nieprawdaż? - rzekł stary z widoczną dumą.

- I miła planeta, prawdę mówiąc. Nasuwa mi myśl, że i ja mógłbym przyzwyczać się do przejścia w stan spoczynku.

- Przy tej drodze jest parę posiadłości na sprzedaż - powiedział starszy pan. - Nie widzę powodu, byś się nad tym nie zastanowił. - Dotknął guziczka w zegarku i do pokoju wszedł błyszczący, metalowy robot. - Proszę dwa koniaki z układu Łabędzia, Sidney.

Robot skłonił się i wyszedł z pokoju.

- Sidney? - powtórzył z uśmiechem Lodziarz.

- Język można złamać zwracając się do niego: Modelu AU-644 - odpowiedział starzec. - Siadaj, Carlos.

Lodziarz usiadł na fotelu, który natychmiast dostosował się do jego ciała, starszy pan zajął miejsce o kilka stóp dalej. W chwilę później do pokoju wrócił robot z dwoma koniakami na błyszczącej tacy z jakiegoś nie znanego Lodziarzowi stopu.

- Dziękuję, Sidney - powiedział starzec. - To będzie wszystko. Robot skłonił się ponownie.

- Ile cię kosztowała ta mała maszynka? - zapytał Lodziarz. - Mnóstwo.

- Czy robi cokolwiek, prócz podawania drinków?

- Robi... w tych rzadkich przypadkach, gdy mogę wymyślić dla niej coś innego do roboty - odpowiedział starszy pan. Spróbował koniaku. - Znakomity! Ciągle jeszcze w układzie Łabędzia robią lepszy koniak, niż gdziekolwiek indziej.

Lodziarz skosztował trunku.

- Nie zamierzam dyskutować na ten temat.

Na chwilę zapadła cisza. Starzec wpatrywał się w gościa.

- A więc, Carlos - odezwał się wreszcie - doprawdy myślisz o przejściu w stan spoczynku?

- Cały czas się nad tym zastanawiam.

- To rozsądne - zgodził się starszy pan. - Z pewnością poświęciłeś dość swego czasu Wewnętrznej Granicy i Bogu wiadomo, że zarobiłeś dość pieniędzy. Co cię powstrzymuje?

- Czterech różnych ludzi próbowało powstrzymać mnie w ciągu ostatniego miesiąca - oświadczył Lodziarz.

- Chyba cię nie zrozumiałem.

- Ktoś ogłosił na mnie kontrakt - wyjaśnił Lodziarz. - Pomyślałem, że a nuż ty pomożesz mi się dowiedzieć, dlaczego to zrobił.

- Carlos, jestem na emeryturze od blisko czterech lat - powiedział starzec. - Nie wiem, co się dzieje na Wewnętrznej Granicy, a prawdę mówiąc także gdziekolwiek indziej.

- Ale możesz się dowiedzieć. - Jak?

- Znam nazwisko tego, kto pragnie mojej śmierci.

- Powiedziałem ci: nie utrzymuję z nikim kontaktów.

- Dajże spokój - rzekł Lodziarz. - Byłeś w służbie przez pół wieku. Nie wmówisz mi, że od czasu do czasu nie telefonują do ciebie, by zasięgnąć twojej opinii, ani że nie masz komputera połączanego z głównym komputerem na Deluros VIII.

Starszy pan zirytował się.

- Mnóstwo wymagasz, jak na człowieka, który pojawił się nagle, jak grom z jasnego nieba.

- Mnóstwo ci dałem, Trzydzieści Dwa - odpalił Lodziarz.

- Już nie jestem Trzydzieści Dwa - stwierdził stary. - Gdy opuściłem służbę, odebrano mi moje imię kodowe. Obecnie jestem zwykłym Robertem Gibbem.

- Gdybym sześć lat temu nie zgodził się wyruszyć przeciw Penelopie Bailey, wywaliliby cię na pysk, nim miałbyś okazję złożyć dymisję - oświadczył twardo Lodziarz. - To ja ponad sześć lat temu wyciągałem kasztany z ognia dla Trzydzieści Dwa i jesteś mi winien przysługę. Przybyłem tu, by jej zażądać.

- Zapłaciłem ci za to, co zrobiłeś - wytknął mu Gibbs.

- Ty także sporo dostałeś, czego dowodem jest twoje obecne otoczenie. - Lodziarz przerwał. - Nadal jesteś moim dłużnikiem.

- Nie tak to widzę, Carlos - odpowiedział Gibbs. - Ja pracowałem dla rządu. Ty byłeś wolnym strzelcem, który za swe usługi wymusił niebotyczne honorarium.

- I dobrze na nie zapracowałem, podczas gdy nikt inny w Galaktyce nie mógłby tego dokonać. Proszę, nie prezentuj mi tutaj postawy „jestem-świętszy-niż-ty”, tylko dlatego że pozostałeś w służbie. Ja poświęciłem im piętnaście lat, nim poszedłem swoją drogą. Jak Shylock dostali funt mego ciała, a potem jeszcze kilka.

- Pomimo to...

- Do cholery, nie prosiłbym o tę przysługę, gdybym jej nie potrzebował - wybuchnął Lodziarz. - Powiedziałem ci: były cztery zamachy na moje życie!

- Z biegiem lat narobiłeś sobie mnóstwo wrogów.

- Prawda. Ale Namaszczony do nich nie należy, a to on na mnie poluje.

Gibbs popatrzył na niego zaskoczony.

- Namaszczony? - powtórzył.

- Zgadza się.

Gibbs wstał z miejsca, podszedł do okna i wyjrzał na ocean.

- Czemu chce twojej śmierci?

- Tego właśnie muszę się dowiedzieć. Potrzebuję wszel-

kich informacji, jakie posiadasz na jego temat.

- Nie mam żadnych.

- Ale możesz je zdobyć - stwierdził Lodziarz. Gibbs skinął głową.

- Mogę je mieć. Tym razem zachmurzył się Lodziarz.

- Skąd ta nagła zmiana frontu? Myślałem, że się zaprzesz i oświadczysz mi, że nie uzyskam od ciebie żadnych informacji.

- Teraz sprawa przedstawia się inaczej - oświadczył Gibbs, odwracając się twarzą do niego. - Demokracja poluje na Namaszzonego od trzech lat.

- Dlaczego?

- Bo zaczynając jako drobny parweniusz stał się potęgą i poważnym problemem dla Demokracji - odpowiedział Gibbs. - Ten człowiek może mieć nawet dwieście milionów zwolenników.

- Wobec tego czemu nigdy o nim nie słyszałem?

- Działalność rozpoczął na Zewnętrznej Granicy, koło Skraju i w Ramieniu Spiralnym. Dopiero jakiś rok temu dotarł do Demokracji. Dlatego jestem zdumiony, że dybie na ciebie; wedle naszych danych jeszcze nie wtargnął do Wewnętrznej Granicy.

- Opowiedz mi o nim - rzekł Lodziarz popijając koniak.

- Podaje się za przywódcę religijnego - odpowiedział Gibbs, kończąc drinka i stawiając kieliszek na stoliku. - Miał jakieś problemy podatkowe, a pewnego dnia główny świadek oskarżenia został znaleziony martwy. Wówczas zaczęliśmy mu się przyglądać.

- Słucham dalej.

- Nie wiemy, jaki ma cel ostateczny, ale jesteśmy w stanie powiązać go z ponad pięćdziesięcioma morderstwami. Wiemy, że kupuje nieprawdopodobne ilości broni i zatrudnia całkiem

pokażną armię, którą finansuje za pośrednictwem całego szeregu nielegalnych biznesów. Na ponad osiemdziesięciu planetach postawiliśmy go w stan oskarżenia za przestępstwa podatkowe, a dziewięćdziesiąt procent tych procesów przeciąga się bez końca, gdyż Namaszczony twierdzi, że jego organizacja jest sektą religijną zwolnioną od podatków - parsknął pogardliwie Gibbs. - Ile znasz sekt religijnych, posiadających tak pokaźne armie?

- Jak sądzisz, do czego on zmierza? Gibbs wzruszył ramionami.

- Nie wiem i, do diabła, nikt nie wie. Początkowo myśleliśmy, że zamierza opanować szereg planet na Skraju i utworzyć tam własne, małe imperium. Ale następnie rozpoczął ekspansję na teren samej Demokracji.

- Oczywiście nie zamierza ruszyć przeciw Demokracji?

- Przez pewien czas myśleliśmy, że zamierza - powiedział Gibbs, spoglądając na swój taras, gdzie trzy złoto-purpurowe ptaki wylądowały przy automatycznym karmniku.

- Ale Marynarka ma miliard okrętów - przypomniał Lo-dziarz.

- Które są rozrzucone po pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu tysiącach planet. Jeden szybki atak na Deluros VIII może doprowadzić do takiego chaosu, że wówczas naprawdę zgodzimy się na porozumienie z nim.

- Bardzo w to wątpię.

- No cóż, taka była nasza początkowa ocena - odpowiedział Gibbs. - Faktem jest, że odwołaliśmy Dwudziestą Trzecią Flotę do domu, by pomogła bronić układu Deluros, chociaż Namaszczony jeszcze przez wiele lat nie będzie dysponował dostateczną siłą, aby na nas napaść. Ale w zeszłym roku chyba zmienił swoje zainteresowania.



- O?

Gibbs skinął głową.

- Tak. Według naszych informatorów wydaje się, że jego obsesją stała się inna postać religijna, zwana Prorokiem, zapewne jego rywal w biznesie kultowym. - Uśmiechnął się i zadumał, a po chwili dodał: - Nie wiem, skąd oni biorą takie imiona... a prawdę mówiąc także takich zwolenników. W każdym razie wygląda na to, że Namaszczony omija Demokrację i podejmuje ekspansję w stronę Jądra Galaktyki, co oznacza, że w każdej chwili może dotrzeć do Wewnętrznej Granicy.

- W jakim celu?

- Miałem nadzieję, że może ty mi to powiesz - rzekł Gibbs. - Bo przecież to ciebie próbuje zabić.

- Po raz pierwszy dowiedziałem się o istnieniu tego człowieka dwa dni temu - powiedział Lodziarz, patrząc przez szklaną ścianę na mknące po niebie dwa z trzech księżyców Słodkowodnej.

Gibbs znów wzruszył ramionami.

- No cóż, powiedziałem ci wszystko, co o nim wiem.

- Ale nie wszystko, co wie Demokracja - stwierdził Lodziarz. - Chcę wiedzieć, gdzie on się w tej chwili znajduje.

- Gdybyśmy wiedzieli, zapolowalibyśmy na niego.

- Niemniej nadal chcę wiedzieć o nim wszystko, co wie Demokracja - powtórzył Lodziarz. Spojrzał Gibbsowi w oczy. - Chcę mieć wgląd do akt poufnych na jego temat.

Gibbs polecił Sidneyowi, by przyniósł mu kolejny koniak.

- Nie wiem, czy takie istnieją.

- Dajże spokój - rzekł pogardliwym tonem Lodziarz. - Kiedyś pracowałem w służbie państwowej, pamiętasz?

- Nie żartuję, Carlos. Wiedzą o nim niewiele.

- Muszą mieć zdjęcia, hologramy, jego dotychczasowe

dzieje, listę obecnych współników...

- Carlos, ten materiał jest tajny - powiedział Gibbs, biorąc od Sidneya koniak. Robot skłonił się, zabrał pusty kieliszek Gibbsa i wycofał się do drugiego pokoju. - Tego nie mogę ci dać.

- Oczywiście, że możesz. Po prostu połącz się z Deluros i powiedz, że tego chcesz. Zachowałeś uprawnienia takiego dostępu.

- Muszą tam być materiały drażliwe, które mogą wprawić rząd w zakłopotanie, a tobie wcale nie pomogą - oświadczył Gibbs. - W służbie państwowej też trafiają się łapówkarze. Jeśli toczy się dochodzenie przeciw jakimś agentom lub urzędnikom, jeszcze oficjalnie nie oskarżonym, nie podam ci ich nazwisk. - Przerwał i spojrzał na Lodziarza. - Mogę zawrzeć z tobą taką umowę: jeśli dostanę te akta z Deluros, stanowczo chcę przejrzeć je pierwszy. Dam ci tylko to, co uznam, że możesz wiedzieć bez narażania się na niebezpieczeństwo.

- W porządku - zgodził się Lodziarz. - Chcę też akta Proroka.

- W tym nie mogę ci pomóc - oświadczył Gibbs. - Nie mamy o nim niczego. Faktem jest, że gdyby nasz informator nie doniósł, że Namaszczony ma obsesję na jego punkcie, nawet nie wiedzielibyśmy, że Prorok istnieje.

- Oczywiście on uważa Proroka za groźbę dla siebie - powiedział Lodziarz. - Jeśli tak potężny człowiek niepokoi się z powodu Proroka, to dlaczego, u diabła, Demokracja nic o nim nie wie?

- Carlos, wszyscy diabli mnie biorą, gdy o tym myślę - przyznał Gibbs. - Ale jeśli pojawi się cokolwiek na jego temat, udostępnię ci te materiały pod tym samym warunkiem: nie dostaniesz niczego, co mogłoby sprawić kłopot służbie. Tyle mogę

dla ciebie zrobić.

- Dobrze - zgodził się Lodziarz.

Gibbs wyszedł z pokoju, długim korytarzem udał się do swego gabinetu, uruchomił komputer i nadał żądanie akt Namaszczonego. Lodziarz wstał z fotela i zaczął przechadzać się po pokoju, podziwiając dzieła sztuki kosmitów i ludzi, nabyte przez Gibbsa... lub, co prawdopodobniejsze, kupione przez wynajętego architekta wnętrz.

W parę chwil później starszy pan wrócił do pokoju.

- Powinny nadejść najdalej za kilka minut.

- Potrzebuję przede wszystkim listy miejsc - wyjaśnił Lodziarz - w których najprawdopodobniej mógłbym spotkać Namaszczonego lub jego głównych podwładnych, kilka hologramów, trochę materiałów o jego przeszłości oraz listę najemnych morderców, którymi posługiwał się w przeszłości.

- Myślę, że gdy tylko ich potrzebuje, najmuje wolnych strzelców - rzekł Gibbs. - A mogę ci już teraz powiedzieć, że nie ma żadnych jego zdjęć ani hologramów. W sądach zawsze reprezentowali go wspólnicy.

- To skąd wiecie, że jest mężczyzną? - zapytał Lodziarz.

- A czemu myślisz, że nie jest?

- Bo sześć lat temu nikt o nim nie słyszał.

Gibbs zamilkł, próbując nadażyć za biegiem myśli Lodziarza.

- Uważasz, że jest nim Penelopa Bailey?

- To możliwe - orzekł Lodziarz, wracając na fotel.

- Mylisz się, Carlos. Namaszczony nazywa się Mojżesz Mahomet Chrystus, a przyznasz chyba, że jest to jak najbardziej męskie imię. Aresztowaliśmy też wielu jego zwolenników i wszyscy zeznali, że Namaszczony jest mężczyzną około czterdziestki. Ponadto Penelopa Bailey nie żyje.

Lodziarz pochylił się w napięciu do przodu.

- Powtórz to jeszcze raz.

- Ona nie żyje, Carlos.

- Nie wierzę - oświadczył z absolutną pewnością Lodziarz.

- Była uwięziona w celi na Alfie Crepello III.

- Owszem, gdy widziałem ją ostatnim razem - powiedział Lodziarz. - Miejscomi nazywali tę planetę Hadesem.

- A więc Hades już nie istnieje.

- O czym ty mówisz?

- Około osiemnastu standardowych miesięcy temu został trafiony przez duży meteoryt - odrzekł Gibbs. - Nic z niego nie zostało prócz odrobiny gwiazdowego pyłu i garści asteroidów wokół Alfy Crepello.

- Jesteś pewien?

- Przeleć się tam, jeśli mi nie wierzysz. - Gibbs wstał z miejsca. - Akta powinny już nadejść. Zechciej mi wybaczyć...

Przez cały czas, gdy Gibbs cenzurował akta Namaszczonogo, Lodziarz siedział milcząco i nieruchomo. Wreszcie Gibbs powrócił i wręczył Lodziarzowi wydruk.

- Mam nadzieję, że te akta okażą ci się przydatne - zauważył. - Nie jestem już upoważniony, by zlecać takie zadania, lecz Demokracja byłaby bardzo wdzięczna, gdybyś znalazł sposób na to, jak skończyć z Namaszczonym.

- Demokracja ma większe problemy, niż jakiegoś niedowarzonego fanatyka religijnego z imperialnymi urojeniami - stwierdził ponurym tonem Lodziarz. Wstał i podszedł do drzwi.

- O czym ty mówisz? - zapytał Gibbs. Lodziarz odwrócił się.

- Żaden z was ani razu nie zrozumiał, z czym macie do czynienia. I nadal nie rozumiecie.

- A może zechcesz mnie oświecić? - spytał Gibbs głosem

pełnym rozdrażnienia.

- Po co się trudzić? I tak mi nie uwierzysz. - Spróbuj.

Lodziarz popatrzył na niego.

- Penelopa Bailey żyje.

- Mylisz się - zadrwił Gibbs.

- Gówno prawda - odpalił Lodziarz.

- Powiedziałem ci: Alfa Crepello III została zniszczona przez meteoryt.

- Nie wątpię.

- Wszystkie żywe istoty na planecie zostały zabite... z nią włącznie.

Lodziarz długo patrzył na Gibbsa, a potem ciężko westchnął.

- Jesteś głupcem - stwierdził i poszedł do swego pojazdu.

### 10

Gdy Lodziarz wrócił do kosmoportu, Chłopiec czekał przed restauracją.

- Wszystko poszło okay? - zapytał Lodziarz.

- Trochę mnie boli - odrzekł Chłopiec. - Użył wprawdzie środka znieczulającego, ale jego działanie już się kończy.

- Niewielka cena za to, by stać się najszybszym strzelcem w Galaktyce - odparł ironicznie Lodziarz. - Ale gdybyś też był najcelniejszym strzelcem...

- Pracuję nad tym - zapewnił go Chłopiec.

- Będzie to wymagało dużej praktyki.

- Praktyka, to dobre dla takich, co przegrywają - orzekł Chłopiec. - Ja to załatwię czipami. Nagle uśmiechnął się. - Jestem Silikonowym Chłopcem, pamiętasz?

- Postaram się znów o tym nie zapomnieć - odpowiedział złośliwym tonem Lodziarz.

- A jak tobie się powiodło? - spytał po chwili Chłopiec.

- Dzieje się coś niedobrego - powiedział, zmarszczywszy brwi Lodziarz. - Coś bardzo niedobrego.

- Co?

- Nie ma sensu gadać tu na stojąco - orzekł Lodziarz. - Zjedźmy sobie kolację, a potem wystartujemy.

Wezwał szefa sali, który poprowadził ich obok wielobarwnej fontanny, tryskającej pośrodku podłogi, i towarzyszył im aż do odosobnionego stołu w głębi restauracji.

Chłopiec natychmiast wziął do ręki menu i zaczął je studiować.

- Wszystko tu wygląda na importowane - zauważył. - A można by pomyśleć, że planeta z tak umiarkowanym klima-

tem jest w stanie wytwarzać żywność dla siebie.

- Nie po to stworzono ten świat - odrzekł Lodziarz.

- Ale jakże kosztowne jest takie postępowanie.

- Ten, kto mieszka na Słodkowodnej, nie przejmuje się cenami.

- Przypuszczam, że masz rację - zgodził się Chłopiec, rozglądając się po otoczeniu i zabawiając kryształowymi kieliszkami i szklankami na wodę. - To bardzo ładne miejsce.

- Widywałem gorsze - potwierdził Lodziarz. - Czy widzisz te skorupiaki w akwarium? - zapytał, wskazując basen ze słoną wodą, dyskretnie umieszczony pod ścianą.

- Taak?

- To mutanty - powiedział Lodziarz. - Przywozi się je z układu Pinnipes. Nie potrafię wymówić ich nazwy, ale uważa się je za najsmakowitsze w Galaktyce owoce morza.

- Nigdy nie byłem amatorem owoców morza.

- No to uwierz mi na słowo - oświadczył Lodziarz. Spojrzał na przeciwległy koniec sali. - A to są prawdziwe hesperyjskie malowidła na ścianie, a nie żadne falsyfikaty.

- Skąd to możesz wiedzieć?

- Uważaj, gdy będzie przechodził przed nimi kelner - polecił Lodziarz. - Zaświecą tam, gdzie padnie jego cień.

- Jakim sposobem?

- Oni używają do farb larw jakiegoś fosforyzującego owada - pouczył go Lodziarz. - W świetle dziennym wygląda to jak farba olejna, ale świeci w ciemności.

- W ogóle o tym nie wiedziałem. Lodziarz uśmiechnął się.

- Zapewne istnieje mnóstwo rzeczy, o których w ogóle nie wiesz. Pożyj dość długo, a dowiesz się niektórych z nich.

- Mam przecucie, że nikt młodszy od Tancerza Grobów nie jest ci szczególnie użyteczny - zauważył kwaśnym tonem

Chłopic.

- Niezbyt - zgodził się Lodziarz. Przywołał kelnera i zamówił antarejskie wino, Chłopic natomiast zażądał piwa.

- Wiesz, do wyjazdu z Szarej Chmury nigdy nie widziałem żywego kelnera - zwierzył się Chłopic. - A teraz ujrzałem ich dwukrotnie w ciągu jednego tygodnia.

- Kelnerzy są jak większość towarów luksusowych - odrzekł Lodziarz. - Płacisz za to, co możesz dostać... a w miejscu takim jak to płacisz mnóstwo.

- Mmm... do chwili, gdy będę dokładnie wiedział, co mam robić na Granicy, mój budżet jest ograniczony.

- Nie ma sprawy - uspokoił go Lodziarz. - Gdy podróżujesz ze mną lub dla mnie pracujesz, a w tej chwili robisz jedno i drugie, to ja płacę rachunki.

- Jesteś aż tak bogaty?

- Prawdę mówiąc, tak.

- W jaki sposób można zostać takim bogaczem jak ty? - zapytał Chłopic.

- Żyjąc długo i nie robiąc głupstw - odparł z uśmiechem Lodziarz.

- No i znowu.

- Co takiego?

- Pogarda dla ludzi w moim wieku.

- Nie dla wszystkich - odpowiedział Lodziarz. - Dokładnie w tej chwili najniebezpieczniejszą osobą w Galaktyce jest dwudziesto-ośmioletnia dziewczyna, nazwiskiem Penelopa Bailey. A była zapewne najniebezpieczniejszą istotą od dnia swego urodzenia.

- Nigdy o niej nie słyszałem.

- Wręcz przeciwnie, słyszałeś - zaprzeczył Lodziarz. - Po prostu nie znałeś jej prawdziwego nazwiska.

- Kim ona jest? - zapytał Chłopic.



- W różnych okresach swego życia nazywana była Wróżbiarką oraz Wyrocznią.

- Wyrocznią? - spytał z nagłym entuzjazmem Chłopiec.

- Tak jest.

- Opowiedz mi o niej.

- Za chwileczkę - odrzekł Lodziarz, gdyż zbliżył się kelner niosąc ich napoje i recytując specjalności dnia, nie uwzględnione w menu. Chłopiec poprosił o zwykły stek, Lodziarz natomiast zamówił skorupiaka w sosie śmietanowym.

- Czy chce pan wybrać któregoś dla siebie, sir? - zapytał kelner. Lodziarz potrząsnął głową.

- Zaufam twemu dobremu smakowi.

- Doskonale, sir.

- Uwielbiam owoce morza - stwierdził Lodziarz, gdy kelner odszedł. - Jesteś pewien, że nie chcesz ich spróbować? Stek możesz dostać wszędzie.

- Nie, dziękuję.

- Popelniasz wielki błąd - ostrzegł go Lodziarz. - Sam sos wart jest ceny całego posiłku.

- Wracając do Wyroczni - powiedział niecierpliwie Chłopiec - jaka ona jest?

- Jest to młoda kobieta, posiadająca pewien dar. Po raz pierwszy spotkałem ją dwadzieścia lat temu, gdy była tylko małą, przerażoną dziewczynką. Ale nawet wówczas dwustu najlepszych łowców nagród na Wewnętrznej Granicy nie zdołało jej dorównać.

- Chcesz mi powiedzieć, że ośmioletnia dziewczynka uzyskała przewagę nad dwiema setkami uzbrojonych łowców nagród?

Lodziarz uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Mówisz tak, jakby pobiła ich w bezpośredniej strzelaninie. Jej dar nie działa w taki sposób.

- A jak działa?

- Mam na myśli prekognicję. Chłopiec zmarszczył brwi.

- A co to znaczy?

- To znaczy, że potrafi widzieć przyszłość - odrzekł Lodziarz. - A ściślej mówiąc oznacza, że Penelopa potrafi widzieć liczne warianty przyszłości, a swoim działaniem może zrealizować najkorzystniejszy dla siebie.

- Jak?

Lodziarz wzruszył ramionami. Do fontanny podszedł kwartet smyczkowy i salę zaczęły wypełniać dźwięki muzyki.

- Nie wiem, jak to działa. Wiem tylko, że działa.

- Podaj mi przykład - poprosił Chłopiec.

- Zgoda - powiedział Lodziarz. - Załóżmy, że ona ukrywa się przed tobą w porcie towarowym, ty zaś zostałeś wynajęty, by ją zabić. - Pochylił się do przodu. - Jakiegokolwiek podejście wybierzesz, którąkolwiek przedostaniesz się tam bramą, ona będzie o tym wiedziała wcześniej od ciebie. Potrafi widzieć nieskończoną liczbę wariantów przyszłości. Być może zabijasz ją we wszystkich prócz trzech. Ona zaś wyliczy sobie, co musi uczynić, aby urzeczywistnił się jeden z tych trzech.

- Jak? - powtórzył Chłopiec. Lodziarz znów wzruszył ramionami.

- Może to być coś aż tak prostego jak to, że ona wyjdzie jednymi drzwiami, podczas gdy ty wejdiesz drugimi. Może coś bardziej skomplikowanego, jak ustawienie cię pod skrzynią, która raz na milion przypadków może urwać się i zabić cię. Potrafi też uczynić coś, co spowoduje, że zrealizuje się ta jedna na milion możliwości. Może ujrzy, że wśród wszystkich możliwych wariantów przyszłości jest jeden, kiedy umierasz na atak serca; przeanalizuje każdy aspekt tej przyszłości; zobaczy, czym różni się on od wszystkich innych, i zrobi to, co powinna, aby się urzeczywistnił.

- Ale z pewnością muszą być jakieś warianty przyszłości, w których nie może przeżyć - upierał się Chłopiec. - A gdybym tak kazał pięćdziesięciu zabójcom otoczyć budynek?

- Zapewne nadal zdoła zobaczyć przyszłość, w której potrafi uciec.

- Ha! - krzyknął Chłopiec, a jeden ze skrzypków spojrzał groźnie na niego.

- Mów ciszej - polecił Lodziarz. - Większość obecnych wołałaby słuchać muzyki.

- Przepraszam - powiedział Chłopiec. - Ale użyłeś słowa „zapewne”. Co będzie, jeśli nie zdoła?

- Wtedy podda się i znajdzie jakiś sposób, by ci uciec za godzinę, dzień lub tydzień. - Lodziarz przerwał. - Nie wszystkie problemy znajdują natychmiastowe rozwiązanie. Była więźniem jakiegoś kosmity-łowcy nagród, przykuta do łóżka w jego pokoju, gdy ktoś z moich przyjaciół znalazł ją po raz pierwszy. I do dzisiejszego dnia nie wiem, czy ten ktoś naprawdę ją znalazł, czy też ona tak manipulowała wypadkami, by ją znalezione.

- To potężny dar ta... jak ją nazwałś?...ta prekognicja - orzekł Chłopiec.

- I tak jest - zgodził się Lodziarz. - Dlatego Demokracja uparła się, by ją wykorzystać.

- Demokracja?

- A jak myślisz, kto wynajął tych wszystkich łowców nagród? - zapytał Lodziarz. - Pomyśl, ile może dokonać ktoś, kto potrafi nie tylko widzieć przyszłość, lecz także nią manipulować? Nigdy nie przegrano by wojny ani nawet bitwy. Dokładnie wiedziano by, jak kierować gospodarką galaktyczną. Zapewne wystarczyłoby postawić Penelopę na nowej planecie, by dowiedzieć się, czy warto tam rozpocząć eksploatację górniczą, czy też nie. - Przerwał, a potem uśmiechnął się. - No i oczywiście,

gdyby znaleźć sposób na kontrolowanie jej, nigdy nie przegrano by wyborów, nigdy nie zrobiono nietrafionej inwestycji na rynku, a także nigdy nie zdradzano by współmałżonków, gdyby istniała szansa wykrycia tego. Zanim ktoś dostałby raka lub złapał jakąś inną chorobę, wiedziałby, jakie podjąć środki, by tego uniknąć.

- Zaczynam rozumieć - powiedział Chłopiec. - Do diabła, ona jest warta miliardy.

- To właśnie myśleli tamci - odrzekł Lodziarz. - Dlatego tak napalili się, by położyć na niej łapy.

- Mówisz tak, jakby się pomylili.

- Nie wiedzieli, z czym mają do czynienia - oświadczył Lodziarz, jeszcze bardziej zniżając głos, gdy kwartet smyczkowy zaczął powoli wędrować po sali, grając romantyczne solą przy stołach, przy których spodziewał się wyłudzić napiwek.

- A według nich z czym mieli do czynienia? - zapytał Chłopiec.

- Z ich punktu widzenia była to mała, ośmioletnia dziewczynka, której z trudem udało się wyslizgnąć z ich rąk. Z mojego zaś, a uważam, iż czas dowiódł, że miałem słusność, było to dziecko, które zdołało pozostać na wolności pomimo wysiłków, których dokładał największy i najpotężniejszy w historii rząd, by je znów schwytać. Następnie cała masa legendarnych łowców nagród dopadała jej w różnych chwilach: Cmentarny Smith, Olie Trzy Pięści, Jimmy Niedziela... Ale gdy tylko kurz opadał, byli martwi, a ona nadal wolna.

- Zabiła ich wszystkich? - zapytał Chłopiec pełnym niedowierzania głosem.

- Nie bezpośrednio, ale tak, z całą pewnością była odpowiedzialna za ich śmierć, jakby pozabijała ich własnoręcznie. - Lodziarz zamyślił się, wspominając czas, gdy po raz pierwszy

spotkał Penelopę Bailey. - Chodzi o to, że ona nie wyglądała na najniebezpieczniejszą istotę ludzką w całej Galaktyce. Wyglądała, jak mała, przerażona dziewczynka, zawsze tuląca do siebie dla pociechy szmacianą lalkę. Ale na koniec wszyscy, którzy mieli z nią do czynienia, zarówno ci, którzy chcieli ją zabić, jak i ci próbujący bronić, byli martwi. A ona nadal żyła.

- Ale co było z tobą?

- Ja miałem szczęście. - Lodziarz poklepał swą protezę nogi. - Chociaż to kiedyś składało się z ciała i krwi.

- Przecież cię nie zabiła.

- Była bardzo młoda, a jej możliwości nie w pełni rozwinięte - odrzekł Lodziarz. - Zostawiła mnie, bym umarł. Nie umiała jeszcze patrzeć dość daleko w przyszłość, by wiedzieć, że przeżyję.

- I takie było twoje doświadczenie z Wyrocznią? Lodziarz pokręcił głową.

- Była wówczas tylko Penelopą Bailey, chociaż jakiś kosmita, który przyklepił się do niej... i czcił ją jak bóstwo, choć na dłuższą metę nic mu to nie pomogło... nazwał ją Wróżbiarką i przez pewien czas była znana pod tym imieniem.

Kelner przyniósł sałatki. Chłopiec odsunął swoją na bok, Lodziarz natomiast zaczął zajadać z apetytem.

- Potrzebuję trochę pieprzu - orzekł Lodziarz.

- Oczywiście, sir - kelner podał pieprz, a potem odszedł do kuchni.

- W jaki sposób stała się Wyrocznią? - zapytał Chłopiec.

- No cóż, jak powiedziałem, była bardzo młoda, a jej umiejętności jeszcze nie dojrzały - odparł Lodziarz. - Ona i jej przyjaciel kosmita szukali azylu na planecie zwanej Hades. W jakiś sposób żyjąca tam rasa doszła do tego, kim ona jest, i udało im się uwięzić ją w pokoju chronionym nieprzekraczalnym

polem siłowym... Jak już powiedziałem, jej siły nie były wówczas w pełni rozwinięte. W każdym razie zawarli z nią umowę: będą ją karmić i trzymać przy życiu, ona zaś pokieruje ich próbami zachowania niezależności od Demokracji. Przez następne czternaście lat rząd Hadesu działał zgodnie z jej zaleceniami. W ten sposób stała się Wyrocznią.

- A jak ty znów się z nią zetknąłeś? Lodziarz westchnął.

- To długa historia. W skrócie brzmi następująco: człowiek zwany Trzydzieści Dwa, który pracował dla Demokracji, ten sam, z którym spotkałem się dzisiaj, wynajął mnie, bym ją zabił. - Zjadł do końca sałatkę i odsunął miseczkę na bok. - A ponieważ wiedziałem, jakie niebezpieczeństwo dla Demokracji stanowi ta dziewczyna, przyjąłem zlecenie. Wynająłem do wykonania tego zadania kogoś młodszego i twardszego ode mnie, kogo ona nie znała.

- Nigdy nie podejmujesz ryzyka, jeśli możesz go uniknąć, prawda? - powiedział Chłopiec.

- Nigdy, jeśli potrafię - przyznał Lodziarz, zupełnie nie rozdrażniony pytaniem. - Nie dożyłbym aż tak późnego wieku, szukając kłopotów.

Pojawił się kelner niosąc kolację, obaj rozmówcy zamilkli, póki nie poszedł sobie.

- Znakomity! - orzekł Lodziarz po pierwszym kęsie. - Stanożczo muszę pamiętać, aby częściej składać wizyty Trzydzieści Dwa.

- Okay - powiedział Chłopiec, gdy tylko kelner znalazł się poza zasięgiem głosu. - A więc do zabicia jej wynająłeś kogoś innego. A kiedy ty się w tym pojawiaasz?

- Aby do niej dotrzeć, trzeba było przebić się przez całe mnóstwo Błękitnych Diabłów; tak nazywaliśmy tamtejszych kosmitów - odrzekł Lodziarz, znów smakując swą potrawę i kiwa-

jąc głową z aprobatą. - Bardzo ją sobie cenili, więc jej ochrona była wielowarstwowa. Gdy tylko zorientowałem się, że mój człowiek zbyt łatwo mija wszystkie zabezpieczenia, udałem się tam, by go powstrzymać.

- Powstrzymać go? - powtórzył marszcząc brwi Chłopiec. - Czemu?

- Sam fakt, że nikt nie potrafił go zatrzymać, a nawet wyraźnie opóźnić jego marszu do Wyroczni, oznaczał, że ona chce, aby odniósł sukces. Nie chodziło jej o to, by ją zabił, lecz by dotarł do jej więzienia. A jeśli ona tego chciała, to oczywiście ja chciałem czegoś przeciwnego.

- Więc ocaliłeś jej życie. Lodziarz potrząsnął głową.

- Jej życie nie było ani przez chwilę zagrożone. I tak działo się zapewne od dnia jej urodzenia.

- Ale jeśli twój zabójca przedarł się aż do jej więzienia...

- Nadal nie rozumiesz - zauważył Lodziarz. - Postaw ją pod ścianą - wskazał gestem ścianę restauracji - i zaprogramuj tuzin laserów, by ją losowo ostrzeliwały. Ona zaś będzie wiedziała, kiedy każdy z nich odpali, gdzie trafi każdy promień, i po prostu się przed nimi uchyli. A jeśli wystrzelisz taką masę promieni z aż tylu sztuk broni, że nie będzie mogła uchylić się przed wszystkimi, wówczas odnajdzie przyszłość, w której jeden z pistoletów okaże się uszkodzony i wybuchnie ci w twarz, nim zdołasz uruchomić resztę z nich.

- Więc co wydarzyło się na Hadesie?

- Mój człowiek miał pewne potrzebne jej informacje, coś, co mogło jej pozwolić na udaną ucieczkę. Został zabity, nim zdołała go wykorzystać.

Lodziarz popatrzył obojętnym wzrokiem przez okno na pole startowe.

- To był cholernie dobry człowiek.

- Więc pozostała nadal więźniem na Hadesie? - Tak było.

- A teraz znów jest wolna?

Lodziarz skinął głową.

- Kiedy uciekła?

Lodziarz wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Przynajmniej osiemnaście miesięcy temu. - Jak można uciec z pola siłowego? Nie wiedziałem, że wynaleźliśmy taką technikę.

- Nie wynaleźliśmy. Mieszkańcy Hadesu nie byli Ludźmi, oni to wynaleźli.

- Więc jak stamtąd uciekła?

- Nie wiem.

- Gdzie jest teraz?

Lodziarz ponownie wzruszył ramionami.

- Miałem cichą nadzieję, że ona okaże się Namaszczonym, ale teraz sądzę, że tak nie jest. Zbyt wielu ludzi go widziało i zeznało, że jest to mężczyzna około czterdziestki.

- Chwileczkę - wtrącił Chłopiec - nie wiesz, kiedy uciekła, nie wiesz, jak uciekła, i nie wiesz, gdzie ona jest. Zgadza się?

- Zgadza.

- Więc skąd w ogóle wiesz, że uciekła?

- Bo osiemnaście miesięcy temu z Hadesem zderzył się meteoryt i rozwalił w drobny mak całą tę cholerną planetę. Nikt nie przeżył.

- No więc wiemy. Zginęła, gdy uderzył meteoryt. Lodziarz pokręcił głową.

- Nie ona. Jeśli na trylion możliwości istniał jeden wariant przyszłości, kiedy meteoryt nie trafiał w Hades, albo omijał planetę lub został rozbity w drzazgi bronią lub przez inny meteoryt, ona znalazłaby sposób, aby tak się stało.

- Ale to nie ma w ogóle sensu - oświadczył Chłopiec. - Jeśli



ona potrafiła zrobić tak, by meteoryt ominął planetę, to czemu Hades został zniszczony?

- Bo to był dzień zemsty - stwierdził z absolutnym przekonaniem Lodziarz. - W jakimś momencie przed jego uderzeniem znalazła sposób ucieczki zza pola siłowego... I dokładnie tak, jak mogła wybrać przyszłość, w której meteoryt omijał Hades, mogła też wybrać taką, jedną na milion przyszłości, w której rozbiła planetę, gdy tylko ona ją opuściła. Tamtejsza rasa uwięziła ją prawie na dwa dziesięciolecia; z pewnością nie zamierzała puścić im tego płazem, udzielając jedynie nagany.

Chłopiec rozważył słowa Lodziarza.

- Naprawdę uważasz, że ona ma aż taką moc, by to spowodować? - spytał z powątpiewaniem.

- Wiem, że ją ma - stwierdził zdecydowanie Lodziarz. Chłopiec wreszcie spróbował swego steku i skrzywił się.

- Co się stało? - zapytał Lodziarz. - Jest zimny.

Lodziarz, który jadł przez cały czas ich rozmowy, właśnie wycierał usta.

- Szkoda - powiedział. - Prawdopodobnie przez całe miesiące nie będziesz jadł tak dobrze.

- Myślisz, że ona zechce cię ścigać? - zapytał Chłopiec, żując kawałek wystygłego mięsa.

- Nie - stwierdził Lodziarz. - Dla niej jestem nie więcej niż insektem. Wszystkich ludzi tak ocenia.

- To dobrze - odrzekł Chłopiec. - Zostaw ją Demokracji, a my zajmijmy się Namaszczonym.

- Po dwudziestu latach Demokracja nadal nie wie, z czym ma do czynienia - powiedział Lodziarz. - A ponadto uważają, że ona nie żyje.

- Zabita przez meteoryt? - Tak.

- Cóż, kto wie, może oni mają rację, a ty się mylisz. - Ja

się nie mylę! - odparł ze złością Lodziarz.

- Okay, nie mylisz się - zgodził się Chłopiec. - Więc co zamierzasz z tym zrobić?

- Nic - oświadczył Lodziarz. - Jeszcze nic.

- Nie pojedziesz jej szukać?

- Dokąd?

- Więc skoncentrujmy się na powstrzymaniu Namaszczonego.

- Namaszczony jest zaledwie drobną niedogodnością - oświadczył Lodziarz.

- Drobna niedogodnością, która zapłaciła pięciu ludziom, by cię zabili.

- Lomax da sobie z nim radę - powiedział Lodziarz, zamykając temat. - A przynajmniej zawiadomi mnie, gdyby ktośkolwiek jeszcze chciał mnie wziąć na muszkę. Mamy poważniejsze zmartwienia.

Chłopiec zmarszczył brwi.

- Na przykład jakie?

Lodziarz spojrzał na niego groźnie.

- Czy nie usłyszałeś ani słowa z tego, co powiedziałem? - zapytał. - W Galaktyce porusza się na wolności potwór i nikt inny nie zdaje sobie sprawy z groźby, którą stanowi. Muszę dowiedzieć się, gdzie ona jest, jakiego nazwiska używa, jak dobrze jest chroniona.

Zmieszany Chłopiec nachmurzył się.

- Myślałem, że właśnie powiedziałeś, iż nie będziesz jej poszukiwał.

- Nie będę. Ona wie, kim jestem i jak wyglądam. Zanim zdołałbym dotrzeć blisko niej, leżałbym martwy.

- Więc co...

- Gdy tylko ustalę miejsce jej pobytu, spróbuję wykryć,

jakie ma zamiary. - Spojrzał na Chłopca. - A wtedy wyślę tam ciebie.

- Mnie?

- Chcesz zostać prawdziwym bohaterem Wewnętrznej Granicy, prawda? - zapytał z ponurym uśmiechem Łodziarz.

- Taak - odrzekł Chłopiec, nagle czując podniecenie. - Taak, chcę.

### 11

- Jest tutaj - stwierdził Lodziarz, gdy jego statek wyhamował do szybkości światła w układzie Alfy Crepello.

Silikonowy Chłopiec podszedł do ekranu wizyjnego. - Chciałeś powiedzieć, że jej tu nie ma. Lodziarz odwrócił spojrzenie od obrazu wirującego pyłu i kamieni. Tylko tyle pozostało na orbicie Alfy Crepello III.

- Musiałem się upewnić - oświadczył. - No i teraz już wiem na pewno.

- A Penelopa Bailey zrobiła to na własne życzenie? - zapytał Chłopiec, wpatrując się w pył i próbując sobie wyobrazić na jego miejscu planetę.

- W zasadzie tak - odrzekł Lodziarz. - To jest o wiele bardziej skomplikowane, ale dotknąłeś istoty rzeczy.

Chłopiec gwizdnął z cicha.

- Potężna pani - stwierdził. - Przy niej ty i Tancerz Grobów wyglądacie jak neptki.

- Czy już znalazłeś sobie nowego bohatera? - zapytał rozbawiony Lodziarz.

- Nie - odrzekł Chłopiec. - Przed nią sram w portki ze strachu. - Nie odrywał wzroku od ekranu. - Ludzie po prostu nie mogą robić takich rzeczy.

- Ona nie jest Człowiekiem - powiedział Lodziarz. - Już nie. Od dawna nim nie jest. - Przerwał zamyślony. - Być może nie była nigdy.

- Mówią, że gdy była Wróżbiarką, zabiła Wiecznego Chłopca. Czy to prawda?

- Niezupełnie.

Chłopiec zachmurzył się zmieszany.

- Nie rozumiem.

- Ona go nie zabiła - wyjaśnił Łodziarz. - Mogła go ocalić, lecz zdecydowała się tego nie robić. Z prawnego punktu widzenia to nie jest to samo, z moralnego tak.

- Ci wszyscy legendarni mężczyźni i kobiety... a tylko ty jeden przeżyłeś - powiedział Chłopiec. - Na czym polega twój sekret?

Łodziarz wzruszył ramionami.

- Miałem szczęście.

- Może raz je miałeś. Ale dwa razy?

- Chłopcze, gdybym znał odpowiedź na to pytanie, chętnie stawiałbym jej czoło ponownie.

- Może ty też masz jakąś siłę - podsunął Chłopiec. - Taką, o której sam nawet nie wiesz.

- Gdybym ją miał, teraz już bym o niej wiedział. - Łodziarz po raz ostatni spojrzał na miejsce, gdzie kiedyś istniał Hades. - Zabiła cholerne mnóstwo Błękitnych Diabłów - zauważył. - A także mnóstwo Ludzi.

- Nie wiedziałem, że jacyś Ludzie mieszkali na Hadesie.

- Nie mieszkali. Ale Hades miał trzy terraformowane księżycy, wszystkie trzy zaludnione przez Ludzi: Przystań Maracai-bo, Przystań Marrakesz i Przystań Samarkanda. Teraz ich nie widzisz, prawda?

- Co się z nimi stało?

- Zapewne spadł na Słońce, gdy planeta wybuchła - odrzekł Łodziarz.

Chłopiec milczał przez długą chwilę, a potem powiedział:

- Cóż, uczciwie mówiąc była w pewnym stopniu usprawiedliwiona. Pozostawała tam więźniem przez szesnaście czy siedemnaście lat.

- I to usprawiedliwia zabicie wszystkich żywych istot na Hadesie i jego księżycach?

- Przede wszystkim oni nie mieli żadnego powodu, by ją więzić - bronił się Chłopiec. - Wedle tego, co mi mówiłeś, po prostu dostrzegli jej talent i wzięli dziewczynę pod klucz.

- A co ty byś zrobił? - zapytał Lodziarz. Chłopiec wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Rozmawiałbym z nią, próbowałbym się dowiedzieć, jakie ma plany, odkryć, czy istnieje jakiś sposób, by skłonić ją do pracy dla mnie.

- Jesteś głupcem.

- Skąd możesz wiedzieć, czy ona nie zamierza użyć swej potęgi, by czynić dobro?

- O czyje dobro chodzi? - spytał Lodziarz. - Jej czy nasze? - To mogłoby okazać się zbieżne.

- To nigdy nie byłoby to samo - odpowiedział Lodziarz. - Robisz ten sam błąd, który popełnił Trzydzieści Dwa i cała reszta. Myślisz, że jeśli ona wygląda jak człowiek i ludzie byli jej rodzicami, ona też musi być człowiekiem. - Przerwał. - Chłopcze, uwierz mi na słowo: nie jest istotą ludzką od bardzo, bardzo dawna... jeśli w ogóle była nią kiedykolwiek.

Chłopiec odwrócił się na fotelu twarzą do Lodziarza. - Jak możesz być tego pewien?

- Bo zdaję sobie sprawę, w jaki sposób działa jej umysł... w każdym razie wiem tyle, ile może wiedzieć jakikolwiek człowiek - odparł Lodziarz. - To, co mnie przeraża, a powinno też śmiertelnie przerazić ciebie i wszystkich innych, to nie fakt, że potrafiła swoją siłą rozwalić Hades w proch. Do diabła, Marynarka też to mogłaby zrobić. - Potrząsnął głową. - Nie, przeraża mnie to, że wiem, iż zrobiła to bez cienia żalu. W chwili, gdy stała się Wyrocznią, pozbyła się wszystkiego, co ludzkie. Dla niej nie mamy większego znaczenia, niż dla nas ziarnko piasku.

- Kiedyś była człowiekiem - upierał się Chłopiec. - Opo-

wiadałeś mi, że po raz pierwszy ujrzałeś ją jako małą, przerażoną dziewczynkę. Gdzieś w głębi duszy musiała pozostać resztką człowieczeństwa.

Lodziarz westchnął.

- Świetnie. Ty jej poszukaj.

- Zamierzam to zrobić... jeśli będę miał okazję.

- Życzę szczęścia - oświadczył Lodziarz, zamykając temat. Poleciał komputerowi statku wyjść z orbity i opuścić układ Alfry Crepello. - Widziałem wszystko, co chciałem zobaczyć. Nie ma sensu pozostawać tu dłużej.

- Co teraz zrobimy? - zapytał Chłopiec.

- Teraz - odrzekł Lodziarz, wybierając na holograficznym obrazie Wewnętrznej Granicy planetę i polecając komputerowi nawigacyjnemu wzięcie na nią kursu - teraz kierujemy się na Konfucjusza IV.

- Nigdy o nim nie słyszałem.

- To mała, paskudna planetka na skraju Granicy.

- Po co tam lecimy?

- Bo zwykle można tam kupić wszelkie informacje.

- Jakiej informacji szukamy? - nalegał Chłopiec, spoglądając na obraz holograficzny, póki ten nie rozwiął się zupełnie.

- Spróbujemy dostać coś na temat Proroka.

- Proroka? - zapytał zaskoczony Chłopiec. - Czy to nie jakiś bandyta na Granicy?

- Być może.

- Być może? - powtórzył Chłopiec. - Myślisz, że to może być Penelopa Bailey?

- Nie wiem - odrzekł Lodziarz. - Tego właśnie zamierzam się dowiedzieć. - Ostrożnie podszedł do spiżarki, wyciągnął egzotycznego kształtu butelkę i nalał sobie drinka. - Masz ochotę? - zapytał.

- Oczywiście - powiedział Chłopiec. - Co to takiego?

- Alphardzka brandy - oświadczył Lodziarz, wręczając Chłopcowi butelkę i kieliszek. - Nie tak dobra jak to, co robią w układzie Terrazane, ale przy szybkościach świetlnych lepiej zachowuje smak.

- Dzięki - powiedział Chłopiec, napełniając sobie kieliszek i zwracając butelkę Lodziarzowi. - Czy nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli zadam ci pytanie?

- Jazda.

- Nie wyciągnąłeś Proroka jak królika z kapelusza - zauważył Chłopiec, napiwszy się brandy i stwierdziwszy, że mu smakuje. - Są tam setki bandytów z dziwacznymi imionami. Na jakiej podstawie sądzisz, że Prorokiem może być Penelopa Bailey? Czemu nie świętym Mikołajem, Pogrzebowym McNairem czy Lordem Granicy?

- To imię do niej pasuje - stwierdził Lodziarz, wracając na fotel i stawiając kieliszek na tablicy rozdzielczej przed komputerem nawigacyjnym. - Ale to drugorzędny argument, bywali już tu inni Prorocy. I znów się pojawiają. Mam na myśli coś, co powiedział mi Trzydzieści Dwa.

- Co takiego?

- Że spodziewano się, iż Namaszczony rozbudowuje swe siły zbrojne do jakiejś akcji wojskowej przeciw Demokracji, ale w ostatnim roku jakoby zmienił swój cel. Teraz poluje na Proroka.

- I co z tego?

- Przemysł to sobie - zaproponował Lodziarz, wracając na fotel z kieliszkiem w dłoni. - Masz tu do czynienia z fanatykiem z dwustu milionami uzbrojonych wyznawców, gotowych do napadu na Demokrację... i nagle Namaszczony decyduje, że Prorok stanowi większe zagrożenie. - Spojrzał na Chłopca. - Demokracja ma Marynarkę w sile prawie miliarda okrętów, stałą armię, liczącą z dziesięć miliardów ludzi. Więc jak myślisz, co mo-



że być większym zagrożeniem?

- To, co mówisz, brzmi nader logicznie - zgodził się Chłopiec. - Ale możliwe jest także, iż Namaszczony uznał, że nie ma dość sił, by pobić Demokrację... A może postanowił włączyć wyznawców Proroka do swej owczarni.

- Jakich wyznawców? - zapytał Lodziarz. - Wedle Trzydzieści Dwa Demokracja nie ma żadnej wiarygodnej informacji na temat Proroka. Czy nie uważasz, że posiadaliby ją, gdyby Prorok dysponował milionami ludzi, gotowymi do walki pod jego dowództwem? Mówisz, że Prorok to tylko jeden z bandytów Granicy. Zgoda. Kogo obrabował? W którym sektorze działał?

- Nie wiem - przyznał Chłopiec. Popatrzył na Lodziarza. - Ale ty także nie. Nic na jego temat nie wiesz na pewno, więc Prorok może okazać się jakimś opryszkiem. - Jak powiedziałem, to też możliwe.

- Więc czemu gonić ją na wariata... albo jego, co też niewykluczone.

- Szukam Penelopy Bailey, ponieważ Demokracja uważa, że ona nie żyje. To pewne, jak wszyscy diabli, że oni nie zainicjują jej szukać. A przyczyna, dla której chcę odnaleźć Proroka jest jeszcze prostsza: nie mam żadnych innych tropów. - Westchnął ciężko. - I jest jeszcze coś.

- Co takiego?

- Nigdy w życiu nie spotkałem Namaszczonego - oświadczył Lodziarz. - Po raz pierwszy usłyszałem o nim kilka tygodni temu.

- A co to ma wspólnego z Prorokiem?

- Być może nic - przyznał Lodziarz, biorąc kieliszek i pijąc kolejny łyk. - Ale ponieważ nie spotkaliśmy się nigdy, a ja nigdy mu w żaden sposób nie przeszkadzałem, potrafię wymyślić tylko jedną przyczynę, dla której życzy sobie mojej śmierci. - Zno-

wu zamilkł. - Jestem jedynym na świecie człowiekiem, który spotkał Penelopę Bailey, przeżył to i mógł o tym opowiedzieć. Z tego może płynąć wniosek, że dla niej pracuję.

- Ale tak nie jest - stwierdził Chłopiec. Lodziarz uśmiechnął się.

- Ty to wiesz i ja to wiem, ale Namaszczony nie ma o tym pojęcia. Wie tylko, że wielokrotnie bywałem w jej obecności i nadal żyję.

- Czynisz jeszcze bardziej nieprawdopodobne spekulacje niż on - zauważył Chłopiec, dopijając jednym haustem brandy.

- Zarówno w zakresie motywów Namaszczonego, jak tożsamości Penelopy Bailey, jeśli ona nadal żyje.

- Brandy należy sączyć - pouczył go Lodziarz.

- Następnym razem będę o tym pamiętał - obiecał Chłopiec.

- Lepiej, by tak było. To kosztowny trunek. Jeśli masz po prostu pragnienie, woźę ze sobą wodę i piwo.

- W porządku - odparł poirytowany Chłopiec. - Powiedziałem przecież, że zapamiętam to sobie. - Przerwał. - Więc w jaki sposób zamierzasz się przekonać, czy w sprawie Proroka masz rację, czy się mylisz?

- Zakładamy, że mam rację i że Prorok to Penelopa Bailey. Opierając się na tym, działamy dalej - oświadczył Lodziarz.

- Zaczniemy na Konfucjuszu IV. Prorok jest tajemniczą postacią, o której nikt nic nie wie, nawet Demokracja. Ale wiemy, że Prorok istnieje. Ludzie o kimś takim słyszeli. I wiemy, że Namaszczony przeszukuje Wewnętrzną Granicę, by do Proroka dotrzeć.

- Lodziarz zamyślił się i zabębnił palcami w tablicę rozdzielczą.

- Zaczniemy więc podróżować z jednej planety na drugą, póki nie znajdziemy kogoś, kto będzie wiedział coś więcej na temat Proroka. Może dowiemy się, gdzie przebywa albo jakich ma

wspólników... Ale wcześniej czy później coś uzyskamy.

- I co wtedy?

- Wtedy zaczniemy dopasowywać do siebie cząstkowe informacje, póki nie dowiemy się, czy Prorok to Penelopa Bailey, czy nie.

- Ja bym za to nie ręczył - oświadczył z powątpiewaniem Chłopiec. - Cały scenariusz, jaki nakreśliłeś, wszystko, co powiedziałeś, to tylko przypuszczenia.

- Prawda - zgodził się Lodziarz. - Ale wyczuwam, że właściwe.

- Więc będziemy latać po całej Wewnętrznej Granicy, goniąc jakiegoś bandytę tylko dlatego, że ty tak czujesz? - zapytał Chłopiec z ironicznym uśmiechem.

- Gdy będziesz płacił rachunki, będziemy działać tak, jak tobie się spodoba - oświadczył Lodziarz. - Tymczasem jednak, jeśli coś budzi twój sprzeciw, mogę cię wysadzić na najbliższej tlenowej planecie.

- Nie, zostaję z tobą - powiedział Chłopiec. - Jest jeszcze mnóstwo planet, które muszę zwiedzić. Równie dobrze mogę to robić biorąc za to pensję. - Zamyślił się na chwilę. - A jeśli ona naprawdę żyje, chcę ją zobaczyć. - Nagle uśmiechnął się. - Kto wie? Może przejdę do historii jako człowiek, który zabił Penelopę Bailey.

- Złamanego grosza bym na to nie postawił - stwierdził sucho Lodziarz.

### 12

Konfucjusz IV był dość nędzną planetą. Składał się z trzech porzuconych osad handlowych, garstki w większości wyeksploatowanych kopalń, paru olbrzymich, płaskich, niezbyt żyznych pól oraz jednego niedużego miasteczka.

Miasto, Nowe Makao, nawet jak na standardy Wewnętrznej Granicy wyglądało bardzo kiepsko. Jego brukowane kocimi łbami ulice, które rzekomo miały wyglądać szacownie, rozpaczliwie wołały o naprawę i były równie niewygodne dla stóp jak dla opon. Największy hotel podobny do pagody ze stali i szkła, miał pokoje wyposażone z takim samym brakiem smaku, jaki wykazał architekt projektujący ten budynek. Inny hotel wyglądał jak pałac cesarski stworzony przez kogoś, kto nigdy w życiu nie oglądał cesarza ani pałacu. Na wąskich i krętych uliczkach znajdowała się cała masa barów i narkotycznych spelunek. Widać było, że władze nie są nimi zainteresowane.

- Podoba mi się to miasteczko - orzekł Silikonowy Chłopiec, idąc wraz z Lodziarzem główną ulicą, mijając oba hotele oraz trzy nocne kluby o nadmiernie wygórowanych cenach.

- Jest brudne i niebezpieczne - odrzekł Lodziarz.

- Właśnie to mi się w nim podoba. Jest egzotyczne.

- Twoja definicja egzotyki różni się zdecydowanie od mojej - stwierdził kwaśno Lodziarz.

- Spójrz na ludzi stojących w wejściach do niektórych budynków! - zawołał z podnieceniem Chłopiec. - Założę się, że połowa z nich figuruje na listach gończych!

- Zapewne - zgodził się Lodziarz. - Zdaje mi się, że powinienem ostrzec cię, iż to nie czyni z nich w sposób konieczny pożądanego towarzystwa.

- Przez całe życie przyjaźniłem się z farmerami - powiedział Chłopic. - Ci faceci wydają mi się przynajmniej interesujący.

- Kiedy po raz ostatni farmer zabrał ci portfel, poderżnął gardło i zostawił umierającego na ulicy?

- Teraz, gdy mam moje wszczepy, chciałbym zobaczyć, jak ktoś próbuje to zrobić - odrzekł z wiarą w siebie Chłopic.

- Doprawdy? - spytał z uśmiechem rozbawienia Lodziarz.  
- Cóż, może będę mógł ci to ułatwić.

- O czym ty mówisz? - zapytał nagle spięty Chłopic.

- Gdy skręcimy z tej ulicy, po prostu trzymaj się dwadzieścia jardów za mną. Gwarantuję, że będziesz miał okazję wypróbowania Nowego Ulepszanego Siebie.

- A co będzie z tobą?

- Ze mną? Pół wieku temu przestałem się popisywać.

- Nie - rzekł Chłopic - chciałem tylko zapytać, że jeśli to miejsce jest tak niebezpieczne, czemu tamci nie spróbowaliby zapolować także na ciebie?

- Bo chcą żyć. Chłopic roześmiał się. - Jesteś tłustym, kulawym starcem. - Zgadza się.

- Więc czemu mieliby dać ci spokój?

- Ponieważ jestem Lodziarzem - odpowiedział tak zimnym tonem, że Chłopic doszedł do wniosku, iż jego podstarzały towarzysz jest groźniejszy, niż na to wygląda.

- No to dokąd idziemy?

- Do miejsca, gdzie nawet policja się nie pojawia - odrzekł Lodziarz. - To tylko parę kwartałów stąd.

- Jak ono się nazywa?

- Załek Koszmarów,

- Malowniczo - orzekł Chłopic.

- Trafnie - sprostował Lodziarz.

Przeszli jeszcze pięćdziesiąt jardów i skręcili w boczną uliczkę.

- Czy to już Zaułek Koszmarów? - zapytał Chłopiec.
- Wkrótce tam dojdziemy - powiedział Lodziarz.

Minęli dwa rozpadające się budynki i dotarli do krętego zaułka. Charakter otoczenia zmienił się nagłe. Zrujnowane domy, które Chłopiec wcześniej uznał za egzotyczne, tu przybrały taką formę, że obaj uznali je za absolutnie dziwaczne.

W zaułku mieściło się pełno klubów, przed większością z nich stali naganiacze. Była też narkotykowa spelunka, biuro bukmachera, znów narkotykowa spelunka, pornograficzny kabaret, burdel dla mężczyzn, burdel dla kobiet, burdel dla kosmitów oraz burdel dla poszukujących najbardziej zakazanej rozpusty: seksu międzygatunkowego. Tawerny, jedna mroczniejsza i nędzniejsza od drugiej, przyjmowały klientów wszystkich ras. Z burdela dolatywały piskliwe wrzaski i ochryple śmiechy, z narkotykowych spelunek zaś okrzyki przerażenia. Były też dwa sklepy z bronią; jeden specjalizujący się w laserowej, drugi w tradycyjnej. Chłopiec przeczuwał, że ani jedna sztuka wystawiona na sprzedaż nie posiada numerów fabrycznych.

Co chwila potykali się o leżących na chodniku ludzi. Niektórzy wyglądali na pijanych, inni sprawiali wrażenie, jakby byli nieprzytomni. Lodziarz nie zwracał na nich uwagi.

- Zdaje mi się, że właśnie dostrzegłem Jaszczurkę Malloya w barze po drugiej stronie zaułka - odezwał się podnieconym szeptem Chłopiec.

- Cóż, to dobre miejsce dla wszystkich, za których głowy wyznaczono nagrody - odrzekł Lodziarz.

Z wnętrza mijanych budynków wyjrzało na Lodziarza i Chłopca parę twarzy. Ale nikt nie próbował przeszkodzić im w marszu i nawet naganiacze wycofywali się, gdy zbliżał się Lo-

dziarz.

- Wygląda na to, że cię znają - zauważył Chłopiec.

- W każdym razie wiedzą o mnie dość, by mi nie zawracać głowy - odpowiedział Lodziarz.

- Myślałem, że od czterech lat nie opuszczałeś Ostatniej Szansy.

- To prawda.

- Musiałeś zrobić wielkie wrażenie, kiedy byłeś tu ostatni raz. Lodziarz nie odpowiedział, ale zaczął zwalniać kroku.

- Tu wejdzimy - oświadczył, wskazując gestem drzwi. - Gdy tylko znajdziemy się w środku, miej usta zamknięte, a oczy otwarte. Zrozumiałeś?

- Tak jest - powiedział Chłopiec. Przerwał, ogarnięty niepewnością. - A czego mam szukać?

- Będiesz wiedział, gdy zobaczysz - stwierdził Lodziarz. Wszedł do środka. Chłopiec za nim.

- Witamy w Domu Usherów - powiedział wysoki mężczyzna w spłowiałym stroju wieczorowym. Przyjrzał się Lodziarzowi i nagle rozpoznał gościa. - Ileż to czasu upłynęło, panie Mendoza. Doszły nas plotki, że został pan zabity.

- Można mnie zabić tylko srebrną kulą - odrzekł kwaśno Lodziarz. - Myślałem, że wszyscy o tym wiedzą. - Wyciągnął banknot stukredytowy i podał mężczyźnie. - Proszę o stół blisko baru. Przez następne dwie godziny będzie moim biurem.

Mężczyzna chwycił pieniądze i kiwnął głową.

- Za każdą osobę, którą przyprowadzisz do mego biura, czeka cię jeszcze sto... jeśli będą miały coś użytecznego do sprzedania.

- Co pan kupuje?

- Informacje.

- Istnieją różne rodzaje informacji, panie Mendoza.

- Puść w obieg wiadomość, że Lodziarz zainteresowany jest wiadomościami o Proroku.

Mężczyzna z namysłem potarł podbródek.

- To może okazać się trudniejsze, niż pan przypuszcza, panie Mendoza. Przez cały czas, odkąd tu jestem, tylko dwa razy słyszałem, jak wspomniano o Proroku.

- To jest Zaułek Koszmarów - stwierdził Lodziarz. - Ktoś będzie coś wiedział. - Wyciągnął jeszcze dwa banknoty. - Powiadom także tych na ulicy. Powiedz im, że będę tu przez dwie godziny, a potem odlatuję z Konfucjusza.

- Wiadomość nadam, gdy tylko zaprowadzę pana do stolika.

- Nie trudź się - odrzekł Lodziarz. - Znam drogę. Gdy wysoki odszedł, Lodziarz zwrócił się do Chłopca.

- Idź za mną i nie gap się tak. - Na co mam się nie gapić?

- Dookoła. To jest w złym tonie.

Lodziarz poprowadził go podobnym do labiryntu korytarzem, mijając szereg tonących w półmroku pokoi. W jednym z nich wieloosobowa grupa mężczyzn i kobiet, wszyscy co do jednego narkomani uzależnieni od nasion alfanelli, leżeli w różnych fazach stuporu i katatonii z szeroko otwartymi oczami, rozszerzonymi źrenicami i twarzami wykrzywionymi koszmarnymi uśmiechami. W innym trzech zielonoskórych kosmitów, nieco przypominających człekokształtne małpy, siedziało nago na podłodze w otoczeniu może dwóch setek palących się niebieskimi płomieniami świec. Każdy z nich ćwiartował małe zwierzątko. Chłopiec próbował nie zwracać uwagi na wrzaski bólu zwierząt, zastanawiając się równocześnie, czy ogląda rytuał religijny, dziwaczną kolację, czy jedno i drugie.

Minęli dalsze trzy pomieszczenia, w każdym znajdowali się ludzie lub kosmici, oddający się zajęciom, którymi nigdy nie



powinni się zajmować, i wreszcie dotarli do baru. Na sali umieszczono w takich samych odstępach dwanaście stolików. Lodziarz wybrał stolik stojący najdalej od korytarza, którym weszli. Siedzący przy nim dwaj mężczyźni raz tylko spojrzeli na niego i pośpiesznie odeszli, gdy tylko się zbliżył.

- Witamy pana, panie Mendoza - powiedział barman, otyły łysoń z wielkimi, zakręconymi w dół i pofarbowanymi na niebiesko wąsami. - Wiele czasu upłynęło.

- Nie dość wiele - odrzekł z niesmakiem Lodziarz, barman zaś zachichotał. - Podaj nam dwa piwa.

Barman kiwnął głową i w chwilę później, kołysząc się jak kaczką, przyniósł im drinki.

- Oczywiście nie zainteresuje się pan Wirem Kurzawy ani Błękitnym Gigantem? - zapytał, dysząc od wysiłku, którego wymagało przejście przez salę.

- Dla nas tylko piwa - odpowiedział Lodziarz, rzucając na tacę dwa talary Marii Teresy.

- Może później - rzekł barman.

∴ - Może - rzekł Lodziarz i barman wrócił na swoje miejsce.

- Fantastyczne miejsce! - powiedział Chłopiec, nie zdolawszy ukryć entuzjazmu.

- Podoba ci się tutaj? - zapytał Lodziarz.; - A tobie nie?

- Szumowiny Wewnętrznej Granicy, jeśli opadną dostatecznie nisko, w końcu lądują na Konfucjuszu IV... A najgorsze z nich są w Zaułku Koszmarów. Gdybym nie miał do załatwienia interesu, za żadne pieniądze nie spędziłbym tu nawet dwóch sekund.

- Tu jest niepowtarzalna atmosfera - upierał się Chłopiec.

- Taak - potwierdził Lodziarz. - No, jeśli wyszorujesz się dość dobrze pod prysznicem, większość z niej zejdzie.

- Zupełnie brak ci żyłki przygody - oświadczył z uśmiechem Chłopic.

- Chłopcze, to nie jest przygoda. To jest interes i do tego śmiertelnie niebezpieczny.

Chłopic zniżył głos.

- Widzisz kobietę przy tamtym, dalszym stoliku? Chudą, z czerwonymi włosami?

- Tak.

- Myślę, że to Sally Brzeszczot! - I co z tego?

- Zabiła trzydziestu ludzi, może trzydziestu pięciu! - szepotał w podnieczeniu Chłopic.

- Wiem.

- Znasz ją osobiście? Chciałbym ją poznać.

- To czemu nie podejdziesz sam do niej i nie poprosisz o autograf? - zapytał uszczypliwie Lodziarz.

- Może to zrobię.

- Nie rób.

- Czemu nie?

- Nikt nie pojawia się w Domu Usherów po to, by poznać swoich wielbicieli, wiejskich chłopców - ostrzegł Lodziarz. - Tu przychodzi się w interesach. Ten siedzący z nią mężczyzna nie przysiadł się, by postawić jej drinka i namówić na pójsie do łóżka. I nie sądzę, by ucieszył się, gdyby rozmowę przerwał im ktoś obcy. - Lodziarz zamilkł na chwilę. - Może nawet pomyśleć, że wpadłeś na pomysł, by go szantażować, gdy tylko Sally zrobi to, za co on jej płaci.

Chłopic zastanowił się nad słowami Lodziarza.

- Zgoda - powiedział markotnie. - Ale nie musisz się ze mnie naśmiewać.

- Wystarczy, gdy będziesz myślał tylko o interesach - oświadczył Lodziarz. - Znaleźliśmy się tu, by dowiedzieć się czegoś o kobiecie, która rozwala całe planety równie łatwo, jak

Sally podrzyna gardła.

Siedzieli w milczeniu przez blisko dziesięć minut. A potem bardzo niski człowieczek o twarzy zniekształconej jakąś nie leczoną chorobą skórą podszedł do nich i usiadł.

- Rozeszła się wieść, że szukasz Proroka - powiedział ochryplym głosem.

- To prawda - potwierdził Lodziarz.

- Ile płacisz?

- Zależy co sprzedajesz.

- Za trzysta nowostalinowskich rubli mogę cię skontaktować z człowiekiem, który dla niego pracuje.

- Na tej planecie?

- Nie - zaprzeczył człowieczek. - Ale to niedaleko stąd. Możesz do niego dotrzeć w pół dnia.

- A gdy dowiem się, że on nie istnieje, albo że nigdy nie słyszał o Proroku, ile czasu zabierze mi ponowne odnalezienie cię? - zapytał Lodziarz.

- Nazywasz mnie kłamcą? - odpowiedział gniewnie zapytany.

- Nie, tylko parszywie nieudolnym sprzedawcą - stwierdził Lodziarz. - A teraz wynoś się stąd.

- Nigdzie nie pójdę, póki nie zapłacisz mi czegoś za stratę czasu - powiedział karzeł.

- Chłopcze - polecił Lodziarz - daj mu coś za stracony czas. Chłopiec wyciągnął swój pistolet dźwiękowy tak szybko, że nie

zauważył jego ruchu nawet Lodziarz, który tego oczekiwał. W ułamku sekundy broń była wycelowana prosto w głowę rozmówcy.

- Chcesz zaliczkę teraz, czy później? - spytał Lodziarz. Człowiek rzucił mu wściekłe spojrzenie, próbując ukryć strach, a potem rzucił ciche przekleństwo i pomknął w stronę ko-

rytarza.

- Przypuszczam, że chciałeś, abym właśnie to zrobił? - zapytał Chłopic.

Lodziarz skinął głową.

- Ale nie zabijaj nikogo, póki ci nie powiem - polecił. - Nie zrobimy żadnego interesu, jeśli rozejdzie się wieść, że zabijamy klientów.

- Niepotrzebni nam klienci tacy jak ten.

- Rozpuściliśmy wiadomość wśród mętów ludzkości - odpowiedział Lodziarz. - Pięciu na każdych sześciu, którzy się zjawiają, będzie podobnych do tego. Daj im tyle, by wystarczyło na drinka i działkę, a przysięgną na wszystkie świętości i sprzedadzą ci każdą informację, której poszukujesz... a w czasie, gdy będziesz przekonywał się, że kłamali, albo od dawna ich tu nie będzie, albo będą martwi.

- To jak poznasz, kto mówi prawdę?

- Są na to sposoby - oświadczył Lodziarz.

Wstał, odniósł puste szklanki do baru i zamówił jeszcze dwa piwa. Nim zdołał wypić pierwszy łyk, dobrze ubrany mężczyzna o długich, falujących, złotych włosach usiadł koło niego.

- Ty jesteś Lodziarzem? - zapytał.

- Zgadza się.

- Mam wiadomości na temat Proroka, ale niewiele.

- Co o nim wiesz? - zapytał Lodziarz.

- Po pierwsze to nie on, tylko ona.

Lodziarz wydobył plik banknotów, oddzielił jeden i położył na stole przed blondynem.

- Mów dalej - powiedział.

- Ona znajduje się na Wewnętrznej Granicy - kontynuował mężczyzna.

- Gdzie?

- Nie jestem pewien, na której planecie. W różnych okre-

sach słyzałem, że jest na Oceanie, Przystani Kruk i Pierwiosnku. Lodziarz przykrył pierwszy banknot następnym.

- W co ona gra?

- Krążą wieści, że zbiera armię, że chce przejąć niektóre z planet Granicy.

Tym razem Lodziarz nie dodał banknotu.

- To nieprawda. Ona nie potrzebuje armii.

- Mówię ci tylko to, co słyzałem.

- Co jeszcze o niej wiesz lub sądzisz, że wiesz?

- Musi mieć dostęp do jakichś przerażających broni - powiedział blondyn. - Mówią, że rozwaliła w proch jakąś planetę kosmitów.

- Stara historia - stwierdził Lodziarz, nie dokładając następnego banknotu. - Masz coś jeszcze?

- To wszystko - odparł mężczyzna, biorąc dwa banknoty.

- Chwileczkę - zatrzymał wstającego z miejsca Lodziarz.

- Taak?

- Podwoję sumę, jeśli podasz mi nazwisko. - Nazwisko?

- Nazwisko osoby, która powiedziała ci, że Prorok jest kobietą.

- Wiele ci to nie da. On nie żyje.

- Wszystko jedno, za nazwisko zapłacę sto kredytów.

Mężczyzna zamilkł na chwilę, patrząc z zaciekawieniem na Lodziarza.

- Zanzibar Brooks - powiedział wreszcie.

- Kim był?

- Imał się wszystkiego po trochu, jeśli wiesz, co mam na myśli.

- Wiem, co masz na myśli. Czy wysłano za nim list gończy?

- zapytał Lodziarz.

- Tak. Pięćdziesiąt tysięcy kredytów za żywego czy martwego. Zginął w jakiejś bójce w barze kilka miesięcy temu na

Przystani Kruk. - Nagle uśmiechnął się. - Gdybym wiedział, co się stanie, sam bym go zastrzelił i zainkasował nagrodę.

- I on naprawdę widział Prorokinię?

- Mówił, że tak.

Lodziarz podał mu ostatni banknot.

- Dzięki.

- Cała przyjemność po mojej stronie - oświadczył mężczyzna. - Gdybyś chciał mnie jeszcze o coś zapytać, będę w jednym z tych pokoi obok holu.

Wstał i odszedł.

- Wierzysz mu? - zapytał Chłopiec.

- Na pierwsze pytanie odpowiedział prawidłowo - stwierdził Lodziarz. - Co do reszty, to tylko plotki... Bo czego jak czego, ale armii Penelopa Bailey na pewno nie potrzebuje.

Pociągnął długi łyk piwa.

- Ale jeśli już niczego innego się nie dowiemy, wyślemy wiadomość na Przystań Kruk i przekonamy się, czy zdołamy wykryć, gdzie ten Zanzibar Brooks spędził ostatni rok swego życia.

W ciągu następnej godziny podeszło do nich jeszcze dwóch mężczyzn i jedna kobieta. Żadne z nich nie miało do sprzedania nic, prócz wzruszających opowieści, jak potrzebują pieniędzy. Lodziarz już zbierał się do odejścia, gdy do sali wszedł wysoki, chudy mężczyzna, rozejrzał się i podszedł do jego stolika.

- Ty jesteś Mendoza? - zapytał.

- Zgadza się.

- Nazywam się Quinn. Czy mogę usiąść?

- Proszę bardzo. Mężczyzna zajął miejsce.

- Kto to taki? - spytał, wskazując ruchem głowy Chłopca.

- Przyjaciel. Cokolwiek masz do powiedzenia, możesz mówić przy nim.

Quinn uśmiechnął się.

- Jeśli płacisz, mogę mówić przy każdym.

- A jakiej oczekujesz stawki?

- Jeśli to jest mniej niż pięć tysięcy kredytów, nie mamy o czym gadać.

Lodziarz przyjrzał mu się, oceniając z uwagą.

- A jakiego rodzaju informacja warta jest według ciebie pięć tysięcy kredytów?

Quinn rozparł się na krześle i uśmiechnął z pewnością siebie.

- Wiem, gdzie możesz znaleźć Prorokinię. - Zawiesił głos. - Robimy interes czy mam odejść?

- Robimy interes - potwierdził Lodziarz. - Jeszcze nie widziałem żadnych pieniędzy.

Lodziarz wyciągnął swój plik, odliczył pięć tysięcy kredytów i położył na stole przed Quinnem.

- No to mów.

- Ona jest na Mozarcie.

- Mozart? Nigdy nie słyszałem o takiej planecie.

- W sektorze Terrazane znajduje się gwiazda zwana Symfonią - powiedział Quinn. - Wszystkie planety nazwano imionami kompozytorów, nawet te nie nadające się do zamieszkania. Beethoven i Sondheim to olbrzymy gazowe. Mozart jest trzecią planetą licząc od gwiazdy.

- Na jakiej podstawie myślisz, że ona jest na Mozarcie? - zapytał Lodziarz.

- Bo ją widziałem - odrzekł Quinn. - Jak wygląda?

- Blondynka, średniego wzrostu, pod trzydziestkę, prawdę mówiąc nader przystojna.

Lodziarz popchnął stos banknotów do Quinna.

- Co jeszcze możesz mi o niej powiedzieć?

- Mogę ci powiedzieć, że to bardzo dziwna pani. Lodziarz

położył na stole cały plik banknotów. - Mów dalej.

- Pracuję na statku towarowym - rzekł Quinn. - Dwa tygodnie temu mieliśmy kłopoty z silnikiem niedaleko układu Harmonii i na czas naprawy weszliśmy na orbitę wokół Mozarta. Niektórzy z nas polecieli, by spędzić jeden dzień na planecie.

- I?

- Niezbyt imponujący świat, po prostu kolonia rolnicza, dostarczająca żywności pół tuzinowi pobliskich planet górniczych. Ale ona rządzi na Mozarcie, jakby była jakąś boginią. Znaczy to, że jej słowo jest prawem i Boże zmiłuj się nad każdym, kto nie jest jej posłuszny, kto nawet pomyśli, by okazać się nieposłusznym. Musi być jakimś mutantem czy czymś takim, bo tak to wygląda, jakby wiedziała, co oni pomyślą, zanim jeszcze zaczną myśleć. Kilka razy próbowali ją zabić, a chociaż ona nie ma żadnych ochroniarzy, nawet się do niej nie zbliżyli.

Do diabła, chciałem powiedzieć, że widziałem ją, jak w biały dzień szła przez miasto, jakby nie obchodziło ją nic w świecie. W ogóle nawet nie pytała, co tam robimy, tak, jakby już to wiedziała.

- Od jak dawna tam była? - zapytał Lodziarz. Quinn wzruszył ramionami.

- Ze cztery czy pięć miesięcy.

- Czemu?

- Co czemu?

- Czemu jest na Mozarcie? Jaki ma w tym cel?

- To będzie następne pięć tysięcy.

Lodziarz odliczył tę sumę, Quinn zaś chciwie pochwycił pieniądze.

- Ona planuje stworzyć własne imperium na Wewnętrznej Granicy.

- To ci powiedziała?

- Nie, ale powiedziała komuś na Mozarcie, z kim rozmawiał



wiałem. - Jesteś pewien?

- Nie mam powodu, by cię okłamywać. - Jak zamierza się do tego zabrać?

- Mówią, że ma bardzo bliskie stosunki z bandą najemników - odrzekł Quinn. - Może zamierza ich użyć i zajmować jedną planetę kolonialną po drugiej.

- Czy jeszcze coś o niej wiesz? - zapytał Lodziarz.

- To wszystko.

- Cóż, byłeś mi bardzo pomocny, panie Quinn. Postawię ci drinka, zanim odejdiesz.

- Już dość dla mnie zrobiłeś - odparł z uśmiechem Quinn, podnosząc w górę plik pieniędzy.

- Nie ma sprawy.

- Doprawdy, muszę już iść. - Jednak nalegam - stwierdził Lodziarz.

- Powiedziałem ci, że muszę...

Nagle Quinn zobaczył lufę pistoletu dźwiękowego Chłopca.

- Postaraj się być uprzejmniejszy, panie Quinn - oświadczył Lodziarz wstając z miejsca. - Zaraz wracam z twoim drinkiem.

Podszedł do baru, szepnął coś tłściochowi barmanowi i w chwilę później wrócił niosąc drinka.

- Proszę bardzo, panie Quinn - powiedział uprzejmie, stawiając drinka przed nim na stoliku.

- Jeśli wyobrażasz sobie, że możesz mnie otruć tutaj, przy wszystkich gościach, to wiedz, że mam przyjaciół - oświadczył Quinn.

- Jakże pocieszające - stwierdził Lodziarz. - A teraz wypij.

Quinn raz jeszcze spojrzął na pistolet Chłopca, a potem bardzo powoli podniósł szklankę do ust.

- A teraz przełknij - rozkazał twardo Lodziarz.

Quinn zamknął oczy i jednym haustem pochłonął drinka.

Następnie odchylił się na oparcie, oczekując śmierci w straszliwych mękach. Gdy nic takiego nie nastąpiło, mrugnął jeden raz, pochylił się do przodu, jakby chciał coś powiedzieć, i wreszcie prawie zeszywniał.

- Wszystko w porządku, panie Quinn - powiedział Lodziarz. - Słyszysz pan i rozumie każde moje słowo. Zapewniam cię, że nie zostałeś otruty, a ja nie mam zamiaru cię okraść. Chcę tylko powtórzyć parę moich pytań - wyjaśnił. - Jaki jest cel pobytu Prorokini na Mozarcie?

- Nie wiem - wyszeptał Quinn lekko sepleniąc.

- I nikt na Mozarcie nie mówił ci, że ona planuje utworzyć własne imperium, prawda?

- Nikt.

- Ale widziałeś ją tam? - Tak.

- Bardzo dziękuję, panie Quinn - zakończył przesłuchanie Lodziarz. Pochylił się nad nim i zabrał połowę swych pieniędzy. - Zarobiłeś pierwsze pięć tysięcy kredytów... ale doprawdy nie powinieneś być taki chciwy. Nie zostałem bogaczem płacąc ludziom za to, by mnie okłamywali. - Wstał z miejsca i gestem polecił Chłopcowi zrobić to samo.

- Teraz odejdiemy, panie Quinn - kontynuował. - Twoje mięśnie zaczną słuchać twych poleceń za jakieś dziesięć minut i nie odczujesz żadnych skutków ubocznych działania lekarstwa, które dodałem do drinka. Jest to proszek, który skłania do mówienia prawdy, z dodatkiem niewielkiej dawki narkotyku. Dzięki temu przez następnych kilka minut odczujesz niebywałą przyjemność. - Poklepał przyjacielsko nieruchomego mężczyznę po ramieniu i nagle głos Lodziarza stał się cichy i złowieszczy. - Z całą mocą sugeruję, abyś cieszył się tymi pięcioma tysiącami kredytów, i nie próbuj iść za nami, gdy już będziesz się mógł poruszać.

Po chwili, wraz z Chłopcem, opuścił Dom Usherów.

- Co teraz robimy? - spytał Chłopiec, gdy szli Zaułkiem Koszmarów.

- Teraz? - powtórzył Lodziarz. - Teraz pójdziemy naszym tropem tak daleko, jak zdołamy. Postaramy się dowiedzieć trochę więcej o planecie zwanej Mozartem i spróbujemy odnaleźć trochę więcej ludzi, którzy tam byli i widzieli Prorokinię. Następnie zaś spróbujemy wykryć, co takiego zrobiła, że Namaszczony uznał, iż ona stanowi dla niego większe zagrożenie niż Demokracja.

- Jeśli to prawda - poprawił go Chłopiec.

- Ależ tak, z całą pewnością - powiedział Lodziarz z absolutnym przekonaniem. - Zdumiałem się tylko, że on do tego doszedł.

- A gdy zrobimy to wszystko - powiedział Chłopiec - wówczas udamy się na Mozarta?

- Jeden z nas to zrobi - oświadczył Lodziarz.

### 13

Lodziarz został na Konfucjuszu IV jeszcze przez jeden dzień, ale nie dowiedział się już niczego więcej o Prorokini. Natomiast Silikonowemu Chłopcowi udało się dowiedzieć czegoś więcej o Lodziarzu. Siedzieli w holu podobnego do pagody hotelu, jedząc śniadanie przed udaniem się do kosmoportu, gdy do budynku wpadł Quinn, przeszedł przez hol i stanął przed nimi.

- Widzę, że czujesz się lepiej - rzekł uprzejmie Lodziarz.

- Ty sukinsynu! - warknął Quinn, zwracając na siebie uwagę gości hotelowych. - Wmusiłeś we mnie narkotyk i zabrałeś moje pieniądze!

- Usiłowałeś mnie oszukać - zauważył Lodziarz. - Nie mogłem ci zapłacić za nierzetelne informacje.

- Pieniądze są moje i przyszedłem je odebrać! Jeśli będę musiał w tym celu cię zabić, zrobię to!

Chłopiec sprężył się, ale Lodziarz pohamował go, kładąc dłoń na jego ramieniu.

- Ten człowiek mówi poważnie - oświadczył. - Lepiej dajmy mu to, czego chce.

- Ale... - zaczął Chłopiec.

- To tylko pieniądze - stwierdził Lodziarz. - Nie warto za nie umierać.

Sięgnął do kieszeni, w której trzymał plik banknotów, Quinn zaś wpatrywał się w niego z napięciem. Następnie Lodziarz wyjął mały pistolet i wystrzelił wprost między oczy Quinna. Dwie kobiety wrzasnęły, a kelner upuścił tacę. Wysoki blondyn był martwy, nim jeszcze upadł na podłogę.

- Mówiłem ci, że nie warto za to umierać - powiedział do trupa Lodziarz.

- Zabiłeś go! - stwierdził Chłopiec.  
- Mam taką cholerną nadzieję.  
- Nawet nie dałeś mu szansy.  
- Myślisz, że to jakaś zabawa? - zapytał poirytowany Lodziarz. - Tutaj gra się bez jakichkolwiek zasad. Ten człowiek przyszedł, by mnie obrabować albo zabić. Może myślisz, że powinienem poczekać, aż wyciągnie broń?

Chłopiec nie odpowiedział. Zbliżył się zarządzający salą i dwóch ochroniarzy. Lodziarz wstał z miejsca.

- Wszyscy w restauracji są świadkami - stwierdził Lodziarz. - Groził, że mnie zabije.

- Groził, że cię zabije, jeśli nie dasz mu twoich pieniędzy - powiedział mężczyzna przy sąsiednim stoliku.

- Na jedno wychodzi - powiedział Lodziarz. - Nie po to tu przyszedłem, by ktoś mnie obrabował, grożąc mi bronią.

- Jego broń jest nadal w kaburze - zauważył zarządzający. Lodziarz wzruszył ramionami.

- Był marnym rabusiem.

- Mamy to na holotaśmie - powiedział jeden z ochroniarzy. - Jeśli wszystko odbyło się jak pan mówi, nie będzie pan miał żadnych kłopotów.

- Nigdy ich nie miałem - stwierdził Lodziarz, a Chłopiec, sam nie wiedząc czemu, był przekonany, że to prawda.

W chwilę później do hotelu weszli dwaj policjanci i zbliżyli się do tłumu zgromadzonego przy ciele Quinna. Następnie wysłuchali relacji Lodziarza.

- Chyba mówi prawdę - orzekł jeden z nich. - Chce pan udać się do komendy i złożyć zeznanie?

- Złożę je tutaj - powiedział Lodziarz. - Ten człowiek był głupcem. Zapłacił za swą głupotę.

- Nie takie zeznanie miałem na myśli - rzekł z uśmie-

chem policjant.

- To jedyne oświadczenie, jakie mam ochotę złożyć - odparł Lodziarz. - Czy może pan zaraz sprawdzić holotaśmę? Mój współnik i ja planujemy odlot z Konfucjusza na dzisiejsze popołudnie.

Policjant przyjrzał mu się uważnie.

- Pan jest Carlos Mendoza, prawda?

- Tak.

Policjant kiwnął głową.

- Tak myślałem - powiedział. - Jeśli mówi pan, że to było działanie w samoobronie, to mi wystarczy. Jest pan wolny, my zaś za chwilę przejrzymy taśmę. Jeśli potwierdzi pana zeznanie, będzie pan mógł odlecieć zgodnie z planem.

- W porządku - oświadczył Lodziarz.

Holotaśma potwierdziła wersję Lodziarza co do przebiegu wypadków, tak więc wystartowali wczesnym popołudniem.

- Teraz już wiem, czemu nazywają cię Lodziarzem - zauważył Chłopic, gdy zostawili Konfucjusza daleko za rufą.

- O?

- Jesteś tak zimny i pozbawiony wszelkich uczuć, jak, według twojej opinii, Penelopa Bailey - powiedział Chłopic. - Nie chodzi mi o to, że jest w tym coś złego - dodał pośpiesznie. - W tej okolicy stanowi to zapewne cechę umożliwiającą przeżycie. Gdy byłeś młodszy, musiałeś być piekielnie niebezpieczny.

- Teraz jestem jeszcze niebezpieczniejszy.

Chłopic długo na niego patrzył, a potem wzruszył ramionami.

- Może. Nawiasem mówiąc miałem wrażenie, że na Konfucjuszu zna cię mnóstwo ludzi.

- Robiłem tam już interesy.

- I wszyscy mówili o tobie Mendoza a nie Lodziarz - kontynuował Chłopic. - Czemu?

- Przewiska pojawiają się i znikają, ale przez całe życie byłem Carlosem Mendoza.

- Lodziarz lepiej do ciebie pasuje.

- Dziękuję ci... jak sądzę - odparł z uśmiechem rozbawienia Lodziarz.

- Jakie inne imiona nosiłeś w ciągu tych wielu lat?

- Nie są ważne.

Zamilkli na następne kilka minut. Potem Chłopiec poszedł do kambuza i przyrządził sobie kolację. Wróciwszy na fotel przekonał się, że Lodziarz studiuje podany przez komputer holograficzny obraz sektora Terrazane.

- Szukasz Mozarta? - zapytał Chłopiec.

- Znalazłem go - odrzekł Lodziarz, wskazując błyskającą żywą żółcią gwiazdę. - Tu jest Symfonia. Mozart to trzecia z obiegających ją planet.

- Jak jest daleko?

- Stąd? - powiedział Lodziarz. - Przy pełnej szybkości możemy dostać się tam w czasie nieco dłuższym, niż jeden standardowy dzień.

- Co mam robić, gdy już tam będę? - spytał Chłopiec.

- Spróbujesz się dostać dostatecznie blisko Penelopy Bailey, by dowiedzieć się, co planuje. Natomiast jeszcze nie wiem, co masz robić w najbliższym czasie. Dlatego kierujemy się obecnie na Arystotelesa.

- Arystotelesa?

- Planetę uniwersytecką na skraju obszaru Demokracji. Zapłacimy należność i podłączymy się do ich komputera, w ten sposób dowiemy się wszystkiego, co zdołamy, o Mozarcie.

- A czemu nie połączymy się po prostu z głównym komputerem na Deluros VIII? - zapytał Chłopiec.

- Bardziej pewne jest, że ktoś może dla niej monitorować główny komputer, niż ten na Arystotelesie - odpowiedział Lo-

dziarz.

- Czemu tak uważasz? - nie ustępował Chłopiec. - Bo przecież, jeśli jest tak inteligentna, jak mówisz...

- Nigdy nie twierdziłem, że jest inteligentna, mówiłem tylko, że posiada dar prekognicji.

- Wszystko jedno - upierał się Chłopiec. - Czemu miałyby nie monitorować komputera na Arystotelesie?

Lodziarz rozparł się w fotelu i zgasił ekran holograficzny.

- Jest najpotężniejszą i najniebezpieczniejszą ze wszystkich żyjących istot - stwierdził wreszcie. - Nie oznacza to jednak, że jej moc nie ma ograniczeń. Całe dzieciństwo, aż do ósmego roku życia, spędziła uciekając, następnie zaś szesnaście czy siedemnaście lat siedziała w celi o wymiarach dwadzieścia na dwadzieścia. Jak dużą część Galaktyki mogła obejrzeć? Deluros VIII jest stołeczną planetą rasy Człowieka, więc oczywiście o nim wie... Ale założę się, że nigdy nie słyszała o Arystotelesie.

- Chciałbym, abyś miał rację - oświadczył Chłopiec. - Ty chcesz się zakładać, ale ja nie chcę płacić w wypadku przegranej.

- Ja się nie mylę - stwierdził Lodziarz. - Jej zdolności przekraczają wszelkie wyobrażenie, lecz nie jest wszytkowiedząca. W każdym razie, gdy dowiemy się trochę więcej o Mozarcie, łatwiej nam będzie wymyślić tożsamość, jaką masz tam przybrać.

- Czemu nie miałbym się po prostu zgłosić, jako najemny zabójca? - zaproponował Chłopiec.

Lodziarz zachichotał.

- Co w tym takiego śmiesznego? - spytał Chłopiec.

- Penelopa Bailey najmniej na całym świecie potrzebuje najemnego zabójcy - oświadczył Lodziarz. - A zresztą, gdyby nawet tak się zdarzyło, zażądałaby referencji... A ponieważ ja



jestem jedynym człowiekiem, na którego możesz się powołać, nie przeżyłbyś nawet do południa.

- Mogę powiedzieć, że pracowałem dla Tancerza Grobów.

- Lomax sam jest najemnym zabójcą. Nie wynajmuje innych. Chłopiec wzruszył ramionami.

- To była tylko propozycja.

- Gdybyś wierzył choćby w połowę tego, co ci o niej mówiłem, uznałbyś propozycję za głupią - odrzekł Lodziarz. - Jeśli zamierzasz przeżyć tę sprawę, lepiej zacznij posługiwać się głową.

- Dobra - powiedział rozdrażniony Chłopiec.

- Głowa, to jedyne co posiadasz - stwierdził Lodziarz. - Radzę, abyś o tym pamiętał, a zapomniał o swych silikonowe podwyższonych możliwościach fizycznych.

- Niektóre z tych możliwości mogą na Mozarcie okazać się cholernie użyteczne.

- Na przykład jakie?

- Na przykład zdolność widzenia w ciemności.

- Ona nie musi widzieć; za trzydzieści sekund lub trzydzieści minut od tej chwili będzie wiedziała, kim jesteś i kim masz być.

- Jeśli jestem tak głupi i tak nieużyteczny, to czemu w ogóle mnie wysyłasz? - zapytał Chłopiec.

- Gdybym mógł, pojechałbym sam. Ale nie zdołam ukryć tego, że kuleję, a poza tym ona i tak wiedziałaby, kim jestem. - Przerwał. - Ty wchodzisz do gry, ponieważ jesteś jedyną kartą, jaką mam.

- Dzięki za podbudowanie mej wiary w siebie - odrzekł sarkastycznie Chłopiec.

- Postaraj się tylko, aby ta wiara nie stała się nadmierna -

ostrzegł go Lodziarz. - Dobrze cię przygotowałem na spotkanie z nią, ale jeśli dożyjesz tej chwili, ujrzysz dość pospolicie wyglądającą młodą kobietę i pomyślisz, że znacznie przesadziłem, mówiąc o groźbie, jaką stanowi. - Przerwał na chwilę. - Zapamiętaj sobie dobrze: znacznie lepsi od ciebie próbowali z nią skończyć i żaden z nich nie żyje.

- Więc po co ja w ogóle w to wchodzę?

- Nie lecisz tam, aby wyrządzić jej krzywdę ani nawet jej zagrozić - odpowiedział Lodziarz. - Masz tylko spróbować uzyskać nieco informacji. Jeśli nie będzie mogła widzieć dość dalekiej przyszłości, jeśli nie będzie wiedzieć, co zamierzasz z tym wszystkim zrobić, może się zdarzyć, że wyjdiesz z tego w jednym kawałku.

Lodziarz wstał, wyprostował ręce i zwrócił się do Chłopca:

- Mam zamiar przespać się trochę, nim dotrzemy do Arystotelesa - oświadczył. - Pomyśl, czy nie zrobić tego samego.

Chłopiec kiwnął głową i położył się na swojej koi. Pewien był, że nie zaśnie, ale upłynęła, jak sądził, ledwie chwila, a już Lodziarz potrząsał go za ramię.

- Co się stało? - zapytał półprzytomnie. Usiadł nagle i w roztargnieniu uderzył głową o grodzień. - Czy położyłem się na twojej koi?

Lodziarz uśmiechnął się. - Nie.

- To co jest nie tak?

- Nic. Spałeś jedenaście godzin - wyjaśnił. - Jesteśmy na orbicie wokół Arystotelesa.

- Żartujesz! - zawołał Chłopiec. Zesztywniały wstał z koi. - Jeśli mi nie wierzysz, sprawdź na chronometrze statku - powiedział Lodziarz. - Już zrobiłem dla nas śniadanie.

- Ty nigdy nie opuszczasz posiłków, prawda?

- Nigdy, jeśli tylko mogę.

Chłopiec dołączył do Lodziarza w kambuzie, niemal tak samo ciasnym, jak kokpit. - Czy nigdy nie brałeś pod uwagę kupna większego statku? - zapytał, po wypiciu łyka kawy.

- Sądzę, że gdybym o tym pomyślał, to bym już go miał - przyznał Lodziarz. - Nigdy nie zamierzałem raz jeszcze opuścić Ostatniej Szansy.

- To dość nędzna planeta, jeśli chciałbyś poznać moje zdanie.

- Nie chciałbym.

- Człowiek taki jak ty, z takimi pieniędzmi, jakich się dorobiłeś, powinien mieszkać na Słodkowodnej obok swego przyjaciela.

- Kwestia gustu - odparł Lodziarz. - Lubię Wewnętrzną Granicę.

- Słodkowodna jest na Granicy.

- Ale nie jest prawdziwą planetą z Granicy - zauważył Lodziarz. - To przystań dla emerytowanych miliarderów. Ostatnia Szansa bardziej mi odpowiada.

- A ja jakoś polubiłem Konfucjusza - oświadczył Chłopiec. - Szczególnie Zaulek Koszmarów.

- Jesteś jeszcze młody.

Komputer statku pisnął dwukrotnie.

- Tak? - zapytał Lodziarz.

- Połączyłem się z komputerem geopolitycznym na Arystotelesie - oświadczył komputer.

- Dobrze - rzekł Lodziarz. - Wydobądź wszelkie informacje o planecie zwanej Mozart.

- Układ gwiazdny? - zapytał komputer.

- Symfonia, w sektorze Terrazane.

- Pracuję... wydobyte.

- W porządku - stwierdził Lodziarz. - Teraz sprawdź, czy ma jakiegokolwiek dane o istocie ludzkiej, zwanej Prorokinią.

- Pracuję... odpowiedź negatywna.

- W porządku - powtórzył Lodziarz. - Rozłącz się z nim i podaj, by opłatę za połączenie pobrano z mego rachunku na Binderze X.

- Pracuję... wykonane... połączenie zakończone - zawiadomił komputer.

- Teraz daj mi wydruk uzyskanych informacji.

W chwilę później komputer wyrzucił pojedynczą kartkę papieru.

- I to wszystko? - zapytał, marszcząc brwi, Lodziarz. - Tak.

- Wyłącz się.

Podniósł kartkę, przeczytał, a potem spojrzął na Chłopca.

- Nie ma tu wiele informacji, na których można by się oprzeć - oznajmił.

- To już wywnioskowałem - odrzekł Chłopiec. - A co w ogóle zyskaliśmy?

Lodziarz ponownie spojrzął na arkusik.

- Mozart jest planetą tlenową, grawitacja dziewięćdziesiąt sześć procent standardowej, ludność zgodnie z ostatnim spisem 27 342 osoby. - Przerwał. - Dzieli się ona następująco: sześćdziesiąt trzy procent rolników, dwadzieścia dwa procent zatrudnionych w handlu i eksporcie, oczywiście ich towarami eksportowymi są produkty rolnicze; reszta - zatrudnienia różne. Żadnej stałej armii, żadnej marynarki wojennej. Planeta podzielona jest pomiędzy sześć państw, z rządem centralnym, wybieranym co trzy lata. Tylko jeden kosmoport, żadnej działalności turystycznej.

- Mam się więc tam pojawić jako robotnik rolny, poszukujący zatrudnienia? - zapytał Chłopiec.

Lodziarz potrząsnął głową.

- Jeśli ugrzęźniesz na farmie, możesz się nigdy stamtąd

nie wy dostać.

- Myślę, że mógłbym pojechać do jednego z ich miast i nająć się w jakimś sklepie.

- Nazbyt rzuciłoby się w oczy - rzekł po zastanowieniu Lodziarz. - Chcę przez to powiedzieć, że kto, u diabła, osiedla się na rolniczej planecie jako ekspedient, czy nawet kierownik sklepu?

- Więc co?

Lodziarz patrzył na niego przez dłuższy czas.

- Jesteś Silikonowym Chłopcem - oznajmił wreszcie. - Po-leć tam jako specjalista, sprzedający swoją umiejętność. Podróżujesz po Wewnętrznej Granicy, budując wszelkie czipy, jakie mogą być potrzebne. Farmer mający problemy z drapieżnikami chce widzieć w ciemności, by móc chronić swój inwentarz. Eksporter potrzebuje mieć w głowie tuzin kosmicznych języków, barman chce szybciej mieszać drinki. Ty możesz dostarczać potrzebne im czipy. Myślę, że to powinno się udać.

- Jestem dobry - stwierdził Chłopiec - ale nie jestem cudotwórcą. Ani chirurgiem. Nawet, jeśli skonstruuję czipy, większości z nich nie będę umiał wszczepić.

- To nie twoje zadanie - oświadczył Lodziarz, wzruszając ramionami. - Twoja robota polega tylko na budowaniu chipów. Wszczepianie ich to problem nabywców.

- Na planecie z ludnością liczącą ledwie dwadzieścia siedem tysięcy osób, może nie być lekarza, który umiałby to zrobić.

- Tym lepiej - stwierdził Lodziarz. - Da ci to pretekst do pozostania na miejscu, póki po jakiegoś nie poślą. Pozwolą ci odjechać dopiero wtedy, gdy przekonają się, że twój towar działa.

- Jaki rodzaj chipu mogę sprzedać Penelopie Bailey? - Jej

nie potrzeba żadnego.

- To fatalne - stwierdził Chłopiec. - Byłby to najlepszy sposób, by mnie zauważyła.

- Ty lecisz tam tylko po to, by zdobywać informacje - poczył go Lodziarz. - Będziesz miał wielkie szczęście, jeśli ona w ogóle cię nie zauważy.

- Z tego co mówisz, ona nie wygląda na kogoś, kto zwierzałby się swym przybocznym - zauważył Chłopiec. - Jeśli nie skontaktuję się z nią osobiście, w jaki sposób dowiem się czegokolwiek?

- Byłbym zdumiony, gdyby ona miała jakichś przybocznych - powiedział Lodziarz. - Gdy zaś chodzi o zbieranie informacji, po prostu miej oczy i uszy otwarte.

- Myślisz na przykład o tym, że powinienem się przekonać, czy oni importują jakąś broń i amunicję?

Lodziarz potrząsnął głową.

- Penelopa Bailey nie potrzebuje tego.

- Więc co robić?

- Chciałbym móc ci powiedzieć - odparł Lodziarz. - Z pewnością będzie to coś zupełnie zwyczajnego, póki nie przypominisz sobie, jak niezwykła kobieta za tym stoi.

- Daj mi jakiś przykład.

- Dowiedz się, czy nie zamówiła pół tuzina książek o De-luros VIII; może to oznaczać, że zamierza udać się tam w najbliższym czasie. Przekonaj się, czy nie zamówiła taśm do nauki języka Lodin; być może planuje przymierze z Lodinitami. Nie zajmuj się tym, co ona teraz robi; tyle razy widziała terazniejszość w tak wielu jej wcieleniach, że dla niej jest to tak, jakby szła po scenie teatralnej podczas przedstawienia. Cokolwiek robi czy mówi teraz, to dla niej już stara historia, bo ona spogląda o całe dni czy tygodnie w przeszłość.

- To cholernie mało, jak na początek. Lodziarz uśmiechnął się ponuro.

- Czyżbyś żywił złudzenie, że będzie to łatwe zadanie?

- Nie, ale...

- Pamiętaj cały czas, że jesteś tam tylko po to, by zebrać informacje. A jeśli zbyt trudno będzie ci je zdobyć, jeśli będziesz musiał kogoś obrabować czy zabić, by je uzyskać, daj sobie z tym spokój, bo ona zobaczy, co będziesz robił, zanim jeszcze o tym pomyślisz. Czy rozumiałeś wszystko, co ci powiedziałem?

- Tak.

- Dobrze... bo od tego zależy twoje życie. - Lodziarz umilkł na chwilę. - Twoje i być może czterdziestu trylionów innych ludzi - dodał.

**CZĘŚĆ 3**  
**KSIĘGA SILIKONOWEGO**  
**CHŁOPCA**



### 14

Kosmoport Mozarta znajdował się tuż za granicą Menuetu, miasta, zaspokajającego podstawowe potrzeby otaczającego go okręgu rolniczego. Był tam sklep spożywczy, malutka klinika, trzy składy nasion, dwie restauracje, parę hotelików oraz teatr, w którym przedstawienia z udziałem żywych aktorów odbywały się cztery czy pięć razy do roku.

Tuż za kosmoportem stały potężne silosy, w których suszono i składowano zmutowaną kukurydzę i pszenicę przed ich wysyłką na inne planety, oraz obszerne zagrody, w których znajdowało się zmienione genetycznie bydło - dorosłe sztuki osiągały wagę przewyższającą cztery tysiące funtów.

Chłopiec wylądował, załatwił hangar dla statku Lodziarza, a potem wszedł do niedużego dworca kosmoportu, gdzie ruchomy chodnik zawiózł go prosto do pokoju odprawy celnej. Wszedł do środka, usiadł i znalazł się przed komputerem ze świecącym czerwonym czujnikiem.

- Nazwisko? - zapytał mechaniczny głos.
- Neil Cayman - odrzekł, a następnie dodał: - znany także jako Silikonowy Chłopiec.
- Proszę okazać paszport przed czujnikiem. Podniósł paszport do góry.
- Czy przywiózł pan jakiegokolwiek artykuły żywnościowe lub zwierzęta spoza planety?
- Nie.
- Proszę określić sprawę, w jakiej przybył pan na naszą planetę.
- Jestem sprzedawcą, specjalizującym się w dostarczaniu na specjalne zamówienia czipów komputerowych do implanta-

cji chirurgicznej.

- Czy posiada pan gotówkę lub linię kredytową na kwotę co najmniej dwóch tysięcy kredytów lub ich równowartości?

Chłopiec podniósł otrzymane od Lodziarza pieniądze, czujnik zaś przeskanował ich nominały.

- Nie potrzebuje pan żadnej wizy, aby podróżować po naszej planecie. Życzę przyjemnego pobytu, Neilu Caymanie. - Nastąpiła krótka przerwa. - Nie znalazłem żadnych danych dotyczących pańskiego pseudonimu - kontynuował komputer. - Czy życzy pan sobie, by go dodać do pańskiego paszportu?

- Tak, proszę.

- Proszę ponownie podnieść paszport.

Wykonał polecenie, a wówczas cieniutki promień laserowy zabłysnął i wyrył maleńki napis na tytanowej karcie, tuż pod jego hologramem i oficjalnym nazwiskiem.

- Mam kilka pytań - powiedział Chłopiec, chowając paszport do kieszeni.

- Jestem zaprogramowany, by odpowiadać na większość pytań dotyczących planety Mozart - powiedział komputer.

- To bardzo uprzejme z twojej strony - stwierdził Chłopiec.

- Istnieję, by służyć.

- Będę musiał gdzieś zatrzymać się podczas pobytu tutaj.

Czy możesz polecić mi jakiś hotel w Menuecie?

Nagle ożył ekran komputera.

- Te pięć przedsiębiorstw dysponuje w tej chwili wolnymi pokojami lub apartamentami - zawiadomił równocześnie z pojawieniem się wykazu.

- Czy możesz dokonać dla mnie rezerwacji? - Tak.

- Świetnie - stwierdził Chłopiec, przestudiowawszy wykaz.

- Chciałbym dostać pokój w Manor House.

- Ile noclegów mam dla pana zarezerwować?

- Nie wiem - odparł Chłopiec. - Czy możesz zrobić rezerwację bez terminu?

- Tak. Parter czy pierwsze piętro?

- Pierwsze piętro.

- Na pana nazwisko został zarezerwowany pokój 207.

- Będzie mi też potrzebny środek lokomocji. Napisy na ekranie zmieniły się szybko.

- Oto lista wolnych pojazdów do wynajęcia w kosmoporcie wraz z opłatami dziennymi za nie.

Chłopiec wybrał jeden z nich.

- Jeszcze jedno - powiedział. - Chciałbym wiedzieć, czy jakieś przedsiębiorstwo na tej planecie specjalizuje się we wszczepianiu bioczipów.

- Nie.

- Dobrze. Czy mogę we wszystkich planetarnych gazetach lub taśmogazetach umieścić ogłoszenie, że właśnie przybyłem i że mam taką specjalność oraz, że można się ze mną skontaktować w Manor House?

- Przekazuję... - odparł komputer, cicho zaszumiawszy. - Panie Cayman, mamy trzy planetarne taśmogazety, dwa tygodniki i jedną gazetę codzienną. Każda z nich zażądała, aby podał pan dokładną treść pańskiego ogłoszenia.

- Rozumiem - powiedział Chłopiec. Zamyślił się. - Zakładam, że w pokoju hotelowym w Manor House znajduje się komputer osobisty, połączony z siecią ogólnoplanetarną.

- Założenie prawidłowe.

- Jeśli możesz spowodować, aby adresy poczty elektronicznej działów ogłoszeniowych tych trzech taśmogazet czekały na mnie w moim komputerze, napiszę ogłoszenie, gdy będę już w hotelu.

- Załatwione.

- Och, i jeszcze jedno - dodał Chłopiec. - Chciałbym mieć spis kościołów na tej planecie.

Natychmiast pojawił się na ekranie spis czternastu kościołów. Wszystkie należały do znanych mu sekt i nie wyglądało na to, by którykolwiek z nich miał jakiś związek z Namaszczonym lub Penelopą Bailey.

- Dziękuję ci.

Chłopiec wstał, opuścił pomieszczenie, poszedł na parking pojazdów do wynajęcia, najął samochód, na jego ekran wewnętrzny wywołał plan, obejmujący kosmoport i miasto Menuet, po czym ruszył do miasta, mijając ze dwie czy trzy mile pastwisk dla bydła, ciągnących się wzdłuż drogi.

Menuet był małym miastem. Gdy Chłopiec dotarł do dzielnicy handlowej przekonał się, że komputer nieco na wyrost użył słowa „hotel”. Manor House, podobnie jak inne tego rodzaju zakłady, był odnowioną budowlą, postawioną ze dwa wieki wcześniej, przed remontem zaś musiał być zgoła imponującą rezydencją, nim go przemodelowano i przekształcono w pensjonat.

Obecnie jego klientami byli komiwojażerowie, z których większość sprzedawała zmutowane nasiona oraz sztuczne nawozy, przystosowane do użytku na podobnych do tej planetach.

Chłopiec zostawił samochód na parkingu za domem, zgłosił się w recepcji, zarejestrował tam wzór swego głosu, odczekał, aż zamek przy drzwiach pokoju 207 został zakodowany według wzoru i pozwolił, by winda powietrzna łagodnie uniosła go na pierwsze piętro pensjonatu.

Pokój okazał się nieco bardziej spartański od tego, który zajmował na Olympusie. Było tam tylko łóżko, dwa krzesła, końcówka komputera oraz łazienka z suchym prysznicem i chemiczną toaletą. Odczytał na komputerze adresy biur ta-

Śmogazet, napisał krótkie ogłoszenie i wysłał do wszystkich. Następnie zamówił wydania elektroniczne wszystkich trzech, przejrzał je na komputerze i bez zdziwienia stwierdził, że w żadnej z nich nie było nawet wzmianki o Prorokini. Ułynęła prawie godzina, nim opuścił pokój, zszedł na parter i skierował się do małej restauracji po drugiej stronie ulicy, gdzie zamówił lunch.

Wróciwszy do pokoju stwierdził, że już otrzymał pierwsze zgłoszenie na swój anons. Pochodziło od kierownika silosu, który wdychał zbyt długo pewien konserwant i potrzebował czipu, który mógłby go ostrzegać, gdy zawartość chemikaliów w powietrzu osiągała pewien określony poziom. Chłopiec poprosił klienta o przestanie wzorów chemicznych konserwantów, których tam używano, i obiecał, że za trzy dni skontaktuje się z nim. Następnie, ponieważ nie miał nic innego do roboty i nie zamierzał spędzić popołudnia na budowaniu owego czipu, postanowił położyć się i zdrzemnąć do kolacji.

Obudziwszy się zjadł kolację ze zmutowanych produktów sojowych - w tej samej restauracji, w której był na lunchu - a potem wyszedł na ulicę w chwili, gdy właśnie zachodziło słońce. Było chłodno i sucho, z zachodu wiał bardzo słaby wietrzyk. Chłopiec uznał, że pogoda jest bardzo orzeźwiająca.

Nie mając ochoty na to, by natychmiast wracać do pokoju hotelowego, rozejrzał się po ulicy. Większość instytucji w mieście była już zamknięta na noc. Przekonał się więc, że jeśli nie chce wracać do hotelu, ma wybór ograniczony: może pójść do holokina, tawerny lub kasyna. Nie lubił holofilmów, o grach hazardowych wiedział akurat tyle, by mieć pewność, że nie jest w nich dobry, więc powędrował do tawerny.

Była niewielka, co go zdziwiło, szczególnie że okazała się jedynym tego typu lokalem w mieście. Zaraz po wejściu natknął się na purpurowo-złotego ptaka, przymocowanego łań-

cuszkiem do grzędę na metalowym postumencie. Ptak popatrzył na niego, zaskrzeczał, a potem zaczął wygładzać dziobem pióra, nie zwracając na Chłopca uwagi. Chłopiec okrążył go wielkim łukiem, wprawdzie ptak był niewielki, nie mógł ważyć więcej niż trzy funty, ale dziób miał bardzo paskudny. Poszedł do baru, gdzie zamówił piwo. Barman kiwnął głową, napełnił szklankę i posunął ją ku niemu. Chłopiec podniósł swój napój i przeszedł z nim do pustego stolika w głębi sali.

W kilka chwil później ciemnoskóry, wysoki mężczyzna, posiadacz dwóch złotych zębów, które błyszcząły, gdy mówił lub uśmiechał się, podszedł do niego z piwem w dłoni.

- Pozwolisz, że się przysiadę? - zapytał.

- Proszę bardzo - odparł Chłopiec.

- Dzięki - rzekł mężczyzna. Wyciągnął rękę. - Nazywam się James Mboya.

- Neil Cayman - odparł Chłopiec, przyjmując podaną dłoń. - Jesteś tu nowy, prawda?

Chłopiec skinął głową.

- Właśnie dziś przyleciałem.

- Co sprzedajesz?

- A czemu myślisz, że cokolwiek sprzedaję? Mboya roześmiał się.

- Bo nikt nie przybywa na planetę rolniczą dla przyjemności.

- A czy nikt nie przylatuje tutaj, by kupować, a nie sprzedawać? Mboya pokręcił głową.

- Cała nasza wołowina i plony są zakontraktowane na następną dekadę. Zaopatrujemy cholerną masę planet - wyjaśnił. - Jeśli chcesz, mogę ci sprzedać trochę złota. - Uśmiechnął się, pokazując swe dwa złote zęby. - Można je wyjmować. Zastawiam je, gdy tylko potrzebuję trochę pieniędzy i odkupuję,

gdy jestem przy forsie.

Chłopiec napił się piwa.

- Czipy - powiedział w końcu.

- Przepraszam?

- Czipy komputerowe. To właśnie sprzedaję. - Jakiego rodzaju?

- Dowolnego, mogę zbudować każdy, jaki zechcesz.

- Coś, co pozwoliłoby mi się poczuć młodszym o dziesięć lat, gdy budzę się rano, byłoby miłe - powiedział z uśmiechem Mboya.

- Da się zrobić - oznajmił Chłopiec.

- Naprawdę?

- Nie odmłodniejesz ani trochę, ale mogę zbudować czip, który zamaskuje wszelkie bóle i niedogodności, jakie odczuwasz.

Mboya pstryknął palcami.

- Po prostu tak? - zapytał z uśmiechem.

- Nie - odparł Chłopiec. - Musiałbym porozmawiać z twoim lekarzem, dowiedzieć się, co ci dolega, które mięśnie degenerują się, poznać całą historię twojej choroby. Wtedy mogę to zrobić. - Chłopiec zastanowił się. - Ale on musiałby go wszczepić; ja jestem tylko technikiem a nie chirurgiem.

- Jak długo zamierzasz pozostać na Mozarcie? - zainteresował się Mboya. - Jeśli zdołam zebrać dość pieniędzy, możesz mieć klienta. Chłopiec wzruszył ramionami.

- To zależy od tego, jak pójdą interesy - powiedział, napiwszy się znów piwa. - Dałem parę ogłoszeń. Teraz muszę już tylko poczekać.

- Mógłbym cię trochę oprowadzić po planecie - zaofiarował się Mboya. - Chociaż nie ma tu zbyt wiele do oglądania.

- No, jest jednak coś, co chciałbym zobaczyć - odparł po

namyśle Chłopic.

- O? Co takiego?

- Gdy byłem na pobliskiej planecie słyszałem, że macie tu kogoś, zwanego Prorokinią, kogoś, kto potrafi widzieć przyszłość. - Zamilkł na chwilę. - Chciałbym ją spotkać.

- Dlaczego? Chłopic uśmiechnął się.

- Myślę, że z pewnością przydałaby mi się jakaś porada inwestycyjna. Mogłbym dać w zamian nieco zrobionych wedle życzenia czipów.

- No, widuję ją od czasu do czasu - stwierdził Mboya. - Przekażę jej wiadomość i dowiem się, czy będzie zainteresowana. - Po namyśle dodał: - Nie ma powodu, aby nie była. - Chciałem powiedzieć, iż sama pewność, że obudzisz się z kacem, nie wystarczy, by kac zniknął.

- Niegłupio mówisz - odparł Chłopic. Zauważył, że Mboya dopił piwo. - Pozwól, że postawię ci następną kolejkę.

- Dzięki - rzekł Mboya.

Chłopic dał znak barmanowi, by przyniósł do stolika dwa piwa. - Jakie ludzie mają tu rozrywki prócz odwiedzania pobliskiego kasyna?

- To rolnicza planeta - rzekł ze śmiechem Mboya. - Rozmawiają o sadzeniu, nawozach sztucznych i o pogodzie. Głównie o pogodzie. Z rzadka miewają wystawy bydła. I to wszystko.

- Niezbyt pasjonujące - powiedział kwaśnym tonem Chłopic. - Jeśli szukasz dreszczyku, powinieneś udać się na planetę taką

jak Kalliope, czy może na Konfucjusza...

- Czy byłeś tam kiedyś? - zapytał Chłopic.

- Raz czy dwa razy - stwierdził Mboya.

- Jakiż, u diabła, interes może mieć farmer na Konfucjuszu? - zainteresował się Chłopic, gdy barman przyniósł piwo.



Mboya zamilkł i uważnie przyjrzał się Chłopcowi.

- Nie powiedziałem, że jestem farmerem - rzekł w końcu.

- Nie, zdaje mi się, że nie - przyznał Chłopic. - A czym się zajmujesz?

Mboya z niewinną miną wzruszył ramionami.

- Och, parę transakcji tu, parę tam.

- Od jak dawna jesteś na Mozarcie?

- Od paru miesięcy. To dość miła planeta. Jak już zauważyłeś trochę nudnawa, ale klimat jest przyjemny, ludzie przyjacielscy, a pieniądze starczą tu na długo. Nie gorsza niż wiele planet, a zapewne lepsza od wielu z nich.

- Skąd pochodzisz? - dopytywał się Chłopic popijając piwo.

- Z głębi Demokracji - powiedział Mboya z pogardliwą miną. - Z małej planety, zwanej Dalekim Londynem - wyjaśnił.

- Uznałem, że człowiek moich talentów może zajść o wiele dalej na Wewnętrznej Granicy.

- A do czego masz talent?

- Będiesz się śmiał.

- Nie, nie będę - przyrzekł Chłopic. Mboya wzruszył ramionami.

- W tej chwili zajmuję się zwalczaniem szkodników.

- Zwalczaniem szkodników? - powtórzył zaskoczony Chłopic,

- Kto ma problem ze szkodnikami, posyła po mnie, a ja je usuwam.

- No, przynajmniej teraz rozumiem, dlaczego znalazłeś się na rolniczej planecie - oświadczył Chłopic. - Musisz mieć tu mnóstwo roboty.

- Ruszam się - odparł Mboya. Dopił piwo i odstawił pustą szklankę na stolik.

- Nie chciałbym cię dotknąć, ale wygląda mi to na nudne

zajęcie - oświadczył Chłopic.

- Mnie się podoba - odrzekł Mboya.

- Co kto lubi.

- To prawda - zgodził się Mboya. - Co do mnie, dostałbym kota spędzając cały czas na tworzeniu czipów komputerowych.

- Ja także - stwierdził Chłopic. - Dlatego szukałem jakiejś rozrywki.

- Jeśli nie pociąga cię hazard, to na Menuecie nie znajdziesz nic lepszego.

- Przyszło mi na myśl, że Prorokini mogłaby rozbić bank, jeśli jest tym wszystkim, co się o niej mówi - zauważył Chłopic.

- Wątpię, by pozwolono jej grać - odrzekł Mboya. - Jest aż tak dobra?

- Gdybyś był właścicielem kasyna, czy podjąłbyś ryzyko sprawdzenia?

- Najbardziej zastanawia mnie, co ktoś taki jak ona robi na planecie takiej jak ta - oświadczył Chłopic.

- Wygląda, że bardzo się nią interesujesz - zauważył Mboya.

- Bo ona wydaje się bardzo interesującą osobą - odrzekł Chłopic. - A mnie naprawdę przydałaby się porada inwestycyjna.

- A co właściwie o niej słyszałeś?

- Tyle tylko, że ona jakoby potrafi przewidywać przyszłość - odpowiedział Chłopic.

- Niczego więcej?

- No, doszły mnie plotki, że kiedyś była Wyrocznią, ale ja w to nie wierzę. - Chłopic nie spuszczał Mboi z oka, szukając śladu jakiejś żywszej reakcji. - Do diabła, wszyscy wiedzą, że kilka lat temu Lodziarz zabił Wyrocznię.

- Lodziarz! - wykrzyknął Mboya. - No, to jest imię, które

działa cuda!

- Słyszałeś o nim?

- A któż nie słyszał? - odparł Mboya. - W tych stronach jest legendą. Chciałbym go kiedyś spotkać... oczywiście jeśli jeszcze żyje.

Chłopiec popatrzył na puste szklanki.

- Może następną kolejkę?

- Nie - odrzekł Mboya. - Myślę, że spróbuję szczęścia przy stole do ruletki.

- Nigdy nie lubiłem ruletki - stwierdził Chłopiec. - Zbyt wielki procent dla kasyna.

- Ja też jej aż tak nie lubię - przyznał Mboya i uśmiechnął się szeroko.

- Życzę szczęścia - powiedział Chłopiec.

- A może byś ze mną poszedł? - zaproponował Mboya, wstając z miejsca. - Mają tam także oczko, pokera i jaboba.

- Chyba później dołączę - powiedział Chłopiec. - Myślę, że przedtem wypiję jeszcze jedno piwo. Dzisiejszego popołudnia drzemałem dość długo i mam siły jeszcze na wiele godzin.

- No cóż, panie Cayman, dzięki za piwo - powiedział Mboya. - Mam nadzieję, że zdołam się zrewanżować, jeśli pojawi się w kasynie, nim wyjdę.

- Umowa stoi - potwierdził Chłopiec.

Mboya uśmiechnął się.

- Oczywiście przy założeniu, że wcześniej nie zbankrutuję.

- Za jeden z tych złotych zębów można chyba kupić butelkę najlepszego alkoholu - zauważył Chłopiec.

Mboya roześmiał się i wyszedł w noc, Chłopiec zaś wziął swoją szklankę i ruszył do baru.

- Jeszcze jedno - powiedział.

- W tej chwileczce - odrzekł barman, wyjmując dla niego czystą szklankę.

- Interesujący typ, ten Mboya - rzekł Chłopiec. - Często tu bywa?

- Och, zjawia się od czasu do czasu, gdy przysyła go jego szef - odpowiedział barman. - Ale nigdy dotąd nie słyszałem, by nazywał się Mboya.

- To nie jest jego prawdziwe nazwisko? - zdziwił się Chłopiec. Barman wzruszył ramionami.

- Wydaje mi się, że jest... Ale tu na Granicy nazywają go Czarną Śmiercią.

- Czarną Śmiercią? - powtórzył Chłopiec.

- Sądziłem, że go znasz. Chłopiec potrząsnął głową.

- On po prostu podszedł i przedstawił się, powiedział mi, że zajmuje się zwalczaniem szkodników.

Barman zachichotał.

- No, w pewnym sensie tak jest.

- W jakim sensie?

- Jest gorylem Prorokini.

### 15

Chłopiec sączył piwo przez następne pół godziny, a potem powędrował do kasyna. Było o wiele większe niż to należące do Lodziarza na Ostatniej Szansie. Stało tam pół tuzina stołów do gry w oko, cztery pokerowe, dwa koła do ruletki, stół do gry w amerykańskie kości, stół bilardowy, dwie gry w jaboba i jeszcze stół do jakiejś gry kosmitów, z którą nigdy się nie zetknął.

Gdy Chłopiec wszedł, kasyno było dość puste. W różne gry grało może z piętnaścioro mężczyzn i kobiet; nie było widać ani jednego kosmity. Chłopiec natychmiast zauważył Mboję, grającego samotnie w jedną z ruletek. Podeszedł do niego.

- Cześć, Neil - powiedział z przyjacielskim uśmiechem Mboya. - Cieszę się, że zdecydowałeś się przyjść.

- Nie miałem nic innego do roboty - odparł Chłopiec ze wzruszeniem ramion. - A nawiasem mówiąc, czy mam cię nazywać pan Mboya czy pan Śmierć?

Mboya roześmiał się.

- Wystarczy James.

- Ale ty jesteś Czarną Śmiercią? - nie ustępował Chłopiec.

- Niektórzy tak mnie nazywają. - Mboya obejrzał stół, a potem postawił dwa sztony na nieparzyste i jeden na czerwone.

- Widzę, że lubisz bezpieczną grę - zauważył Chłopiec.

- Jeśli postawisz na numer, szansę przegranej wynoszą trzydzieści pięć do jednego - odparł Mboya. - Prawdę mówiąc, przychodząc tu nie oczekuję wygranej, ale lubię, gdy wystarczy mi pieniędzy na kilka godzin zabawy.

- A w ogóle po co tu przyszedłeś? - zapytał Chłopiec.

- Lubię hazard. Więc gdzie mam się znajdować?

- Kiedy rozmawiałeś ze mną, takie miałeś polecenie,

prawda?

- Przecież rozmawiam z tobą - powiedział niedbałym tonem Mboya. - Nie widzę powodu, by się równocześnie nie zabawiać.

- Czy ona posyła cię na rozmowy z każdym nowo przybyłym na Mozarta? - zainteresował się Chłopic.

- Nie - rzekł Mboya, gdy koło zaczęło wirować. - Rozmawiam tylko z tymi, którzy ją interesują.

- Czemu zainteresowała się akurat mną? - zapytał Chłopic. Mboya wzruszył ramionami.

- Kto wie, co budzi jej ciekawość i w ogóle co kieruje jej działaniem? - Zaklął pod nosem, gdy wypadł numer czarny i parzysty. - Cholera! Nie uwierzyłbyś, że można tak nieustannie przegrywać! Cztery razy z rzędu stawiam na czarne i cztery razy wygrywa czerwone... Więc w końcu obstawiam czerwone i wygrywa czarne. Gdybym nie miał pewności, że jest inaczej, przysiągłbym, że koło jest spreparowane.

- A skąd masz pewność, że tak nie jest? - spytał Chłopic.

- Bo gdyby było, nikt mający cokolwiek wspólnego z tym kasynem nie dożyłby jutrzejszego ranka - odparł poważnie Mboya. - A oni o tym wiedzą. - Znów gapił się na stół, próbując zdecydować, na co stawiać, w końcu wzruszył ramionami i przeciągnął się. - Mam dość tej gry. Czas znaleźć powolniejszy sposób tracenia pieniędzy. - Dostrzegł wolny stół bilardowy. - Grywasz czasem w bilard, Neil?

- Czasami.

- Dobrze - rzekł Mboya. Podeszedł do stołu i obejrzał jego zieloną, filcową powierzchnię. - Może zagramy o małą stawkę, taką tylko, by gra była interesująca?

- To nie byłoby uczciwe - powiedział Chłopic.

- Nie jestem oszustem - zapewnił go Mboya.

- Wiem. Nie byłoby uczciwe, ponieważ nie możesz ze mną wygrać.

Mboya wyszczerzył zęby.

- No, tego bym też nie powiedział.

- To prawda - zapewnił go Chłopiec.

- Myślałem, że grywasz tylko od czasu do czasu.

- Zgadza się.

- Więc czemu miałbym ci wierzyć?

- Wierz, w co ci się podoba. - Nagle Chłopiec wzruszył ramionami i uśmiechnął się. - Sto kredytów partyjka?

- Pasuje mi - rzekł Mboya. Wybrał kij i zaczął nacierać kredą jego koniec.

- Pamiętaj tylko, że cię uprzedziłem - ostrzegł Chłopiec, biorąc swój kij i wracając do stołu.

- Podziwiam twą pewność siebie - rzekł Mboya. - Rozbij je.

Okazało się, że ufność Chłopca była dobrze uzasadniona. Czipy podłączone do jego oczu ukazywały mu każdą z maleńkich nierówności na powierzchni stołu, czipy w ramionach umożliwiały oddanie każdego strzału dokładnym, pewnym uderzeniem, te zaś, które dał sobie wszczepić na Słodkowodnej, pozwalały na wychylenie się daleko nad stołem bez najmniejszej niewygody czy utraty równowagi. Z łatwością pobił Mboję w trzech kolejnych partiach i już miał rozbić bile do czwartej, gdy Czarna Śmierć oświadczył, że ma dość, i wyciągnął z portfela trzy banknoty stukredytowe.

- Powinieneś rzucić biznes z czipami i stać się rekinem bilardowym - rzekł ze smutkiem, kładąc pieniądze na stole.

Chłopiec wziął je i włożył do portfela.

- Może kiedyś nim zostanę - rzekł.

Mboya dał znak samotnemu kelnerowi, snującemu się po

kasynie w poszukiwaniu zleceń.

- Proszę dwa piwa - powiedział, gdy kelner podszedł do nich. Otarł czoło i zwrócił się do Chłopca. - Usiądźmy sobie. Przegrywanie w ruletkę i w bilard wywołuje pragnienie.

- Nie miałeś żadnych szans - stwierdził Chłopic, podążając za nim do wolnego stolika karcianego.

- Wiedziałem o tym już po piątym uderzeniu - zgodził się Mboya z krzywym uśmiechem. Usiadł naprzeciw Chłopca. - Nie wiem, gdzie nauczyłeś się grać, twój styl jest nietuzinkowy jak wszyscy diabli... Ale też ktoś dobrze cię nauczył.

Tym razem uśmiechnął się Chłopic.

- Wątpię, czy grałem z pół tuzina razy w życiu.

- Nie wierzę! - stwierdził zdecydowanie Mboya.

- Nie mam powodu, by cię okłamywać - zauważył Chłopic. - Nie skłamałem też na temat twego braku szans; zaraz na początku powiedziałem ci, że wygram.

- No to złóż na mnie skargę - rzekł Mboya. - Nie wiedziałem, że jesteś aż tak dobry.

- Jest mnóstwo rzeczy, których o mnie nie wiesz - stwierdził Chłopic. - Rzeczy, których nie wiesz ani ty, ani twoja szefowa.

- Nie sądzę, byś zamierzał zwierzyć mi się z nich - orzekł z uśmiechem Mboya.

Chłopic potrząsnął głową.

- O wszystko, czego zechce się o mnie dowiedzieć, może mnie wprost zapytać.

- Neil, to nie w jej stylu.

- No to będzie musiała go zmienić - rzekł zdecydowanie Chłopic. Mboya miał rozbawioną minę.

- Ona nie zmienia się z powodu innych ludzi, to oni zmieniają się dla niej.

- Dlaczego?



- Bo jest Prorokinią - odparł. - Czemu tak bardzo chcesz się z nią spotkać?

- Powiedziałem ci.

- Wiem, co mi powiedziałeś - odrzekł Mboya. - Po prostu pomyślałem sobie, że może wolałbyś powiedzieć mi prawdę.

- Nazywasz mnie kłamcą? - zapytał Chłopic.

- Bynajmniej - odparł spokojnie Mboya. - Gdybym nazwał cię kłamcą, zapewne obraziłbyś się i wówczas musiałbym cię zabić... A wyglądasz na bardzo sympatycznego chłopca.

- Zabicie mnie może okazać się o wiele trudniejsze, niż przypuszczasz - powiedział Chłopic.

- To możliwe - zgodził się Mboya. - Zazwyczaj okazuje się, że ludzi, których mam zabić, jest o wiele trudniej unicestwić, niż początkowo myślałem. Ale tak czy tak wszyscy już nie żyją - poinformował. - Może zmienilibyśmy temat, nim zaczniesz mnie ciekawić problem, do jakiego stopnia trudno byłoby cię zabić.

- To mi odpowiada - stwierdził Chłopic. - Nie mam ci nic do zarzucenia. Jesteś tylko człowiekiem najętym do posług - stwierdził. - W tawernie oczywiście mnie okłamałeś.

- Czemu miałbym kłamać?

- Powiedziałeś, że zajmujesz się zwalczaniem szkodników.

- I tak jest - odpowiedział uprzejmie Mboya. - Po to właśnie tu jestem: by stwierdzić, w jakim stopniu zamierzasz stać się szkodnikiem i do jakiego stopnia trzeba będzie cię zwalczać.

- Powiedziałem ci - odparł Chłopic.- Sprzedaję czipy komputerowe.

- Wiem, co mi powiedziałeś - rzekł Mboya. - Nie uwierzyłem ci wtedy i nadal ci nie wierzę.

- Zamów u mnie czip, a przekonasz się, że się mylisz. - Chłopic uśmiechnął się. - Przynajmniej zaczniesz dzięki temu lepiej grać w bilard.

Kelner wreszcie przyniósł im piwo, Mboya rzucił mu na tacę parę monet.

- Na Mozarcie wytwarza się mnóstwo dobrych rzeczy - powiedział Mboya, wlewając do szklanki zawartość pojemnika.

- Ale piwo niestety do nich nie należy.

- To zamów importowane.

- Tak długo jak tu jestem, uważam iż powinienem popierać produkcję krajową.

Chłopiec rzucił mu zaciekawione spojrzenie.

- Dziwny z ciebie zabójca.

- Cóż, gdy już mamy mówić na ten temat, to z ciebie dziwny komiwojażer.

Chłopiec popatrzył na niego bezczelnie.

- Ja zajmowałem się moimi sprawami - odciął się. - To ty mnie znalazłeś.

- Na tym polega moja robota.

- To już mówiłeś - stwierdził Chłopiec. - A ja chciałbym się tylko dowiedzieć, czemu ona się mną interesuje.

Mboya roześmiał się.

- Myślenie o tym nie do mnie należy.

- Masz tylko jej bronić za cenę własnego życia, prawda?

- Nieprawda.

- Barman w tawernie powiedział, że jesteś jej gorylem - dodał Chłopiec.

Mboya pokręcił głową.

- Jej nie trzeba goryla. Jestem tylko jej oczami i uszami w czasie, gdy ją zajmują inne sprawy... to znaczy przez większość czasu. - Jaka ona jest?

- Inna.

- W jaki sposób?

- To ja mam zadawać pytania - rzekł Mboya.

- A ja nie muszę na nie odpowiadać?

- Nie musisz - zgodził się Mboya. - Ale znacznie ułatwiłbyś mi robotę, gdybyś to zrobił.

Chłopiec dokończył piwo jednym długim haustem, a potem utkwiał wzrok w Mboi.

- A co mnie może obchodzić, czy masz trudną czy łatwą robotę?

- Powinno, bo gdy robota mnie frustruje, staję się nerwowy - odparł Mboya. - Wierz mi, zupełnie byś mnie nie lubił, gdybym się zaczął denerwować.

- Nie sądzę, bym lubił cię już w tej chwili - stwierdził Chłopiec. Mboya przyjrzał mu się uważnie.

- Neil, czy jeszcze coś zataiłeś przede mną?

- Na przykład?

- Nie wiem. Ale większość ludzi nie rozmawia ze mną takim tonem, jeśli nie uważają, że mają nade mną jakąś przewagę.

- To, co wiem, to moja sprawa - odrzekł Chłopiec. - A ty możesz przestać nazywać mnie Neilem.

- Myślałem, że tak masz na imię.

- Kiedyś tak było. Teraz jestem Silikonowym Chłopcem.

- Nigdy o tobie nie słyszałem - powiedział Mboya.

- Usłyszysz - zapewnił go Chłopiec. - Obiecuję.

- A więc wyobrażasz sobie, że możesz zyskać sławę załatwiając Prorokinię, o to chodzi? - rzekł Mboya, jawnie rozbaawiony pomysłem. - Zapomnij o niej, chłopcze. Weź na muszkę Tancerza Grobów albo nawet Jaszczurkę Malloya. Kto wie? Jeśli będziesz miał szczęście albo uda ci się trafić na ich zły dzień, może nawet przeżyjesz.

- Nie przybyłem na Mozarta, by kogokolwiek zabić - odpowiedział Chłopiec. - Jestem tu tylko po to, by sprzedawać cipy komputerowe.

- Ach, wreszcie zrozumiałem - rzekł Mboya z uśmiechem rozbawienia. - Wszyscy o tobie usłyszymy, ponieważ zostaniesz najślynniejszym komiwojażerem w Galaktyce.

- Usłyszysz o mnie, ponieważ zawsze trafi się ktoś taki jak ty; kto nie weźmie mnie na serio - stwierdził Chłopiec. - A to błąd.

- No cóż, z pewnością to zapamiętam - odrzekł Mboya. Uważnie przyjrzał się Chłopcowi. - A nawiasem mówiąc, gdzie jest ten cały silikon, który czyni z ciebie Silikonowego Chłopca?

- Na swoim miejscu - powiedział Chłopiec.

- Zgadza się - potwierdził Mboya. - Specjalizujesz się w implantach, prawda?

- Tak.

- No to będziesz musiał mi wybaczyć, że nie padam trupem z przerażenia - rzekł Mboya.

- Wybaczam ci - odrzekł poważnie Chłopiec. Mboya postawił szklankę na stoliku.

- Jesteś interesującym młodzieńcem - kontynuował. - Nie jestem nastawiony do ciebie wrogo i życzę ci długiego i szczęśliwego życia.

- Dziękuję. Zamierzam nim się cieszyć.

- To posłuchaj mojej rady i nie szukaj... - Nagle Mboya zamarł z oczami wlepionymi w drzwi wejściowe.

- Coś nie tak? - zapytał Chłopiec, odwracając się, by zobaczyć, na co patrzy Mboya.

Do kasyna weszło trzech niedbale ubranych mężczyzn, z kieszeniami wypchanymi bronią. Zamiast podejść do stołów, rozmieścili się półkrygiem po sali, przyglądając się Mboi.

- Zdaje mi się, że już wam powiedziałem, że nie jesteście tu pożądanymi gośćmi - stwierdził, zwracając się twarzą do stojącego pośrodku.

- Wiem, co mi powiedziałaś - odrzekł mężczyzna.
- Od zeszłego tygodnia nic się nie zmieniło. Nadal nie jesteś mile widziany na Mozarcie.
- Ależ zmieniło się - rzekł mężczyzna i roześmiał się głośno. - Tym razem nie jestem sam.
- Nic się nie zmieniło - powtórzył Mboya. - Uważam, że lepiej będzie, jeśli cała wasza trójka zawróci i uda się do kosmoportu.
- Nie ma mowy - rzekł mężczyzna.
- No cóż, nie mogę was zmusić do rozsądnego zachowania - odrzekł wzruszając ramionami Mboya. - Mogę to tylko proponować.
- Wiemy, po cośmy tu przylecieli - kontynuował mężczyzna. - Gdzie ona jest?
- Gdzie jest kto?
- Gra skończona - oświadczył mężczyzna. - Przylecieliśmy załatwić Prorokinię.
- Prorokinię? - powtórzył Mboya. - Nigdy o niej nie słyszałem.
- Jeśli będziemy musieli cię zabić, by się do niej dostać, zrobimy to.
- Co to za gadanina o zabijaniu? - spytał uprzejmie Mboya. - Ta planeta jest mała i nikt nikogo tu nie zabija.
- Jeśli tak, to co ty tu robisz? - roześmiał się mężczyzna.
- Strzegę pokoju - odpowiedział Mboya.
- Zapytam cię jeszcze tylko raz - zniecierpliwił się tamten.
- Gdzie ona jest?
- Nie twoja rzecz - oświadczył Mboya. - A teraz ja mam pytanie do ciebie.
- Taak?
- Czy potrafisz liczyć do pięciu? Bo tyle właśnie masz sekund na wyniesienie się stąd.

Mężczyzna rzucił mu krótkie wściekłe spojrzenie, a potem on i jego dwaj ludzie z obstawy równocześnie sięgnęli po broń. W dłoni Mboi ukazał się jak za sprawą czarów pistolet dźwiękowy i dwaj napastnicy byli martwi, nim jeszcze zdążyli wydobyc broń. Mboya zakręcił się w miejscu i przysiadł, kierując się ku trzeciemu, ale ten był już ranny, z lewym ramieniem dymiącym od trafienia promieniem laserowym. Udało mu się jeszcze oddać szybki, niecelny strzał i Mboya zabił go w mgnienie oka później.

- Niech ktoś pójdzie po policję! - rozkazał Mboya w chwili, gdy przerażeni goście, którzy w czasie zajścia padli na ziemię, zaczęli wstawać. Dwaj natychmiast opuścili budynek.

- Zdaje się, że powinienem ci podziękować - kontynuował Mboya zwracając się do Chłopca, ciągle jeszcze trzymającego laserowy pistolet w dłoni - ale głupio było mieszać się do tego. Czemu, u diabła, to zrobiłeś?

- Chciałem się przekonać, czy jestem szybszy od ciebie - odrzekł Chłopiec. - Jestem.

- Strzeliłeś do człowieka, którego wcześniej nie widziałeś, tylko po to, by się przekonać, czy jesteś szybszy ode mnie? - powtórzył z niedowierzaniem Mboya.

- Zgadza się.

- Można by to podciągnąć pod usiłowanie morderstwa. - Jeśli mnie zaarrestują, z pewnością będą musieli aresztować także ciebie - zauważył Chłopiec. - Czy myślisz, że tak zrobią? Mboya przyglądał mu się długą chwilę. - Jesteś niebezpiecznym młodzieńcem, wiesz o tym?

- Wiem.

- Ilu ludzi już zabiłeś?

- Jeszcze ani jednego - przyznał Chłopiec. - Ale mam przecucie, że gdy w końcu do tego przyjdzie, bardzo mi się to spo-

doła.

- Gotów jestem założyć się, że tak będzie - rzekł Mboya. - Lepiej bierz dupę w troki i zmykaj do hotelu. Ja się zajmę władzami.

Chłopiec kiwnął głową i ominął trupy. Gdy dotarł do wejścia, odwrócił się do Mboi.

- Byłem szybszy, niż ty - stwierdził.

- Ale nie zabiłeś go - wytknął Mboya. - Chybiłeś.

- Ciągle jeszcze dostrajam się do czipów. Następnym razem wyceluję dokładniej.

- Gdybym to był ja a nie on, nie dożyłbyś następnego razu - stwierdził Mboya. - Wziąłeś go z zaskoczenia. Patrzył na mnie, gdy do niego strzeliłeś. Teraz, gdy już wiem, co potrafisz, nigdy mnie nie zaskoczysz.

- I nie chcę. Jeśli cię kiedykolwiek pokonam, będzie to w uczciwej walce.

- Cóż, pocieszająca wiadomość - oświadczył kwaśno Mboya. Chłopiec nie ruszył się z wejścia.

- Czy teraz uważasz, że ona spotka się ze mną? - spytał wreszcie.

- Nie wiem.

- Przypomnij jej, że oni tu przylecieli, by ją zabić.

- Ja nie muszę jej niczego przypominać - stwierdził Mboya. - Właśnie dlatego wyszedłem z restauracji i pojawiłem się tutaj. Ona wiedziała, że tu się pokażą.

- Pomimo wszystko przypomnij jej - powtórzył Chłopiec. - Nadal potrzebuję pewnych rad co do inwestycji.

- Oczywiście, że potrzebujesz - potwierdził Mboya.

Chłopiec usłyszał jakieś poruszenie kilka ulic dalej. Dwóm graczom towarzyszyła policja, zdecydował więc, że może równie dobrze zastosować się do polecenia Mboi i pójść do hotelu. Po-

zostawanie w kasynie nie przybliży go ani trochę do Prorokini, a ewentualny rozgłos może go kosztować utratę tylu klientów, że nie będzie już miał usprawiedliwienia dla spędzenia dwóch czy trzech tygodni na planecie.

- Zatrzymałem się w Manor House - powiedział do Mboi. - Będę czekał na wiadomość od ciebie.

- Ale nie z zapartym tchem - powiedział Mboya.

Chłopiec wyszedł na ulicę, odczekał, aż minęli go policjanci i gracze, wchodzący do kasyna, a potem udał się do hotelu.

To był interesujący wieczór. Nawiązał kontakt z człowiekiem pracującym dla Prorokini i brał udział w strzelaninie, adrenalina zaś, wyprodukowana przez jego organizm, jeszcze nie zanikła. To podniecenie było fantastycznym uczuciem, wiedział więc, że znalazł swe przyszłe powołanie, gdy tylko zakończy się sprawa z Penelopą Bailey. Pojechał windą powietrzną do swego pokoju, rozwałił się bez rozbierania na łóżku i obiecał sobie, że owi włączający się z planety na planetę minstrele, wyśpiewujący pieśni o Santiago, Billybuck, Tancerzu i Lodziarzu, pewnego dnia będą opiewać też Silikonowego Chłopca.



### 16

Chłopiec jadł śniadanie po drugiej stronie ulicy, gdy pojawił się w restauracji Mboya i podszedł do jego stolika.

- Zobaczy się z tobą - oznajmił.

- Kiedy? - zapytał Chłopiec.

- Teraz.

- Jak tylko skończę śniadanie, będę do twojej dyspozycji.

- Skończyłeś - oświadczył Mboya. - Prorokini nie każe się czekać. - Ja tak - powiedział Chłopiec, odgryzając następny kęs i żując go z namysłem.

- Jeśli chcesz w ten sposób zrobić na niej wrażenie, to tylko tracisz czas - ostrzegł Mboya. - Dla niej jesteś mniej niż insektem.

- To ty możesz być mniej niż insektem - odparł Chłopiec. - Ja nie.

- Skąd takie mniemanie? - zapytał pogardliwie Mboya.

- Bo insektów nie zaprasza się na rozmowy - stwierdził Chłopiec. Jeszcze przez parę minut kończył posiłek, następnie wypił kawę, położył na stole kilka nowostalinowskich rubli i wreszcie wstał z miejsca. - W porządku. Chodźmy.

Poszedł za Mboya do samochodu i w chwilę później mknęli na południe, za miasto. Minęli szereg zabudowań i wreszcie zatrzymali się przed kolejną farmą, niczym nie różniącą się od pozostałych. Podjechali do geodezyjnej kopuły, stojącej nad niewielkim stawem.

- Nie ma strażników - zauważył Chłopiec.

- Nie są jej potrzebni.

- Nawet ty?

- Nawet ja - powiedział Mboya.

- No to chodźmy do środka.

- Ona chce spotkać się tylko z tobą - rzekł Mboya. - Zaczekam tutaj.

- W którym jest pokoju? - zapytał Chłopiec, wysiadając z samochodu.

- A skąd mogę wiedzieć?

Chłopiec wzruszył ramionami, pozwolił ruchomemu chodnikowi zanieść się do głównego wejścia i czekał, aż otworzą się drzwi. Nie było tu żadnych kamer, żadnych skanerów identyfikujących wzór siatkówki, żadnych systemów zabezpieczeń. Po chwili drzwi wsunęły się w ścianę i Chłopiec wszedł do kolistego holu.

- Jestem tutaj. - Chłopiec usłyszał kobiecy głos, więc poszedł w tamtym kierunku. Znalazł się w obszernym pokoju z ogromną ścianą ze szkła, przez którą widać było staw.

Penelopa Bailey siedziała w rzeźbionym drewnianym fotelu. Była smukłą blondynką, ubraną w luźną białą suknię. Chłopiec uznał, że jest bardzo ładna, ale zupełnie brakowało jej seksapilu. W jej oczach było coś dziwnego, coś, czego nie potrafił określić; nawet gdy patrzyła na niego, zdawała się spoglądać gdzieś daleko poza nim, na coś co tylko ona dostrzegała.

- Witam, panie Cayman - powiedziała i nawet jej głos wydawał się daleki, jakby umysł kobiety znajdował się gdzie indziej, ona zaś dawała jakieś z góry ustalone przedstawienie.

- Dzień dobry, Prorokini - odpowiedział Chłopiec.

- Proszę zająć miejsce.

- Gdzie?

- Gdziekolwiek pan zechce.

- Dziękuję - powiedział Chłopiec, siadając na sofie krytej opalizującą tkaniną, która w promieniach słońca nieustannie zmieniała kolor.

Nagle Penelopa zmieniła pozycję i prawą rękę podniosła na jeden moment nad głowę.

- Czy coś jest nie w porządku? - zapytał Chłopiec.
  - Nie.
  - Wygląda pani na zaniepokojoną - zauważył.
  - Łatwo pana przejrzeć, panie Cayman - powiedziała z jakimś nieludzkim uśmiechem.
  - Zdaje mi się, że nie rozumiem, o czym pani mówi.
  - Wie pan, czemu zmieniłam pozycję, więc po co udawać, że tak nie jest.
  - Nie mam pojęcia, czemu poruszyła się pani w taki sposób - zapewnił Chłopiec.
- Potrząsnęła głową nie przestając się uśmiechać, nadal wyglądała tak, jakby się wpatrywała w jakiś niewyobrażalnie odległy punkt.
- Panie Cayman, przychodzi pan prosić mnie o radę, a jednak nie chce pan być ze mną szczery.
  - Mówię prawdę.
  - Nie, panie Cayman. - Wstała i podeszła do szklanej ściany. - Przysłano pana na Mozarta, by mnie znaleźć, a ja wiem, że nie przyjechał tu pan na polecenie tego dziwaczego kryminalisty, który sam nazwał się Namaszczonym. Oznacza to, że ten, kto pana przysłał, znał mnie wiele lat temu, nim stałam się Prorokinią. Tylko dwóch takich ludzi jeszcze żyje, a jeden z nich jest na emeryturze. - Odwróciła się do Chłopca wpatrując się w jakieś miejsce poza nim. - Został pan przysłany przez Carlosa Mendozę, zwanego Lodziarzem. A ponieważ nie puściłby pana tutaj nie mówiąc, kim i czym jestem, wie pan, że jeśli wykonuję nagłe ruchy lub działania dla pana niezrozumiałe, a wiele z nich musi takimi być, steruję lub manipuluję różnymi wariantami przyszłości.
- Chłopiec długo patrzył na nią nie odpowiadając. - Jest pani tak dobra, jak mówił - rzekł w końcu.

- Uznaję to za wysoką pochwałę - odparła. - Jest jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek stawiał mi czoło, jedynym człowiekiem ze wszystkich na świecie, którego kiedykolwiek się bałam.

- I nadal boi się go pani? - zapytał Chłopiec.

Potrząsnęła głową.

- Nie.

- I nie ma pani wiele ku temu powodów - stwierdził Chłopiec. - To stary, kulawy grubas.

- To ja go okulałam dwadzieścia lat temu - powiedziała, patrząc w przestrzeń.

- Dlaczego pani go wówczas nie zabiła?

- Byłam bardzo młoda - odrzekła Penelopa. - Myślałam, że umrze z ran i chciałam, by cierpiał.

Chłopiec już chciał skomentować jej słowa, gdy nagle podniosła rękę.

- Co się stało? - zapytał.

- Spójrz - powiedziała, wskazując na przeciwległy brzeg stawu.

- A na co mam patrzeć? - zapytał, wyglądając przez okno. - Jest tam małe zwierzątko przed swą norą, prawda? - zapytała,

ciągle patrząc mu w oczy.

- Tak - potwierdził. - Brudnoczerwonego koloru.

- Patrz uważnie - poleciała.

W parę sekund później runął z góry ptak, chwycił zwierzątko w szpony i odleciał z nim.

- Wiedziała pani, że tak się stanie.

- Wiem o wszystkim, co ma się stać - oświadczyła. - Jestem Prorokinią.

- Czy mogła pani ocalić gryzonia?

- Oczywiście - odrzekła. - Jest nieskończona liczba możli-

wych przyszłości. W niektórych z nich gryzoń zauważył ptaka i wycofał się do nory. W innych ptak był roztargniony i nie zauważył gryzonia.

- Jak mogła pani zmienić to, co się stało?

Znów się uśmiechnęła, lecz nie dała mu odpowiedzi.

- Może napiłby się pan czegoś zimnego, panie Cayman? - zapytała po chwili. - Zapowiada się ciepły dzień.

- A może zrobi go pani chłodniejszym? - zaproponował Chłopiec.

- Dom jest klimatyzowany - odrzekła. - A ja mam ważniejsze rzeczy do roboty.

- Wobec tego - powiedział Chłopiec - niech będzie woda.

- Proszę za mną - odparła, ruszywszy olśniewająco białym korytarzem do kuchni.

- Nie ma pani żadnych służących? - spytał, rozglądając się po pełnej gadżetów kuchni.

- Miliony - odrzekła, trzymając szklankę pod kranem. - Zimna - szepnęła i woda zaczęła się lać. Gdy szklanka się napełniła, Penelopa powiedziała: „Stop” i wręczyła szklankę Chłopcu.

- Dziękuję - powiedział, opróżniając jednym haustem naczynie.

- Proszę bardzo, panie Cayman - odrzekła. - A teraz wyjdźmy na dwór, usiądziemy w cieniu drzew.

- Czy na pewno chce pani wyjść na zewnątrz? - zapytał. - Powiedziała pani, że dom jest klimatyzowany.

- Miałam nieprzyjemne doświadczenie, o którym z pewnością panu opowiadano - odrzekła, prowadząc go na ocieniony taras. - Nie lubię ciasnoty.

Chłopcu przypomniał się pył i asteroidy, krążące wokół Alfy Crepello.

- Tak, to rozumiałe.

Usiadł na drewnianej ławce, ona zaś na identycznej, oddalonej o dziesięć stóp. Nagle podniosła się gwałtownie.

- Co się stało? - zapytał Chłopiec.

- Nic złego, panie Cayman. - To dlaczego...? Uśmiechnęła się.

- Jest pewne wydarzenie, dla pana to nieistotne, jakie, które musi nastąpić na planecie zwanej Cherokee. Przeszłość jest ustalona i niezmienna, panie Cayman, ale istnieje nieskończona liczba wariantów przyszłości. W każdym z nich, jeśli siedziałam nadal, wydarzenie nie następowało. Ponieważ jednak wstałam, może jeszcze nastąpić.

- Ale w jaki sposób wstając na tej planecie może pani wywołać jakieś zmiany w odległości całych lat świetlnych?

- Nie znam ani odpowiedzi na to pytanie, ani powodu, dla którego tak się dzieje. Wiem tylko, że tak jest - oznajmiła. - A teraz, panie Cayman, przejdźmy do interesów.

- Po to tu przyjechałem.

Popatrzyła na niego przez sekundę. Poczł się skrępowany i zaraz doszedł do wniosku, że woli, gdy spogląda, jak sobie wyobrażał, w przyszłość.

- Musi mi pan wybaczyć, panie Cayman, ale nie wiem, po co pan tu przybył.

- Myślałem, że pani wie wszystko - zauważył Chłopiec.

- Znam aż nazbyt wiele wariantów przyszłości - odpowiedziała. - Nie wiem natomiast o wszystkim, co się zdarzyło.

- To przecież bez sensu.

- Dla mnie ma to sens - stwierdziła. - A teraz może zechce pan być tak uprzejmy i powiedzieć mi, po co przybył pan na tę planetę,

- Jeśli zna pani przyszłość, to już pani wie, co powiem.

- Może pan powiedzieć sto różnych rzeczy - odrzekła Penelopa. - Jest pan wielkim kłamcą i wie pan o tym, a także egocentrykiem i mitomanem. Chcę usłyszeć, co pan powie.

- Skąd może pani wiedzieć, czy nie skłamię?

- Bo już znam większość odpowiedzi na pytania, które zadam.

- To po co w ogóle pytać?

- By określić w jakim stopniu jest pan godny zaufania, panie Cayman.

- Dlaczego to panią obchodzi?

- Wszystko w swoim czasie, panie Cayman - powiedziała Penelopa, wpatrując się ponownie w przestrzeń. - A teraz proszę mi odpowiedzieć.

- Przybyłem na Mozarta sprzedawać czipy komputerowe - oświadczył Chłopic.

- To jest fakt - stwierdziła Penelopa. - Ale to nie jest cała prawda.

- Dobra - odrzekł wzruszając ramionami. - Przysłał mnie tu Lodziarz.

- Wiem.

- No więc to wszystko.

- Dlaczego pana tu przysłał?

- Uważa, że nic nie jest w stanie pani zabić. Wobec tego usłyszawszy, że Hades został zniszczony przez wielki meteor, doszedł do wniosku, że uciekła pani stamtąd, nim to się wydarzyło.

- A czy Demokracja zgadza się z jego zdaniem?

- Nie. I Lodziarz uważa, że oni są głupcami.

- Ma rację.

- Tak czy inaczej chce się dowiedzieć, co pani zamierza.

- Oczywiście.

- Nie o pani planach na teraz - kontynuował Chłopic -

lecz tych na dłuższą metę.

- Planuję przeżyć we wszechświecie, który zawsze okazywał się moim wrogiem - odpowiedziała bez cienia emocji Penelopa.

- No cóż, z tego co widziałem, przeżycie wydaje się najmniejszym z pani problemów... zakładając, że w ogóle ma pani jakieś problemy.

- Jestem istotą z krwi i kości, panie Cayman - odpowiedziała. - Pewnego dnia umrę tak samo, jak umiera każda istota ludzka. - Nagle uśmiechnęła się rozbawiona. - Ale nie z pana ręki, panie Cayman. Jeśli wyciągnie pan swój pistolet laserowy i spróbuje do mnie strzelić, nad czym pan się właśnie zastanawia, on nie wypali, natomiast wybuchnie w pana dłoni.

- Nie myślałem wcale o tym, by panią zabić - stwierdził Chłopiec.

- Został pan ostrzeżony, panie Cayman. Pański los jest w pana rękach.

Chłopiec wyciągnął pistolet i obejrzał go.

- Zeszłego wieczoru działał doskonale - oświadczył.

- W milionie wariantów przyszłości będzie tego ranka działał prawidłowo - powiedziała Penelopa. - Ale nie pozwolę, aby którakolwiek z tych przyszłości nastąpiła.

Chłopiec jeszcze przez chwilę przyglądał się pistoletowi, a potem wzruszył ramionami i włożył go do kabury.

- Teraz ja mam do pani pytanie - powiedział.

- Na temat inwestycji? - zapytała drwiącym tonem. - Nie.

- Proszę pytać, panie Cayman.

- Czemu nie została pani władczynią tej całej cholernej Galaktyki? Nie zdaje mi się, by ktokolwiek był w stanie panią powstrzymać.

- Może pewnego dnia nią zostanę - odrzekła. - Ale naj-



pierw mam inne, pilniejsze spraw)7.

- Na przykład?
- Nie zrozumie pan.
- Proszę spróbować.

Spojrzała na niego i przez jej twarz przeleciał pogardliwy uśmieszek.

- Gdyby potrafił pan wiedzieć to co ja, gdyby próbował pan to zrozumieć i uporządkować w jakiś sposób, oszalałby pan. Nawet w chwili, gdy rozmawiamy, na statku międzygwiazdnym lecącym na Antaresa musi nastąpić awaria, górnik na Nelsonie V musi kopać o milę na zachód od swego obozu, polityk na Nowej Rodezji musi przyjąć łapówkę, krystaliczny kosmita na Atrii musi otrzymać wiadomość podprzestrzenną z dalekiego Oriona. Jest tysiąc wydarzeń, które muszą się urzeczywistnić; milion wariantów przyszłości musi zniknąć w każdej nanosekundzie, a ty mnie prosisz, bym ci to wytłumaczyła? Biedny, mały człowieczku, pragnący tylko pełnego brzucha i wypchanego portfela, marzący o bohaterских czynach i chętnych dziewczynach, twoim przeznaczeniem jest stać się drobiną pyłu w Galaktyce już i tak pełnej pyłu. Nie, panie Cayman, nie sądzę, by potrafił pan pojąć moje cele czy moje wyjaśnienia.

Chłopiec patrzył na nią przez chwilę.

- Bez względu na to, co pani zamierza, potrzebuje pani lepszego pomocnika, niż James Mboya - oświadczył.

- Myśli pan o jakimś kandydacie na miejsce Czarnej Śmierci? - zapytała, Chłopiec zaś odniósł wyraźne wrażenie, że Penelopa naśmiewa się z niego.

- Stoi przed panią - powiedział.

- Myślałam, że pan pracuje dla Lodziarza.

- Pracuję dla wygrywających - powiedział Chłopiec. - Pani wygrywa.

- Jestem bardzo zadowolona z usług Czarnej Śmierci - stwierdziła.

- Jestem lepszy od niego.

- W jaki sposób?

- Jestem szybszy, mocniejszy i sprawniejszy - oświadczył Chłopiec. - I mogę panią uczynić równie szybką i silną.

- Dzięki pańskim czipom? - zapytała.

- Zgadza się - odparł Chłopiec. - Wyrzuci pani Mboyę, weźmie mnie na jego miejsce i, choć jest pani potężna, mogę zrobić panią jeszcze potężniejszą.

- Chce pan uczynić mnie w jeszcze mniejszym stopniu człowiekiem, niż jestem? - zapytała drwiąco. - To interesująca propozycja, panie Cayman.

- Nawet nie musi pani go wyrzucać - dodał Chłopiec. - Mogę go zabić natychmiast, kiedy tylko wyjdę z domu. Czeka na mnie na zewnątrz.

- Ale ja nie chcę, aby pan go zabijał, panie Cayman - powiedziała. - Nie potrzebuję też pana czipów. - Spojrzała na niego i znowu Chłopcowi wydawało się, że dostrzegła go. - W ogóle nie chciałam być Prorokinią, panie Cayman. To, co panu wydaje się darem, dla mnie często było przekleństwem. Marzyłam o tym, aby nie różnić się od innych istot ludzkich, ale przez większość mego życia prześladowano mnie, goniono i więziono, gdyż byłam inna. A teraz pan proponuje, abym stała się jeszcze mniej podobna do zwykłych ludzi? Musi pan postarać się o coś lepszego.

- Jeśli chce pani być taką, jak wszyscy inni, może wystarczy po prostu przybrać nową tożsamość i przenieść się do Ramienia Spiralnego lub na Zewnętrzną Granicę?

- Nie, bo ja naprawdę jestem inna - odrzekła Penelopa. - Nie chciałam się z tym pogodzić, ale nie mogę przeczyć faktom.

Gdziekolwiek się udam, tam będą mnie szukać; gdziekolwiek się skryję, znajdą mnie. Los okazał się dla mnie bardzo okrutny, panie Cayman. Teraz, gdy moje możliwości dojrzały, zamierzam bronić się najlepiej, jak potrafię.

- Może pani się ukryć.

- Mogę sobie zapewnić to, by nikt z ludzi żyjących teraz ani nikt z tych, co mają się narodzić, nie mógł nigdy wyrządzić mi krzywdy - powiedziała. - Zrobię wszystko, co trzeba, aby się przed nimi uchronić.

- Z rozwalaniem planet włącznie? - zapytał Chłopic.

- Oko za oko, panie Cayman... A na Hadesie było mnóstwo oczu. To, co się tam wydarzyło, było wymierzeniem sprawiedliwości na wielką skalę. Powinien się pan nad tym zastanowić, nim pan mi się przeciwstawi.

- Nie staram się pani przeciwstawić - oświadczył Chłopic. - Próbuję się do pani przyłączyć.

- Jeśli pozwolę panu, by mi pan służył, posłuszeństwo musi być absolutne - powiedziała.

- Zgoda.

- Otrzyma pan dobrą zapłatę, lecz będę od pana wymagać wielu rzeczy, które nie spodobają się panu.

- Wystarczy, jeśli mi pani zapłaci, a mnie pozostawi zamartwianie się o całą resztę - powiedział Chłopic.

- Jedną z pierwszych rzeczy, których od pana zażądam, będzie zdradzenie Carlosa Mendozy - oświadczyła.

- Byłem pewien, że o to pani poprosi - odrzekł śmiejąc się Chłopic.

- Czy to sprawia panu przykrość?

- Nie.

- Nawet mimo tego, że jest pana przyjacielem?

- Znalazł się po stronie przegranych - stwierdził Chłopic. -

Nie ma sposobu, by wygrał. Jeśli ja go pani nie wydam, zrobi to ktoś inny... więc równie dobrze to ja mogę dostać za to zapłatę.

Penelopa przyjrzała mu się z namysłem.

- Wygląda pan na bardzo praktycznego młodzieńca, Neilu Caymanie - orzekła. - Myślę, że może pan okazać mi się użyteczny w sposób, którego pan nawet nie pojmuję.

- Więc jestem zaangażowany? - Jest pan zaangażowany.

- Jeszcze nie mówiliśmy o pieniądzach - zauważył.

- Przekonasz się, że jestem bardziej niż hojna - odpowiedziała Penelopa. - A jeśli będziesz lojalny, posiadasz taką potęgę, o jakiej dotychczas mogłeś tylko marzyć.

- To mi odpowiada - rzekł Chłopiec. - A przy okazji: ja już nie jestem Neilem Caymanem.

- O?

- Wygląda na to, że tu na Wewnętrznej Granicy każdy obiera sobie nowe imię. Ja jestem Silikonowym Chłopcem.

- Nazwisko charakterystyczne i robiące wielkie wrażenie.

Na razie musi wystarczyć.

- Zamierza pani dać mi inne?

- Być może.

- Nie sądzę, by chciała mi je pani wyjawić?

- We właściwym czasie - stwierdziła Penelopa. Wstała. - Spotkanie z panem zakończone. Czarna Śmierć odwiezie pana do hotelu. Wiem, że chciałby się pan z nim zmierzyć - powiedziała ostrzegawczym tonem. - Ale od dzisiejszego dnia będzie pan walczył tylko na mój wyraźny rozkaz. Czy to jasne?

- Jasne - potwierdził niechętnie.

- Dobrze. Dostanie pan ode mnie wiadomość, gdy będzie mi pan potrzebny.

- Potrafi pani widzieć przyszłość - zauważył Chłopiec, gdy wyprowadzała go z domu. - Czemu nie mówi mi pani już

teraz, kiedy będę potrzebny?

- Bo ja nie po to istnieję, by panu służyć, panie Cayman.

Wyszedł frontowymi drzwiami. Penelopa patrzyła za nim, a potem przeszła do sypialni i po chwili znów się ukazała, niosąc małą, szmacianą lalkę. Przytuliła ją z miłością do piersi, nie odrywając nieobecnego spojrzenia od czegoś w czasie i przestrzeni. Niekiedy robiła gest lub przyjmowała pozę, która miała pomóc pojawić się takiej właśnie przyszłości, jaką chciała powołać do istnienia.

**17**

Ruchomy chodnik niósł Silikonowego Chłopca coraz dalej od domu Prorokini, aż dowiózł do miejsca, gdzie w samochodzie czekał na niego Mboya. Wsiadł, starając się zapamiętać wszystko, co usłyszał. W chwilę później Mboya wiozł go do Menuetu. - A więc jak poszło?

- Pracuję dla niej.

Niewesoły uśmiech przeleciał przez twarz Mboi.

- Przypomnij mi, abym nigdy nie odwracał się do ciebie plecami.

- A to co ma znaczyć? - zapytał Chłopiec.

- Wiem, po co tu przybyłeś i kto cię przysłał - stwierdził Mboya. - Sprzedałeś go, Judaszu.

- Zamierzam dostać znacznie więcej, niż trzydzieści srebrników - rzekł Chłopiec. - A prócz tego on nie ma żadnych szans. Wiesz o tym.

- To nieistotne - upierał się Mboya. - Gdy ktoś się angażuje, powinien dotrzymywać warunków umowy.

- Dlaczego mieszasz się w moje sprawy? - zezłościł się Chłopiec.

- A co będzie, gdy uznasz, że Namaszczony jest silniejszy niż Prorokini? - powiedział Mboya. - Staniesz po jego stronie?

- Musiałby być kimś niebywale wyjątkowym, by okazać się kimś silniejszym niż ona.

- Może jest. Ma podobno ponad sto milionów wyznawców, którzy oddają mu prawie boską cześć.

- To tylko człowiek - stwierdził Chłopiec. - Ona jest kimś... no, więcej.

Przez kilka chwil Mboya prowadził wóz w milczeniu, mija-

jąc te same farmy, obok których przejeżdżali w drodze do domu Penelopy. Gdy dotarli do Menuetu, odezwa? się ponownie:

- Mam nadzieję, że będziesz musiał zmierzyć się z nim.

- Z Namaszczonym? - zapytał Chłopiec. Mboya potrząsnął głową.

- Z Lodziarzem.

- To stary grubas - oświadczył Chłopiec. - Mogę go załatwić.

- Mnóstwo ludzi sądziło, że może go załatwić - zauważył Mboya. - Ale on nadal tu jest. Nawet Prorokini nie zdołała go zabić.

- Nie będzie dla mnie żadnym problemem - rzekł Chłopiec. - Do diabła, on nadal myśli, że jestem po jego stronie.

Mboya uśmiechnął się.

- Chłopcze, on ani przez chwilę nie myślał, że jesteś po jego stronie.

- Skąd, u diabła, możesz wiedzieć, co on myśli? - zapytał Chłopiec. - Nigdy się z nim nie spotkałeś.

- Przeżył ponad siedemdziesiąt lat na Wewnętrznej Granicy - odparł uprzejmie Mboya. - Nie dożywa się takiego wieku, jeśli się jest głupcem.

- Chcesz powiedzieć, że to ja jestem głupi? - zapytał rozgorączkowany Chłopiec.

- Jeśli uważasz, że potrafisz oszukać Lodziarza czy załatwić go, to jesteś - stwierdził Mboya. - Nawet, gdyby nie znał ciebie, to znają. Wie, co ona potrafi zrobić, jak potrafi wpływać na ludzi i wydarzenia.

- Więc kto go zabije? Ty?

- Gdy nadejdzie właściwy czas - odrzekł Mboya.

- A cóż takiego czyni cię zdolniejszym do tego ode mnie?

- Nie lekceważę go - powiedział Mboya. - Nie popełnię

żadnych błędów z niedbalstwa czy głupoty.

- I myślisz, że ja tak zrobię?

- Jest taka możliwość - zgodził się z nim Mboya. - Wiesz, że dwa razy stawiał czoło Prorokini i wyszedł z tego żywy, zdolny o tym opowiedzieć, A ty uparcie mówisz o nim jako o starym tłuściochu, który nie stanowi dla ciebie żadnej groźby.

- Zgadza się.

- I nadał tego nie widzisz, prawda?

- Czego nie widzę? - zapytał poirytowany Chłopic.

- Sądzisz, że Lodziarz przeżył swe spotkania z Prorokinią, ponieważ był szybszy niż ty, prawda? Jakie znaczenie mają przymioty fizyczne, gdy ona wie, co uczynisz, wcześniej niż ty? Przeżył dzięki swemu rozumowi, nie dzięki temu, że miał dobry pistolet i szybki refleks. I w taki sam sposób pobije ciebie.

- Dosyć nasłuchałem się bzdur! - krzyknął Chłopic. - Potrafię załatwić jego i ciebie razem, nie biorąc nawet głębszego oddechu... I nie zapomnij o tym!

- I potrafisz załatwić także Tancerza Grobów? - zapytał Mboya.

- A co ty o nim wiesz?

- Prześwietliłem cię najdokładniej, Chłopcze. Wiem o wszystkich miejscach, w których znajdowałeś się od chwili opuszczenia Szarej Chmury, i w którym byłeś towarzystwie.

- Świetnie ci poszło - oświadczył ponuro Chłopic.

- Nawiasem mówiąc moje pytanie nie było retoryczne.

Czy potrafisz załatwić Tancerza Grobów?

- Dlaczego pytasz?

- Bo on obecnie pracuje dla Namaszzonego - odpowiedział Mboya. - To oznacza, że wcześniej czy później jeden z nas będzie musiał zetrzeć się z nim.

- Każdego potrafię załatwić - zapewnił beztrąsko Chłopic.



- Gdy tylko nauczysz się trafiać prosto do celu - stwierdził sarkastycznie Mboya.

- Każdego - powtórzył Chłopic.

- Nawet ludzi znających twój sekret?

- A to co, u diabła, ma znaczyć?

- Tylko tyle, że zarówno Lodziarz jak Tancerz Grobów wiedzą, że to, czym jesteś, zawdzięczasz owym wszczepionym czipom. Jeśli wiedzą, że zamierzasz im się przeciwstawić, czy nie uważasz, że znajdą jakiś sposób, by zakłócić ich działanie?

- Tego żadnym sposobem nie da się zrobić - odpowiedział Chłopic. - To są bioczipy. Ja jestem dla nich źródłem zasilania. Żadne możliwe do stworzenia pole nie zdoła spowodować, by przestały działać.

- Nie znam się na tym - rzekł Mboya.

- Ale ja tak.

- Być może... A tak się składa, że mniej więcej w tym samym momencie, gdy mówisz Człowiekowi, że nie może czegoś zrobić: zejść z drzewa, przepłynąć oceanu, latać statkiem kosmicznym czy wyłączyć bioczip, zwykle znajduje sposób, by to właśnie zrobić. Jako rasa odnieśliśmy wielkie sukcesy w łamaniu praw: złamaliśmy wszelkie prawa grawitacji, prawa Einsteina oraz...

- Oszczędź mi wykładu - powiedział Chłopic. - Te czipy będą funkcjonować do mojej śmierci.

- No cóż, życzę im długiego i szczęśliwego życia - powiedział Mboya, podwożąc Chłopca pod hotel.

Chłopic wysiadł z samochodu i odwrócił się twarzą do Mboi.

- Wiesz - odezwał się - nim zaczniesz się przejmować Lodziarzem czy Tancerzem Grobów, masz większy problem.

- O?

- Będziesz musiał stawić czoło mnie.
- Czemu? - zapytał Mboya.
- Ona nie może mieć dwóch strażników - stwierdził Chłopiec. - Zamierzam jej udowodnić, że jestem najlepszy. Istnieje tylko jeden sposób, by tego dokonać.
- Jeśli się absolutnie przy tym upierasz, możemy to załatwić tu i teraz - odrzekł Mboya bez cienia lęku czy zaskoczenia. Chłopiec potrząsnął głową.
- To ja wybiorę czas i miejsce.
- A czemu myślisz, że ci na to pozwolę? Chłopiec roześmiał się bezceremonialnie.
- Bo jesteś człowiekiem honoru.

Zawrócił na pięcie i wszedł do holu Manor House. Wziął taśmo-dziennik, zabrał go do pokoju, bez zainteresowania patrzył na przelatujące nagłówki wiadomości i wreszcie podszedł do lustra, w którym zobaczył swoją markotną minę.

Ubrany był sztywnie i krzykliwie, lecz wpadł na pomysł, że jego strój musi dawać więcej do zrozumienia, stać się jego znakiem rozpoznawczym. Prawda, że Lodziarz ubierał się jak najwygodniej, lecz Lomax zawsze nosił się na czarno, znane mu zaś hologramy Ojca Boże Narodzenie nieodmiennie pokazywały go w zmodyfikowanym czerwono-białym stroju Świętego Mikołaja, z parą pistoletów dźwiękowych przywieszonych na błyszczącym, czarnym pasie z lakierowanej skóry.

Ale jakie ubranie natychmiast zidentyfikuje go jako Silikonowego Chłopca? Koszula z wszytymi czipami? Potrząsnął głową. Coś z monogramem jego inicjałów, S.C.? Szybko odrzucił pomysł, jako tracący amatorszczyznę. Więc co?

Mógł po prostu ubierać się tak, jak dotychczas, ale co za sens być Silikonowym Chłopcem, jeśli ludzie tego nie zauważą? Lodziarz i Mboya są znani, lecz brak im stylu. Jeśli zaś on miał

stać się prawą ręką Prorokini - przynajmniej póki nie wykombinuje, jak się jej pozbyć - chciał, by ludzie rozpoznawali go w tej samej chwili, gdy wyląduje na jakiejś planecie, gdy wejdzie do miasta czy do pokoju.

Może jakiś typ broni, należący wyłącznie do niego? Przecież ze swymi wszczepami potrafi posłużyć się każdą tak szybko i tak sprawnie, że żaden z żyjących nie może mu dorównać, więc czemu ograniczać się do broni laserowej, dźwiękowej czy miotającej pociski?

Im dłużej nad tym rozmyślał, tym bardziej pomysł mu się podobał. Stworzy taką broń, jaką nie dysponuje nikt inny, taką, która na zawsze pozostanie jego marką fabryczną. A jeśli, we właściwym czasie, uda mu się z niej zabić Prorokinię, tym lepiej.

W podnieceniu podszedł do komputera i kazał połączyć się z maleńką biblioteką publiczną Menueta, uzyskując informacje o różnych typach obecnie używanych broni. Nie znalazł tam nic szczególnie przydatnego i już zastanawiał się nad wejściem do większej biblioteki na pobliskiej planecie, gdy ekran komputera opustoszał.

- Co się stało? - zapytał.

- Mam wiadomość nadchodzącą - odpowiedział mechanicznym głosem komputer.

- Dobrze, zobaczymy ją.

Pochodziła od młodej kobiety, która wskutek wypadku utraciła władzę w lewej ręce i pytała, czy Chłopiec potrafi zbudować czip, który przywróci jej poprzednią sprawność.

- Powiedz jej, że jeśli nastąpiło uszkodzenie nerwów, bardziej przyda jej się proteza ręki. Jeśli to coś innego, niech mi prześle kartę chorobową od swego doktora.

- Działam... - rzekł komputer.

- Chwileczkę! - powiedział nagle.

- Działanie zawieszono.

Już skontaktował się z Prorokinią, więc po co zawracać sobie głowę podtrzymywaniem swojej legendy?

- Powiedz jej tylko, że przykro mi, ale nie mogę jej pomóc.

- Działam... załatwione.

- Wyłącz się.

Komputer zamarł i w chwilę później ożył wideofon.

- Tak? - powiedział Chłopiec, przyjmując połączenie.

Nad aparatem uniósł się holograficzny obraz Penelopy Bailey.

- Widzę, że moje dwa psy łańcuchowe warczą na siebie - oświadczyła z odcieniem rozbawienia.

- Myślałem, że jest na tyle mężczyzną, że nie pobiegnie do pani po pomoc - powiedział pogardliwie Chłopiec.

- Jest przeze mnie zatrudniony, tak jak ty - odrzekła pogodnie. - Moi pracownicy nie mają przede mną tajemnic.

- Proszę go odesłać - zażądał Chłopiec.

- Dlaczego?

- Nie jest już potrzebny. Teraz ma pani mnie.

- Biedny, próżny człowieczku, miotający się w ciemności, marzący o triumfach i sławie - powiedziała Penelopa. - Jak możesz mieć jakiegokolwiek pojęcie o tym, czego ja potrzebuję?

- Nie wynajęła go pani z powodu jego prezencji - odpowiedział Chłopiec. - Wynajęła go pani, ponieważ jest Czarną Śmiercią. No więc ma pani teraz kogoś o wiele lepszego.

- W czym lepszego? - zapytała z uśmiechem. - Czy do prawdy myślisz, że jesteś mi potrzebny, aby dla mnie zabijać?

- Nie wydawało mi się, by się pani sprzeciwiła temu, gdy Mboya zrobił to zeszłego wieczoru - zauważył Chłopiec.

- Po prostu oszczędził mi kłopotu zlikwidowania trzech

niemiłych indywiduów. Fizycznie w ogóle mi nie zagrażali.

- Niechże pani da spokój - powiedział. - Jeśli nie potrzebuje pani zabójców, co ludzie tacy jak Mboya czyja robią na pani liście płac?

- Uruchomiono wielkie siły - odpowiedziała. - Siły daleko przekraczające twoją zdolność pojmwania. Każdy z was ma rolę do odegrania i każdy ją odegra.

- Jaką rolę?

- Dowiesz się o swym przeznaczeniu, gdy czas się wypełni.

- Ja mam jakieś przeznaczenie?

- Z całą pewnością - odrzekła. - Dlatego właśnie pozwalani ci żyć.

- Co zamierzała pani zrobić? Kazać Mboi zastrzelić mnie, gdy wychodziłem, gdyby postanowiła mnie pani nie zatrudnić?

- Nadał nie rozumiesz, z czym masz do czynienia, prawda? - odparła. - W milionie milionów wariantów przyszłości przetrwasz ten dzień, Neilu Caymanie. Ale jesteś młodzieńcem żyjącym w wielkim napięciu i w niektórych wariantach przyszłości, jakie przewiduję, umrzesz z powodu nagłego wylewu krwi do mózgu. A w jednej z nich masz znak nadchodzącej śmierci. Ta przyszłość nastąpi, gdy zrobię rzecz następującą... - mówiąc to podeszła do szklanej ściany, oparła na niej obie dłonie z szeroko rozstawionymi palcami i spojrzała na staw.

Chłopiec poczuł, jak głowę przesywa mu nagły ból. Wrzasnął bełkotliwie, a potem opadł na jedno kolano. Ból stał się jeszcze gorszy, intensywniejszy niż jakikolwiek mu znany, więc zwinął się w pozycji płodowej z pięściami przyciśniętymi do skroni.

A potem ból nagle ustąpił. Wstanie na nogi i odegnanie mgły z oczu zabrało mu całą minutę. Wtedy ujrzał obraz Penelopy, która uśmiechała się do niego kilka cali nad wideofonem.

- Czy zaczynasz pojmwować? - spytała pogodnie.
- Jak, u diabła, zrobiła to pani z odległości trzydziestu mil?
- wymamrotał.
- Widziałeś, co zrobiłam z Hadesem, i jeszcze dziwisz się moim zdolnościom? Być może Czarna Śmierć miał rację; może nie jesteś dość bystry, by stać się dla mnie kimś użytecznym.
- Powiedział to pani? - zapytał Chłopiec.
- Oczywiście - odparła. - On nie ma przede mną tajemnic.
- Wobec tego, jeśli jestem zbyt głupi, by pracować dla pani, może po prostu wrócę do Lodziarza! - warknął.
- Wydało mu się, że przez najkrótszy ułamek sekundy dostrzegł na jej twarzy ślad emocji; być może strach albo nienawiść, a może zwyczajną pogardę. Ale po chwili wrażenie znikło, ona zaś patrzyła wprost na niego.
- To nie byłoby zbyt mądre, Neilu Caymanie - powiedziała. - Nim opuściłbyś planetę, byłbyś martwy. Złożyłeś mi obietnicę wierności. Tylko ja mogę cię z niej zwolnić. - Uśmiechnęła się niewesoło. - A może wolałbyś wybrać następną demonstrację mojej potęgi?
- Nie - odrzekł. - Wygrała pani. - Na razie - dodał w myśli.
- Jesteś pełen animuszu, zupełnie jak młode zwierzę - powiedziała. - Nie mam ci tego za złe. Prawdę mówiąc uważam, że to zachwycające. Ale tak jak każde młode zwierzę trzeba cię wytresować. Twoim zapałem należy pokierować. Wtedy dopiero zasłużysz na swe utrzymanie.
- Nie jestem zwierzęciem - oświadczył Chłopiec.
- Wszyscy jesteście zwierzętami - powiedziała i przerwała połączenie.

Następne pięć dni Chłopiec spędził włócząc się po Manor House. Jadł, spał, oglądał holowizję, trochę pił, odrobinę zajmował się hazardem, bez powodzenia starając się uniknąć nudy. Przyjął kilka zamówień na budowę czipów tylko po to, by się tak strasznie nie nudzić.

Niecierpliwie oczekiwał wezwania od Penelopy Bailey i nie potrafił wykombinować, dlaczego wynajęła go tylko po to, by pozwolić mu gnić w małym hotelu na nędznej planecie. I wtedy, piątego wieczoru od spotkania z nią, przypadkiem zauważył wiadomość w dzienniku na holowizorze i zrozumiał, że Prorokini bynajmniej nie pozostawała bierna.

Zgodnie z wiadomością ponad osiemdziesiąt świątyń na około trzydziestu różnych planetach, wszystkie należące do wyznawców Mojżesza Mahometa Chrystusa znanego jako Namaszczony, spaliło się z nie znanych przyczyn, zginęło prawie dwieście tysięcy mężczyzn i kobiet, a obrażeń doznała dwukrotnie większa liczba ludzi. Podejrzewano tu jakąś nieczystą grę, to oczywiste, ale do tej chwili w żadnym z miejsc, gdzie wydarzyły się nieszczęścia, nie wykryto ani jednego podpalenia.

I dlaczego mieliby cokolwiek wykryć? - pomyślał z ponurym uśmiechem Chłopiec. - Chcesz, aby ta świątynia spaliła się do fundamentów? Potrzyмай ręce tak i tak, a wiatr poniesie płomień świecy w górę, do zasłon na oknach. Chcesz, by tamtą strawił pożar? Przesuń się o osiem stóp na prawo, a człowiek z zapalonym cygarem dozna ataku serca i w chwilę później zapali się dywan. Stań na jednej nodze i następną świątynię trafi błyskawica.

Była to potęga przekraczająca wszelkie wyobrażenie... A

jednak Penelopa potrzebowała go, potrzebowała Mboi, potrzebowała także innych, których nazwisk nie znał, a funkcji mógł się jedynie domyślać. Była wcieloną siłą, lecz nie wszechpotężną; mieszkańcy Hadesu trzymali ją uwięzioną przez prawie siedemnaście lat. Potrzebowała pomocy, jego pomocy, choć jeszcze nie potrafił sobie wyobrazić dlaczego. I można było ją pobić, a przynajmniej walczyć z nią aż do osiągnięcia remis. Udowodnił to Lodziarz, Chłopiec zaś we własnym mniemaniu był lepszy niż Lodziarz.

Następnego ranka obejrzał wiadomości. Spłonęło dwaście dalszych świątyń. Wybrał się na śniadanie. Odczekał, aż przejechało kilka ciężarówek i przeszedł przez ulicę do małej restauracji, gdzie jadał większość posiłków. Ku jego zaskoczeniu Mboya, który zwykle długo odsypiał noc spędzoną przy stołach gier w kasynie, siedział samotnie w niemal pustej sali, pijąc filiżankę kawy.

- Dzień dobry - powiedział na widok Chłopca.
- Dobry - odrzekł Chłopiec.
- Przysiądź się - zaproponował Mboya.

Chłopiec przez chwilę rozglądał się po restauracji, potem wzruszył ramionami i minął jakieś pół tuzina pustych stolików. Usiadł naprzeciw Mboi i zamówił kawę z bułką.

- Nie widziałem cię od paru dni - zauważył Mboya.
- Byłem tu - odparł Chłopiec. - Przede wszystkim pracowałem nad czipami.
- Po co ci to? Teraz pracujesz dla niej. Nie ma powodów, by zachowywać pozory.
- Przestaną to robić, gdy ona zdecyduje się dać mi coś do roboty - powiedział Chłopiec. - Wyjrzał przez okno. - Wyrosłem na planecie dokładnie takiej jak ta. Nie ma tu nic do roboty.
- Czy ostatnio ćwiczyłeś mistrzowskie strzelanie? - spytał



Mboya z szerokim uśmiechem.

- Nie potrzebuję. To tylko sprawa dostosowania się do wszczepów. Już się do nich przyzwyczałem.

- Zakładam więc, że nigdy więcej nie chybisz?

- Tak jest - odrzekł poważnie Chłopiec.

- Dobrze - powiedział Mboya. - Miło mi to słyszeć.

- I nie życzę sobie, by ktokolwiek szydził ze mnie tak wczesnie rano - dodał Chłopiec, nie próbując ukryć irytacji.

- Nie szydziłem z ciebie - odrzekł Mboya. - Mówiłem szczerze.

- O, z pewnością.

- Ależ tak - zapewnił Mboya. - Mam dość. To znaczy, że wcześniej czy później ona wyśle cię przeciw tego typu ludziom, jakich dla niej pacyfikowałem. Jeśli się jest marnym strzelcem, nie sprzyja to zachowaniu zdrowia.

- Odchodzisz? - spytał zdumiony Chłopiec. - Zgadza się.

- Czy nie jesteś zbyt młody, by iść na emeryturę?

- Nie odchodzę na emeryturę - wyjaśnił Mboya. - Po prostu nie będę dłużej dla niej pracował.

- Czemu? - spytał Chłopiec, gdy wreszcie podano mu kawę.

- Nie słuchasz holowizji i nie oglądasz taśmogazet? - zapytał Mboya. - Ona właśnie rozpoczęła nie wypowiedzianą wojnę z Namaszczonym.

Chłopiec zmarszczył brwi.

- Czy wiesz o nim coś, czego ja bym nie wiedział?

- Zapewne nie.

- Więc co to ma wspólnego z twoim odejściem?

- Posłuchaj - rzekł Mboya. - Jestem rewolwerowcem. Zabijam ludzi dla zarobku. Nie jestem z tego szczególnie dumny, ale nie wstydzę się też. Żyję zgodnie z pewną regułą: nigdy nie staję przeciw człowiekowi, który nie ma szans. A większość z tych,

których zabiłem, zasługiwała na to.

- I co?

- Czy nie rozumiesz? Ona potrafi zabić pół miliona ludzi nie wychodząc z domu. - Skrzywił się. - To już nie jest zabijanie, nie takie, jakim ja się zajmuję. To ludobójstwo, a ja nie chcę brać w tym udziału.

- Nie widzę różnicy między zabiciem trzech ludzi i trzech tysięcy - stwierdził Chłopic.- To wszystko wyznawcy Namaszczonego i wszyscy pragną jej śmierci.

Mboya westchnął.

- Trudno to wytłumaczyć.

- Spróbuj.

- Zgoda. Dla mnie zabijanie jest zawodem, który rządzi się pewnymi prawami. Stajesz tak blisko, by patrzeć przeciwnikowi w oczy, zawsze dajesz mu szansę wycofania się, rozmawiasz z nim, próbujesz zajrzeć mu w duszę i wykryć jego słabości, ryzykujesz własne życie, by je komuś odebrać. To sprawa bardzo osobista. Dla niej zaś to tylko kwestia wygody. Dziesięciu ludzi, dziesięć milionów ludzi to wszystko jedno... I żaden z nich nie miał najmniejszej szansy. Żaden nawet nie wiedział, co go zabiło.

Chłopic zastanowił się nad słowami Mboi, a potem potrząsnął głową.

- Ja tego nie rozumiem - oświadczył. - Ty zabijasz jej wrogów, ona zabija swoich wrogów. Jedyna różnica to ich liczba.

- Bo to jest zmaganie, a przynajmniej powinno tak być - rzekł Mboya. - Ja zmagam się z moim przeciwnikiem, to oczywiste, ale zmagam się też ze standardem doskonałości, który sam sobie wyznaczyłem. W gruncie rzeczy nie obchodzi mnie, czy osoba, dla której pracuję, ma rację w sporze, czy jej nie ma; to w ogóle mnie nie dotyczy. Liczy się tylko zasada i zmaganie. Ale

ona... ona przekroczyła wszelkie granice. Ja zmagam się sam ze sobą, ale ona czyni to z Bogiem, a może Naturą. Nikt inny nie może tak szafować ludzkim życiem. Ona mnie nie potrzebuje, a ja nie chcę mieć nic wspólnego z jej czynami.

- Ależ ona ciebie potrzebuje; inaczej nie płaciłaby ci - rzekł Chłopic.

Mboya pokręcił głową.

- Teraz ma ciebie i życzę jej szczęścia. Co do mnie, to odlatuję do Gromady Quinellus, gdzie nikt nigdy nie słyszał ani o Namaszczonym, ani o Prorokini.

- Wkrótce wszyscy o mnie usłyszą - rozległ się głos od wejścia. Obaj odwrócili się i ujrzeli stojącą tam i spoglądającą na nich Penelopę Bailey.

- Przypuszczałem, że się pokażesz - powiedział Mboya.

- A czego oczekiwałeś? - odparła Penelopa. - Podjąłeś wobec mnie zobowiązanie, a teraz zamierzasz je złamać.

- Musiałś wiedzieć, że tak zrobię, inaczej nie wynajęłabyś jego - powiedział Mboya, wskazując Chłopca ruchem głowy.

- Po co go wynajęłam to nie twoja sprawa - stwierdziła.

- To prawda - zgodził się Mboya, wzruszając ramionami. - Ja chcę tylko wypłatać się z tej sytuacji. - Spojrzał na Penelopę.

- Możesz zatrzymać wszystkie należne mi pieniądze.

Potrząsnęła głową.

- Nie potrzebuję pieniędzy - odrzekła. - Wynajęłam ciebie. Musisz jeszcze posłużyć mojemu celowi.

- Jeśli potrafisz widzieć przyszłość, to wiesz, że odchodzę i że nic nie może zmienić mego postanowienia - oświadczył Mboya. - Jeśli w tej chwili zmusisz mnie do pozostania, to po prostu po twoim odejściu złapię pierwszy odlatujący stąd statek.

- Nie, nie zrobisz tego - odparła Penelopa. - Nie odleczysz,

póki nie powiem, że możesz to zrobić.

- Ale dlaczego? Masz teraz Chłopca. Twierdzi, że jest szybszy ode mnie, i chyba mówi prawdę. Nie potrzebujesz mnie.

- Tylko ja wiem, czego potrzebuję - stwierdziła Penelopa.  
- Zobowiązałeś się służyć mi. Nie zwolnię cię z tego zobowiązania.

- Potrafisz zabijać całe planety, nawet nie wychodząc z domu - nalegał Mboya. - Czemu jestem ci potrzebny do zabijania twych nieprzyjaciół pojedynczo?

- Nie muszę ci nic wyjaśniać - powiedziała zimno Penelopa. - To ty przyszedłeś do mnie, szukając zatrudnienia. Ja ci je dałam. A teraz wypełnisz warunki naszej umowy.

- Zapewne manipulowałaś mną tak, bym przyszedł. Manipulujesz wszystkim dookoła - ciągnął Mboya. - Kiedy ktoś spotyka się z tobą, pojęcie wolnej woli traci znaczenie.

- A co pani tu robi? - zapytał Chłopiec, który przysłuchiwał im się z napięciem.

- Jestem tu po to, by powstrzymać Czarną Śmierć przed zdradzeniem mnie - odpowiedziała Penelopa.

- Jeśli potrafisz widzieć przyszłość to wiesz, że nie mam zamiaru cię zdradzać - oświadczył Mboya, starając się mówić spokojnie i rozsądnie. - Chcę się tylko stąd wydostać.

Penelopa patrzyła mu w oczy nieruchomym wzrokiem.

- Nie pozwolę na to - odrzekła.

- Ale dlaczego? - nalegał.

- Powiedziałam ci: jeszcze nie wypełniłeś swojej misji.

- A jaką, u diabła, mam misję do spełnienia?

- Służyć mi wiernie i bez sprzeciwu. - Jak długo?

- Dopóki będziesz mi potrzebny - odpowiedziała Penelopa. - Jak długo to potrwa?

Wzruszyła wymownie ramionami.

- Dzień, tydzień, miesiąc, rok, całe życie... a może tylko

jedną chwilę.

- Jak się tego dowiem?

- Powiem ci to w stosownej chwili.

Mboya patrzył na nią długo twardym wzrokiem, aż wreszcie skinął głową.

- Zgoda - powiedział. - Ale lepiej niech będzie to jeden dzień niż całe życie.

- Czy teraz zamierzasz wydawać mi rozkazy? - spytała, nie próbując ukryć rozbawienia.

- Nie - stwierdził.

- To była cholernie szybka zmiana poglądów - zauważył zgryźliwie Chłopic.

- Ona jest Prorokinią - odpowiedział Mboya. - Jeśli nie potrafię jej przekonać, by mnie puściła, co jeszcze mógłbym zrobić?

- Cieszę się, że dostrzegłeś błąd w swoim postępowaniu - stwierdziła Penelopa. - Teraz chcę, abyście obaj poszli ze mną. Mamy coś do zrobienia.

Mboya i Chłopic wstali z miejsc, zostawili pieniądze na stole i podążyli za nią. Słońce stało już wyżej na niebie, ranna rosa wyparowała, powietrze nagrzewało się. Przed różnymi składami paszy i towarów mieszanych stało kilka pojazdów, ale w ogóle nie było pieszych.

Penelopa skręciła w lewo i podążyła na południe, Chłopic i Mboya szli za nią. Gdy przeszli pół kwartału, Penelopa zatrzymała się nagle.

- O co chodzi? - zapytał Chłopic.

Penelopa zwróciła się do niego, lecz jej oczy spoglądały daleko w przyszłość.

- Restauracja była niewłaściwym miejscem - powiedziała.

- Tu, na ulicy, możemy rozwiązać nasze konflikty.

- Nie rozumiem. Pokazała palcem Mboyę.

- Ten człowiek próbował mnie zdradzić. Nadal żywi nadzieję, że opuści planetę, gdy tylko wrócę do mego domu. Takie nieposłuszeństwo nie może być tolerowane.

Chłopiec nagle poczuł lufę pistoletu wbity w żebra.

- Przykro mi, Chłopcze - powiedział Mboya - ale żądam twego pistoletu.

Chłopiec przez chwilę stał nieruchomo.

- Daj mu go - zarządziła Penelopa.

- Nikomu nie oddaję broni - oświadczył Chłopiec.

- Zabije cię, jeśli go nie usłuchasz - rzekła Penelopa. - A wtedy jaki będę miała z ciebie pożytek? Daj mu go.

Chłopiec ociągał się jeszcze przez chwilę, aż wreszcie bardzo ostrożnie wydobyl swój laserowy pistolet i wręczył go Mboi.

- Dzięki, że nie byłeś głupi - powiedział Mboya wsadzając pistolet za pas. Popatrzył na Penelopę. - Myślałem, że mamy umowę.

- Nie zamierzałeś jej dotrzymać - stwierdziła.

- I co teraz? - zapytał Mboya. - Umieram na udar mózgu czy atak serca? Czy też spowodujesz, że meteor spadnie mi na głowę? Wiem, że nie mogę cię dotknąć, ale bez względu na to, co nastąpi, zamierzam zabrać go ze sobą.

- Nie zrobię nic, by ci przeszkodzić - odpowiedziała Penelopa. Posłała mu uśmiech, który przeraził go o wiele bardziej, niż myśl o czekających go różnych losach.

- Tak po prostu pozwolisz mi pójść do kosmoportu i odlecieć stąd statkiem? - zapytał z powątpiewaniem Mboya.

- Nie dotrzesz żywy do kosmoportu.

- Zdawało mi się, że przed chwilą powiedziałaś, iż mnie nie zabijesz.

- Nie zabiję - potwierdziła Penelopa. Spojrzała na Chłop-

ca. - On to zrobi.

- O czym ty, u diabła, mówisz? - wychrypiął Chłopiec. - On ciśnie mi żebra pistoletem, a ty kazałaś mi, abym oddał mu swoją broń.

- Jestem Prorokinią - odparła pogodnie. - Czy nie przyrzekłeś słuchać mnie ślepo? - Tak, ale...

- Więc zabij go.

Przez chwilę Chłopiec wpatrywał się w jej twarz bez wyrazu. A potem obrócił się na pięcie i spróbował wytrącić pistolet z dłoni Mboi.

Mboya oczekiwał tego i dał krok do tyłu. Chłopiec chybił i rozciągnął się na ulicy jak długi.

- Wstań - powiedziała Penelopa.

Chłopiec ostrożnie wyprostował się, nie odrywając oczu od lufy wymierzonego w siebie pistoletu.

- Chłopcze, nie zmuszaj mnie do tego - ostrzegł Mboya, spoglądając to na Chłopca, to na Penelopę.

- Teraz zaatakuj - powiedziała Penelopa.

- Zwariowałaś! - warknął Chłopiec. - Jeden krok w jego stronę i jestem trupem!

- Wolisz stawić czoło jemu... czy mnie? - spytała Penelopa. Chłopiec zastanowił się nad jej pytaniem, a potem skoczył na Mboyę z rykiem zwierzęcej wściekłości, nie wątpiąc, że będzie martwy, nim go dotknie.

Mboya nacisnął spust i jego pistolet dźwiękowy kaszlnął raz i zamilkł. W następnym momencie dosięgnął go Chłopiec i dwaj mężczyźni potoczyli się po ulicy drapiąc, dusząc, kopiąc, okładając się pięściami.

Chłopiec próbował wyciągnąć swój nóż z buta, ale Mboya wytrącił mu go z ręki. Nóż odleciał na blisko dwadzieścia stóp. A po chwili obaj byli już na nogach, a Chłopiec zrozumiał, że próbuje się zmierzyć z przewyższającym go umiejętnościami

zapaśnikiem, znającym wszelkie sztuki walki.

Chłopiec wymierzył Mboi sierpowy, Murzyn jednak zrobił unik, potem wymierzył mu dwa szybkie ciosy w żebra i kopnięcie z obrotu w szczękę, które rozciągnęło go na ziemi.

Chłopiec wstał natychmiast i tym razem przypomniał sobie o wszczepach. Już więc nie próbował przytłoczyć swego cięższego przeciwnika, lecz skupił się na blokowaniu ciosów i kopnięć, odpowiadając błyskawicznymi uderzeniami. Trzykrotnie przełamał gardę Mboi, ale zrozumiał też, że nie wyrządza mu większej szkody, że sama szybkość nie przyniesie mu zwycięstwa. Zaczął wycofywać się w stronę noża i w chwilę później pozwolił, by Mboya dosięgnął go potężnym kopnięciem w klatkę piersiową, które odrzuciło go w głąb ulicy.

Gdy wstawał tym razem, miał w ręce nóż. Mboya zauważył to i przyjął postawę defensywną. Ale pomimo swych umiejętności nie potrafił wyhamować szybkości, z jaką Chłopiec posługiwał się bronią. W kilka sekund Chłopiec ciął go dwukrotnie po żebrach i raz z boku szyi. Mboya odruchowo chwycił się za ranę na szyi odstawiając korpus, a Chłopiec wbił mu nóż głęboko w brzuch. Mboya padł na ziemię przyciskając obie dłonie do nowej rany i jęcząc.

- Dokończ robotę - powiedziała Penelopa, gdy Chłopiec odstał od powalonego.

- Po co się trudzić? - odrzekł Chłopiec. - Nie sprawi ci żadnego kłopotu przez długi, długi czas.

- Powiedziałam: dokończ robotę - powtórzyła Penelopa. Chłopiec spojrział na Mboyę, a potem podniósł wzrok na Penelopę.

- Dlaczego?

- Bo ja ci to powiedziałam i nie potrzeba żadnego innego powodu.



- Myślałem, że zachowujesz go dla jakiegoś celu.

- Zrobił już wszystko, co do niego należało - rzekła Penelopa, wpatrując się w przestrzeń. - Dokończ robotę.

Chłopiec patrzył na nią jeszcze przez moment, a potem przyklęknął obok Mboi, wolną ręką chwycił go za włosy i przetrzął mu gardło. Mboya zacharzał i umarł.

- Zadowolona? - spytał prostując się Chłopiec.

- Tak - powiedziała Penelopa. - Jestem zadowolona.

- O co w tym wszystkim chodziło? - zapytał, rozglądając się po ulicy w oczekiwaniu, że zaraz nadjedzie policja. - Czemu sama go nie zabiłaś?

- Bo to była niezbędna część twojej edukacji - oświadczyła Penelopa.

- Wiele się tu nie nauczyłem - odparł kwaśno Chłopiec.

- Nauczyłeś się lekcji najważniejszej ze wszystkich - powiedziała Penelopa. - Nauczyłeś się, że gdy ci mówię, abyś coś zrobił, musi to być zrobione nawet w obliczu nieuchronnej śmierci. Nauczyłeś się też, że gdy mówię, abyś skończył robotę, nie śmiesz mi się sprzeciwiać. - Uśmiechnęła się do niego, patrząc mu prosto w oczy. - Wkrótce będziesz mi posłuszny bez wahania, nie zastanawiając się nad tym. Wkrótce będziesz godny zadań, które ci wyznaczę i nagród, które otrzymasz. Robisz bardzo szybkie postępy, Neilu Caymanie.

- Mówiłem ci przedtem: nie nazywam się tak.

- Wiem - odpowiedziała - i więcej nie użyję tego imienia.

Wykazałeś swą wartość i zasłużyłeś na nowe imię.

- Dobrze - powiedział. - Cieszę się, że jesteśmy zgodni w tej sprawie.

- Owszem - odpowiedziała Penelopa, omijając ciało Mboi i kierując się do swego samochodu. - Idź za mną, Fido.

Chłopiec już chciał zaprotestować, ale przypomniał sobie

ból, który mu zesłała na początku tygodnia, westchnął więc i podążył za nią.

Penelopa kazała rozsunąć się frontowym drzwiom w swoim domu, po czym zaprosiła Chłopca do środka i poprowadziła przez hol do dużego pokoju, z widokiem na staw.

Chłopiec rozejrzył się i zauważył szmacianą lalkę, leżącą na kanapie.

- Czyje to jest? - zapytał, pokazując zabawkę palcem.

- Moje - odpowiedziała bez cienia skrępowania. Podniosła ją i przytuliła do piersi.

- Czy nie jesteś trochę za stara na lalki?

- Kiedyś miałam kociaka - odparła, zaciskając dłoń na lalce, jakby w obawie, że ktoś wejdzie do pokoju, by ją odebrać. - Nie chciał do mnie podejść, a za każdym razem, gdy wyciągałam do niego rękę, syczał i pluł na mnie.

- Być może był to po prostu strachliwy kociak. Potrząsnęła głową.

- Trzy miesiące temu kupiłam szczeniaka. Podbiegał do każdego obcego machając ogonem... ale za nic nie chciał zostać w tym samym pokoju co ja.

- Szmaciana lalka jest słabym substytutem - zauważył Chłopiec.

- Być może - przyznała. - Ale nigdy ode mnie nie uciekała, nigdy nie próbowała mnie zdradzić, a to o wiele więcej, niż mogę powiedzieć o wszystkich ludziach, jakich znałam.

- Wszystkich ludziach? Przerwała z tęsknym wyrazem twarzy.

- Był ktoś taki, bardzo dawno temu; kobieta, która mnie karmiła i broniła. Bardzo ją kochałam... Ale i ona w końcu zwróciła się przeciw mnie. - Stanęła twarzą do Chłopca. -

Znacznie trudniej, niż myślisz, jest być Prorokinią, wiedzieć, że każdy członek rasy, która cię zrodziła, nienawidzi cię i boi się ciebie.

- Nie bez powodu - zauważył Chłopic. - Zeszłej nocy do-prawdy brutalnie ich potraktowałaś.

- Tylko dlatego, że Namaszczony postanowił, że muszę umrzeć.

- Uśmiechnęła się gorzko. - Namaszczony, którego nigdy nie spotkałam, nigdy nie rzuciłam mu wyzwania, nigdy się nie przeciwstawiłam. Był już przygotowany do ataku na Demokrację, ale skądś dowiedział się o mojej mocy i zdecydował, że wyda wojnę mnie, a nie Marynarce Kosmicznej. Lodziarz, który wie, że nie może mi w niczym przeszkodzić, wynajmuje cię, byś mnie szpiegował. Czarna Śmierć, który wiedział, co spotyka nie-lojalnych wobec mnie, wolał raczej umrzeć, niż pozostać, by pracować dla mnie. - Westchnęła. - Zawsze wiedziałam, że tak zrobi.

- Jeśli wiedziałaś, że będzie nielojalny, czemu nie pozbyłaś się go wcześniej?

- Jak już ci powiedziałam, miał do wykonania zadanie.

- Umrzeć tutaj?

- Dać ci sposobność udowodnienia swej lojalności wobec mnie

- odrzekła. - Niezbędne było postawienie cię w sytuacji, w której niewątpliwie umarłbyś, gdybyś nie zaufał mej mocy i nie ugiął się przed moją władzą.

- Czemu? - nie ustępował Chłopic. - Przecież już miałaś Mboyę.

Potrząsnęła głową.

- On musiał mnie porzucić.

- Skąd wiesz, że ja tego nie zrobię?

- Ponieważ jesteś na tyle samolubny, chciwy i amoralny, że zdałeś sobie sprawę, iż absolutna wierność wobec mnie leży w twoim najlepiej pojętym interesie - odrzekła.

- Nie jestem pewien, czy szczególnie podoba mi się taka ocena mojej osoby - zauważył Chłopiec.

- To nieistotne, czy ci się podoba - odpowiedziała Penelopa. - Ważne, że jest prawdziwa. Na Wewnętrznej Granicy miałeś tylko dwóch przyjaciół: Felixa Lomaxa i Carlosa Mendozę. A jednak siedzisz tutaj, pracujesz dla mnie i gotów jesteś obu zdradzić.

- Co wiesz o Tancerzu Grobów? - zapytał zdziwiony Chłopiec.

- Czy sądzisz, że nie mam szpiegów oraz informatorów albo też, że potrafisz utrzymać jakikolwiek sekret przede mną? - zapytała z uśmiechem rozbawienia. - Nie próbuj zmieniać tematu, Fido. Porzucasz ich czy nie?

- Nazywam się Silikonowy Chłopiec.

- Nazywasz się tak, jak ja zechcę - odpowiedziała Penelopa. - To dotyczy też twego przeznaczenia.

- Gdy już mowa o przeznaczeniach, to istnieje mnóstwo ludzi, gotowych zapłacić niewyobrażalnie dużo, by się dowiedzieć, jakie jest twoje przeznaczenie.

Spojrzała na staw.

- Wiem, jakie powinno być, ale nadal widzę zbyt wiele zmiennych, zbyt wiele nieuchwytnych czynników w tym równaniu. - Odwróciła się patrząc na niego. - Dlatego właśnie jesteś tutaj.

- Czego ode mnie oczekujesz? - zapytał Chłopiec.

- Mam dla ciebie wiele zadań - stwierdziła Penelopa. - Jeśli wywiążesz się z nich pomyślnie, otrzymasz szczodre wynagrodzenie. Jeśli poniesiesz porażkę, umrzesz.

Na Chłopcu nie zrobiło to wrażenia.

- Przecież to głupie - oświadczył. - Czemu nie odczytasz po prostu przyszłości i nie powiesz mi, co mam robić, by odnieść sukces?

Potrząsnęła głową i znów zwróciła wzrok na staw.

- To by zakładało, że istnieje tylko jeden wariant przyszłości - odpowiedziała. - A jak już ci wyjaśniłam, jest ich znacznie więcej niż ziaren piasku na brzegu morza. Jeszcze nie wszystkie z nich dostrzegam z równą jasnością.

Chłopiec usiadł na kanapie i rozłożył ramiona na oparciu.

- Zgoda - powiedział. - Więc co chcesz, abym teraz zrobił? Odwróciła się do niego, ale miał nieodparte wrażenie, że spogląda obok czy poprzez niego, w przyszłość.

- Zabijesz Mojżesza Mahometa Chrystusa, który nazwał się Namaszczonym.

- Ot tak, po prostu? - spytał z uśmiechem Chłopiec. - On zapewne jest lepiej chroniony, niż Sekretarz Demokracji... I z pewnością piekielnie dobrze się ukrył.

- Wiem, gdzie on jest.

- Ilu ma ochroniarzy? Wzruszyła ramionami.

- To nie jest ważne - powiedziała. - Jego ochroniarze, z jednym wyjątkiem, nie będą dla ciebie żadną przeszkodą.

- A kim jest ten jedyny, który sprawi mi kłopot?

- Felix Lomax.

- Tancerz Grobów? - powtórzył Chłopiec. - Jakąż on może być przeszkodą? Do diabła, on nadal uważa, że pracuję dla niego i dla Lodziarza.

- Będzie wiedział.

- Nie, jeśli mu nie powiesz - odparł z pewnością siebie Chłopiec. - A może chcesz powiedzieć, że on do tego jest telepatą?

- Ani on, ani ja nie jesteśmy telepatami - odpowiedziała Penelopa. - Ale z drugiej strony żadne z nas nie jest głupie. Gdy cię tam zobaczy, wydedukuje, po co przyjechałeś.

Chłopiec zastanowił się nad jej słowami, a potem wzruszył ramionami.

- No to go zabiję.

- Nie będzie tak łatwo go zabić, jak sobie wyobrażasz - powiedziała.

- Zabiłem Mboyę, prawda?

- Byłam tam, by ci pomóc.

- Nie kiwnęłaś palcem - oburzył się. - Sam go zabiłem.

- Nie kiwnęłam palcem? - Powtórzyła z uśmiechem. - A jak sądzisz, dlaczego jego pistolet nie wypalił?

- No więc potem - odrzekł zakłopotany Chłopiec.

- Doprawdy w to wierzysz? - Westchnęła. - Jesteś głupcem, Fido. „- Mówiłem ci, byś mnie tak nie nazywała - warknęła.

Rozbawiło ją to.

- Chcesz mnie przestraszyć? A może myślisz, że mnie można tak łatwo zabić jak Czarną Śmierć?

Rzucił jej ponure spojrzenie, ale się nie odezwał.

- Podziwiam pokaz charakteru u młodego zwierzęcia, nawet u młodego człowieka - kontynuowała. - Ale jeśli zamierzasz swój zły humor skierować przeciw mnie, będę musiała cię ukarać. Poza tą planetą są ludzie, wielu ludzi, których należy zabić. Musisz nauczyć się właściwie lokować swą wściekłość. Musisz się też nauczyć, że aby stawić czoło przeciwnikowi takiemu, jak Felix Lomax, nie wystarczy być młodym, silnym i szybkim.

- Dajże spokój - powiedział obojętnie. - Jeśli wpakuję się w jakieś kłopoty, zrobisz tylko to, co zrobiłaś z Mboyą, i to wystarczy. Czemu starasz się ukazać tę rzecz jako niebezpieczniej-

szą czy trudniejszą niż w rzeczywistości?

- Znajdziesz się o setki, może tysiące lat świetlnych ode mnie - stwierdziła. - Nie potrafię tak dokładnie sterować wydarzeniami na tak wielką odległość.

- Potrafię zrobić to bez ciebie - rzekł w zadufaniu.

- Gdyby zadanie było niewykonalne, nie posyłałabym cię - powiedziała. - Nienawidzę marnotrawstwa.

- A więc?

- Wiem, że możesz zabić Namaszczonego. Nie wiem, czy to zrobisz.

- Dzięki za zaufanie - odparł zgryźliwie.

- Istnieje wiele możliwych przyszłości, w których go zabijasz, a w niektórych zabijasz także Felixa Lomaxa. Ale jest prawie taka sama liczba wariantów przyszłości, w których leżysz martwy u stóp Lomaxa.

- Żadna z nich się nie urzeczywistni.

- Mam nadzieję, że nie, ale nie wiem na pewno.

- Ja wiem - oświadczył Chłopiec. Przerwał. - Gdy tylko załatwię Tancerza Grobów oraz Namaszczonego, być może wezmę Lodziarza na muszkę.

Potrząsnęła głową.

- Jest to jedyny człowiek, którego kiedykolwiek się bałam. Nie możesz go zabić.

- Jest to starzec, który wysyła innych ludzi, by walczyli za niego.

- Nie będziesz stawał przeciw niemu teraz ani nigdy - stwierdziła.

- Przecież mogę go załatwić.

- Był odpowiedzialny za śmierć jedynej w życiu osoby, która mnie obchodziła - wyszeptała tak cicho, że Chłopiec z trudem rozróżniał słowa. - Jest człowiekiem, który przekonał



Demokrację, by jej agenci próbowali mnie zabić. - Pogrążyła się we wspomnieniach. - To z jego powodu pozostałam uwięziona na Hadesie, gdy tak ułożyłam wypadki, by umożliwiły mi ucieczkę. Kiedykolwiek zmuszano mnie, bym cierpiała, a wierz mi, wycierpiałam wiele, on był tego przyczyną.

- Tym więcej mam powodów, by go zabić.

Po raz pierwszy od chwili gdy ją poznał, z twarzy Penelopy opadła maska obojętności. Odwróciła się od okna ku Chłopcowi, a jej oczy zabłyły przerażającą nienawiścią.

- On jest mój! - wyszeptła.

W sześć godzin później Chłopiec odleciał z Mozarta. Gdy jego statek opuszczał orbitę, Chłopca nadal przeszywał dreszcz na myśl o furii, jaką usłyszał w głosie Penelopy, i poczuł wielką ulgę, że musi zaledwie stawić czoło najlepszemu zabójcy oraz najpotężniejszemu fanatykowi w Galaktyce. Nie zazdrościł Lo-dziarzowi.

Penelopa Bailey tymczasem tuliła swą lalkę do piersi i zastanawiała się, jak wyglądałoby jej życie, gdyby była zwykłą kobietą. A potem zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy od lat płacze. Otarła łzy z policzków, porzuciła wszystkie myśli o tym, co mogłoby się wówczas zdarzyć, i powróciła do układania różnych wariantów przyszłości, które przed nią stały.

# **CZĘŚĆ 4**

## **KSIĘGA NAMASZCZONEGO**

Felix Lomax wzdrygnął się i obudził, gdy statek sygnalizował mu, że nadeszła do niego wiadomość. Wyprostował się na siedzeniu, przez chwilę mrugał pośpiesznie, a potem polecił ekranowi włączyć się. Natychmiast pojawił się hologram Milo Korbekiana, z górą Olympus dobrze widoczną przez okno za jego biurkiem.

- Dzień dobry, Tancerzu Grobów - pozdrowił go tamten. - Wytropienie cię zabrało mi nieco czasu.

Lomax wzruszył ramionami.

- Łodziarz ciągle jest w ruchu. Rozminąłem się z nim na Słodkowodnej i ponownie na Konfucjuszu IV. Nie bardzo się kryje. Dogonię go wcześniej czy później.

- Wcześniej - powiedział Korbekian. - Właśnie dostałem wiadomość, że w końcu powrócił na Ostatnią Szansę.

- Jesteś pewien?

- Mój informator twierdzi, że go widział.

- Zauważam, że twój informator nie czuł się w obowiązku zapolować na niego - zauważył złośliwie Lomax.

- Namaszczony tobie dał zlecenie. Nikt inny w naszej organizacji nie będzie próbował go zabić, chyba że ty zavalisz sprawę.

- Nie zawalę - zapewnił Lomax. - Więc trzymaj w pogotowiu drugą część pieniędzy, by przelać na mój rachunek, gdy dam ci znać.

- Mamy umowę. Nie wypieram się jej.

- Lepiej, żeby tak było.

Lomax przerwał połączenie i polecił swemu komputerowi nawigacyjnemu obliczyć kurs na Ostatnią Szansę, daleko na

Wewnętrznej Granicy. Następnie rozpiął pasy fotela, precyzyjnie się do toalety, ogolił się, wziął szybki suchy prysznic i wyszedł stamtąd nieco odświeżony. W kambuzie wybrał parę zmuto- wanych owoców, polecił komputerowi zaparzyć kubek kawy i usiadł, by spożyć bezłupinowe pomarańcze i słodkie cytryny.

Od chwili spotkania z Namaszczonym spędził dwa nudne tygodnie. Nie miał zamiaru spotykać się z Lodziarzem w miejscu, w którym ktoś lojalny wobec jego nowego pracodawcy miałby okazję go zauważyć. Dlatego z rozmysłem podążał mylnymi tropami i lądował na Słodkowodnej i na Konfucjuszu dopiero wówczas, kiedy się upewnił, że Lodziarz już odleciał. Nie ośmielił się skomunikować z nim przez radio podprze- strzenne, by przekazać czego się dowiedział, ponieważ nie mógł mieć pewności, czy ludzie obsługujący różne stacje nadawcze nie są w zмовie z Namaszczonym. Dlatego po prostu zwlekał, czekając aż Lodziarz powróci na własną planetę.

Dzięki swojej taktyce dowiedział się jeszcze więcej o za- sięgu imperium Namaszczonego. Dość, by wywnioskować, że Mojżesz Mahomet Chrystus rzeczywiście stanowi poważne za- grożenie dla wszystkich planet na skraju Demokracji, a praw- dopodobnie również dla całej Wewnętrznej Granicy. Być może spoiwem jego legionów była religia, którą wymyślił, sam jednak bynajmniej nie sprawiał wrażenia zwykłego fanatyka. Jego or- ganizacja miała strukturę na wzór wojskowej i funkcjonowała jak precyzyjny zegarek. Każdy człowiek znał swoją pozycję, wiedział komu podlega, wiedział, czego się od niego oczekuje. Finansowanie organizacji było wysoce wyrafinowane: Namasz- czony transferował podstawową część swego kapitału po liczą- cym cztery planety kręgu w czasie jednego standardowego dnia galaktycznego, podejmując procenty w każdym banku podczas jego godzin urzędowych, nim przelał kapitał do następnego.

Jego ludzie działali niezwykle sprawnie, choć niekiedy zdarzały się nieoczekiwane wypadki. Na przykład, kiedy miały miejsce owe podpalenia ich kościołów, czy co tam było, następnego dnia Namaszczony otrzymał wykaz wszystkich zniszczonych budynków, wszystkich utraconych członków swej organizacji, wszystkie raporty policyjne dotyczące tego, co mogło się wydarzyć i kto mógłby być za to odpowiedzialny. Rozdzielono pieniądze, uruchomiono plany zastępcze i organizacja prawie nie wypadła z rytmu.

Co do samego Namaszczonego Lomax miał wrażenie, że gdyby ten był choć odrobinę bardziej cyniczny czy nieufny, miałby temperament rewolwerowca doskonałego. Widział się z nim już dwukrotnie i nadal nie potrafił ocenić, czy ma do czynienia z fanatykiem religijnym, mistrzowskim politykiem, taktikiem najwyższej klasy, czy też połączeniem wszystkich trzech.

Lomax skończył posiłek, wziął kawę i wrócił do kokpitu. Była to zapewne najmniej wygodna część statku, ale podczas lotu zazwyczaj tam przesiadywał. Nie dlatego, by nie potrafił sterować statkiem, a nawet jego uzbrojeniem, leżąc na koi, czy że nie mógł polecić komputerowi wyświetlić hologramu gdziekolwiek wewnątrz statku... Po prostu miał zwyczaj czytania, drzemania i picia w fotelu pilota.

Tak więc leniuchował, spał i myślał, a w dwa dni później komputer oznajmił, że dotarli do celu i wchodzą na orbitę wokół Ostatniej Szansy. Poprosił o zezwolenie na lądowanie, otrzymał potrzebne koordynaty i w dwadzieścia minut później wylądował.

Zakurzoną drogę długości mili - od kosmoportu do Końca Trasy - przeszedł pieszo. W lokalu rozejrzał się w poszukiwaniu Lodziarza. Tamten siedział samotnie przy stoliku blisko wejścia, z szklanką koktajlu w dłoni.

Lomax podszedł do niego trzymając ręce na widoku na wypadek, gdyby Lodziarz nie otrzymał jego wiadomości, albo też, co prawdopodobniejsze, nie uwierzył w nią.

- Dobry wieczór, Tancerzu Grobów - pozdrowił go z uśmiechem Lodziarz.

- Dobry wieczór - odrzekł Lomax. - Czy mogę usiąść?

- Oczywiście. Napijesz się czegoś zimnego?

- Z przyjemnością piwa.

Lodziarz dał znak jednemu z barmanów, który natychmiast przyniósł dużą szklankę piwa.

- Dzięki - powiedział Lomax i wypił wielki łyk. - Wiesz, kiedyś powinieneś zastanowić się nad wybrukowaniem twoich ulic.

- Wtedy wszyscy moi klienci nie przychodziliby tu z morderczym pragnieniem - zachichotał Lodziarz. - Nie bądź głupi. - Jego uśmiech zniknął. - I nie opuszczaj rąk poniżej blatu stołu, póki nie skończymy rozmowy.

- Czy Chłopiec nie skontaktował się z tobą?

- Owszem.

- Więc otrzymałeś moją wiadomość.

- Otrzymałem - powiedział Lodziarz. - Tylko się zastanawiam, czy mam w nią wierzyć.

- Więc czy wierzysz?

- Zapewne. Mimo wszystko porozmawiajmy,

- Zgoda - odparł Lomax. - Gdzie jest Chłopiec? Czy odeśłałeś go?

- Nie całkiem - rzekł Lodziarz. - Wykonuje moje małe zlecenie. - Wyjaśnił. - Opowiedz mi o Namaszczonym. Kto to jest i dlaczego chce mojej śmierci?

- To fanatyk religijny - powiedział Lomax. - Jego organizacja działa na ponad trzech tysiącach planet i liczy kilkaset milionów wściekłych zelotów, którzy wierzą, że ma bezpośrednią

linię telefoniczną do Boga. Gotowi są powstać przeciw Demokracji, jeśli taki dostaną rozkaz.

- Co to ma wspólnego ze mną?

- W trakcie swych działań znalazł czy stworzył sobie wroga, który według niego jest potężniejszy niż Demokracja, a przynajmniej groźniejszy. To kobieta znana jako Prorokini. Jakaś bandytka czy zabójczyni, mieszkająca gdzieś tutaj na Granicy; z pewnością już się jej przeciwstawiłeś. A co ważniejsze, przeżyłeś to starcie. Na tej podstawie on uważa, że jesteś z nią obecnie sprzymierzony.

- Logiczny wniosek - orzekł Lodziarz. - Błądny, ale logiczny. W porządku, możesz już opuścić ręce.

- Logiczny? - powtórzył marszcząc brwi Lomax. - Czy chcesz przez to powiedzieć, że ta kobieta jest tak potężna, iż jeśli przeżyłeś, to nie dzięki twoim zdolnościom?

- Poniekąd - stwierdził Lodziarz.

- Czemu więc otacza się taką tajemnicą? - zapytał Lomax. - Do diabła, myślę, że przez ostatnie cztery czy pięć lat zaledwie ze trzy razy słyszałem, jak wymieniano imię Prorokini.

- Słyszałeś o niej wcześniej - odpowiedział Lodziarz z lekkim uśmiechem. - Dawniej miała inne imiona.

- Na przykład jakie?

- Wróżbiarka oraz Wyrocznia.

- Chcesz powiedzieć, że Wyrocznia i Prorokini to ta sama osoba?

- Zgadza się.

- W jakim stopniu ci zagraża?

- Zapewne w nie większym niż tobie - odpowiedział Lodziarz. - Co nie oznacza, że nie jestem w niebezpieczeństwie. Wszyscy jesteśmy.

- Niezupełnie rozumiem.

- Chcę przez to powiedzieć, że wątpię, iżby ona obrąta sobie mnie za cel - rzekł Lodziarz. - To by oznaczało przypisywanie jej ludzkich uczuć i ludzkich reakcji, a ja nie wierzę, by jeszcze je posiadała, jeśli miała je kiedykolwiek. - Zastanawiał się przez chwilę. - To jednak nie oznacza, by cała rasa nie znalazła się w niebezpieczeństwie. Ta kobieta zdolna jest niszczyć całe planety. Nie wiem, jakie są jej ostateczne cele, lecz nie mogę sobie wyobrazić, by ludzkość miała na tym dobrze wyjść.

- Ona naprawdę potrafi niszczyć całe planety? - spytał z powątpiewaniem Lomax.

- Widziałem rezultaty.

- No to stary Mojżesz zapewne ma rację mniemając, że pożary są jej sprawką.

- Kto to jest Mojżesz i o jakich pożarach mówisz?

- Mojżesz to Mojżesz Mahomet Chrystus. Tak nazywa siebie, gdy nie jest zajęty graniem roli Namaszczonego.

- A pożary?

- Paręset jego świątyń rozrzuconych na planetach po całej cholernej Galaktyce niemal równocześnie spłonęło. Policja na różnych planetach nie wykryła żadnych śladów, lecz jest pewna, że nie były to podpalenia, a wojsko zgadza się z tą opinią. Natomiast Mojżesz jest całkowicie pewien, że to robota Prorokini. - Lomax popatrzył na siedzącego po drugiej stronie stołu Lodziarza. - Myślałem, że to wariat... aż do tej chwili.

- Owszem, to jej sprawka - zgodził się Lodziarz. - Jest jedyną osobą, która mogłaby coś podobnego zrobić.

Lomax dokończył piwo i dał znak, by podano mu następne, co wykonano prawie natychmiast.

- Czy nie myślę się przyjmując, że zadanie Chłopca miało coś wspólnego z Prorokinią?

Lodziarz potwierdził skinieniem głowy.



- Posłałem go na planetę, na której ona mieszka.
- No to zapewne już nie żyje.
- Wątpię - oświadczył Lodziarz. - Po pierwsze powiedziałem mu, by ograniczył się do zbierania informacji. A jeśli ona nie dostrzeże przyszłości, w której on ją zabija, nie będzie uważała za konieczne, by go wykończyć. Ponadto - dodał z uśmiechem - ów młody człowiek jest przezroczysty jak szkło. Stawiam pięć do dziesięciu, że już się sprzedał i dołączył do niej.
- Jaki mogłaby mieć z niego pożytek? - zapytał Lomax.
- Jest łącznikiem z nami, ona zaś zapewne chciałaby, abyśmy obaj byli martwi. Ja ze względów zasadniczych, ty, ponieważ pracujesz dla jej wroga.
- Myślałem, że za mało dla niej znaczysz, by się tobą zajmowała - zauważył kwaśno Lomax.
- Za mało dla niej znaczę, by polowała na mnie po całej Galaktyce - odpowiedział Lodziarz. - Ale jeśli Chłopiec mógłby mnie jej wydać... to inna sprawa.
- Czy przyszło ci do głowy - podsunął Lomax - że najlepsze, co ty i ja moglibyśmy zrobić, to udać się na wakacje na De-luros VIII albo jakąś inną planetę w centrum Demokracji i po prostu przeczekać tam wygodnie, póki Namaszczony i Prorokini wzajemnie się nie pozabijają?
- On jej nie dorównuje.
- Nie dorównuje? - powtórzył Lomax. - Mówiłem ci: ma prawie trzysta milionów wyznawców.
- Trzystu, trzysta milionów, trzy miliardy, to nie jest istotne - stwierdził Lodziarz. - Jeśli na nią napadnie, musi przegrać.
- A jaką moc ona posiada?
- Prekognicję.
- Więc będzie wiedziała, gdzie się ukryć tak, by jej nie znalazł - powiedział Lomax. - Raczej nie nazwałbym tego wy-

graną.

- Nie rozumiesz - kontynuował Lodziarz. - Ona potrafi widzieć wszelkie możliwe permutacje, wszelkie wyobrażalne warianty przyszłości... A gdy widzi ten, którego pragnie, wylicza sobie, jak manipulować wydarzeniami, aby się urzeczywistnił. - Zamyślił się i wreszcie przypomniawszy sobie o drinku pociągnął łyk. - Weź pod uwagę te pożary świątyń Namaszczonego. Nie uważasz, by miała agentów na dwustu planetach, którzy je wzniecili, prawda?

- Nie było śladów podpaleń - stwierdził Lomax.

- Oczywiście nie było.

- Więc jak ona to zrobiła?

- Usiadła i popatrzyła w przyszłość... w setki, może miliony wariantów przyszłości. I zobaczyła, że w jednym z nich ktoś upuścił zapalonego papierosa, w innym zaś meteor trafił prosto w świątynię, w trzecim zaś ktoś zostawił nasączone olejem szmaty w składziku i tak dalej.

- Okay, wszystko to widziała. Ale co zrobiła, by to nastąpiło?

- Nie wiem - przyznał Lodziarz. - Nie było mnie tam. Ale widziałem, jak to wcześniej się działo. Drgnie albo przyjmie jakąś pozę, albo przejdzie w inne miejsce, albo...

- Jak to może wpłynąć na wydarzenia odległe o tysiące lat świetlnych? - przerwał mu Lomax.

- Nie wiem - powtórzył Lodziarz. - Do diabła, wątpię, czy ona sama wie, jak to działa. Ale wie, że działa.

- A co będzie, jeśli nie zdoła manipulacją wydobyć się z trudnej sytuacji?

- Wtedy poczeka, aż pojawi się taka możliwość - odpowiedział Lodziarz. - Chwytano ją już poprzednio... ale nie na długo. I nigdy - dodał ponurym tonem - sprawy nie kończyły się

dobrze dla chwytających.

- Okay, więc nikt nie chce znaleźć się blisko niej - powiedział Lomax. - A co ma powstrzymać Namaszczonego przed otoczeniem jej planety okrętami wojennymi i zniszczeniem jej?

- Nie wiem - powtórzył ponownie Lodziarz. - Może zniszczy je rój meteorów albo wszyscy członkowie załóg zarażą się jakimś wirusem, lub broń niewłaściwie podziąta. A może wybuchną bomby i wszystkie żywe istoty na planecie zginą... oprócz niej.

- Więc jak można zwyciężyć kogoś takiego?

- Przez ubiegły tydzień poświęciłem mnóstwo czasu na rozmyślania nad tym - odpowiedział Lodziarz.

- I?

- Może być pewien sposób. Ale nie jestem pewien.

- Myślę, że kiedy się ma do czynienia z kimś takim jak ona, chciałoby się być pewnym.

Lodziarz ponuro potrząsnął głową.

- Z kimś takim jak ona nigdy nie jest się pewnym. Można tylko mieć nadzieję.

Nagle z kasyna doleciał przenikliwy wrzask: jakiś górnik wygrał w ruletkę na obstawiony numer. Zatańczył w miejscu, zainkasował sztony i zaproponował, że postawi kolejkę wszystkim obecnym. Niewiele go to kosztowało, biorąc pod uwagę, że w kasynie było tylko sześć osób, a w barze jeszcze cztery.

- O czym mówiłem? - zapytał Lodziarz, odwracając się znów do Lomaxa.

- Że myślisz, iż wiesz jak ją zwyciężyć - odpowiedział Lomax.

- No, w każdym razie istnieje taka możliwość - rzekł Lodziarz.

- Czy możesz mi o niej opowiedzieć?

- Zrobię więcej - oświadczył Lodziarz. - Zapewnię sobie twoją pomoc.

- O? Jak?

- Przybyłeś tutaj, bo zaangażowano cię do pewnej roboty, zgadza się?

- Przybyłem tu, by ci opowiedzieć, czego się dowiedziałem - sprostował Lomax.

- Przybyłeś tu, by mnie zabić z polecenia Namaszczonego - powiedział Lodziarz.

- No, w każdym razie on tak myśli.

- By zrealizować mój plan potrzebuję jego pomocy - kontynuował Lodziarz. - Oczywiście on mi jej nie udzieli, ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zapewni ją tobie.

- Czemu, u diabła, miałby to zrobić? - zapytał Lomax. - Będę musiał zameldować, że gdy dotarłem do Ostatniej Szansy, ciebie już tu nie było. - Uśmiechnął się kwaśno. - Nawet jeśli on to kupi, nie przydam mu się na wiele. - Zastanowił się nad dalszymi perspektywami. - Być może po prostu będę trzymał się z dala od niego i żył z zaliczki, którą dostałem za to, że podjąłem się ciebie zabić.

- Nie - sprzeciwił się Lodziarz. - Nie posłużysz się oczywistym kłamstwem, że mnie nie znalazłeś. I nie będziesz się ukrywał. Powiedziałem ci: potrzebuję jego pomocy.

- Więc co mam robić? - zapytał Lomax.

- Zdobędziesz jego zaufanie i może nawet awansujesz o kilka szczebli w jego organizacji, zajmiesz pozycję, dzięki której będziesz mógł zrobić dla mnie coś jeszcze lepszego.

- A jak mam to osiągnąć? - zapytał Lomax.

Lodziarz uśmiechnął się tajemniczo.

- Oczywiście zabijając mnie.

**21**

Znajdowali się w biurze Lodziarza. Lomax, siedząc pod całym rzędem orderów i odznaczeń, nadanych Carlosowi Mendozie za piętnaście lat służby rządowej, oglądał różne okazy broni krótkiej. Wreszcie podniósł głowę.

- Myślę, że najłatwiej pójdzie z pistoletem miotającym pociski - powiedział. - Zwyczajnie nabijemy go ślepakami. Robią piekielny hałas, a ty możesz sobie wsadzić pod marynarkę jakąś sztuczną krew. Po prostu złap się za pierś, gdy usłyszysz strzały i przetnij torebkę.

- Prawda - przyznał Lodziarz. - Ale ty nie używasz takiej broni. Twoim znakiem rozpoznawczym jest pistolet laserowy.

- Trudniej jest sfakszować oparzenie laserem - stwierdził Lomax. - Mogę go nastawić dokładnie na pewną odległość, ale jeśli znajdziesz się o stopę dalej, wszyscy zobaczą, że promień nie dotarł do ciebie. Jeśli zaś będziesz o trzy cale bliżej, zarobisz pieczone serce.

- A może broń dźwiękową? - zaproponował Lodziarz. Lomax pokręcił głową.

- Jeśli mam nie używać mojej osobistej broni, to już lepszy będzie pistolet na pociski.

Lodziarz zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem westchnął.

- Okay - zgodził się. - Myślę, że tak będziemy musieli zrobić. Lomax wstał, podszedł do barku naprzeciw biurka Lodziarza

i nalał sobie drinka z jego zapasu.

- I przypuszczasz, że ona się na to nabierze? - zapytał wychyliwszy drinka i nalawszy sobie następnego.

- To nie było pomyślane, by ją nabrać - odrzekł Lodziarz odwróciwszy się na fotelu twarzą do Lomaxa. - Jeśli ona obejrzy dostateczną liczbę wariantów przyszłości, znajdzie mnie w jednej z nich.

- Więc dlaczego...?

- Żeby nabrać Namaszczonego - odpowiedział Lodziarz.

- A po co nim się przejmować?

- Są dwa powody. Po pierwsze nie chcę, aby Namaszczony tracił czas i środki polując na mnie - rzekł Lodziarz. - Po drugie chcę ślicznego, spektakularnego zabójstwa, abyś zdobył jego zaufanie - stwierdził. A po chwili dodał: - A właściwie dwóch zabójstw.

- Dwóch? - powtórzył Lomax.

- Jeśli nie mylą mnie przewidywania, nasz przyjaciel Neil Cayman przyjrzał się dobrze Penelopie Bailey, przyjrzał się nam i doszedł do wniosku, że będzie żył znacznie dłużej, jeśli przyłączy się do niej.

- To możliwe - przyznał Lomax.

- A ponieważ w ogóle nie jest jej potrzebny osobisty goryl, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa wyśle go, by zabił albo mnie, albo Namaszczonego. Chłopiec nie jest ściśle mówiąc geniuszem, ale nie jest też typem samobójcy. Jeśli wyśle go po mnie, zdezerteruje; dobrze wie, że na Ostatniej Szansie jestem nietykalny. Ale jeśli ma zabić Namaszczonego, możesz zarobić jeszcze więcej punktów u swego szefa, unieszkodliwiając Chłopca.

- A czy potrafię go zabić? - zapytał Lomax. - Wspominałeś, że on sobie zrobił kolejny wszczep.

- To twój zawód - stwierdził Lodziarz. - A on jest po prostu chłopaczkiem, ma szybki refleks i manię wielkości. Ufam, że znajdziesz sposób.

Lomax skrzywił się.

- Mam przecucie, że to nie pójdzie tak łatwo, jak mówisz. - Ja mam stawić czoło Penelopie Bailey - rzekł z krzywym uśmiechem Lodziarz. - Wybaczysz mi, że serce mi się nie kraje na myśl o tym, że zawodowy zabójca ma się spotkać twarzą w twarz z popędliwym chłopczykiem, którego rozpierają hormony.

- Przyjęto do wiadomości - rzekł Lomax, odwzajemniając uśmiech. Nagle jego uśmiech zgasł. - Czy już wiesz, w jaki sposób ją wywabisz?

Lodziarz położył nogi na biurku.

- Pracuję nad tym - oznajmił.

- No cóż, wcześniej walczyłeś z nią dwukrotnie. Prawdopodobnie to cię czegoś nauczyło.

- Niezbyt wiele - brzmiała odpowiedź. - Za pierwszym razem tylko próbowałem ją powstrzymać, by nie zabiła kogoś, kto mnie obchodził. Za drugim próbowałem uniemożliwić jej ucieczkę z celi więziennej na Hadesie. Nigdy dotychczas nie starałem się wyrzucić jej prawdziwej krzywdy.

- Czy to jest wykonalne?

- Nie wiem - odpowiedział szczerze Lodziarz. - Myślę, że może byłbym do tego zdolny w czasie, gdy miała osiem lat. Ale teraz? - Wzruszył ramionami. - Tyle wiem, że powinienem spróbować.

- Pozwolisz, że postawię ci pytanie? - Jazda.

- Czemu akurat ona ma być celem? - zapytał Lomax. - Chcę przez to powiedzieć, że w osobie Namaszczonego mamy do czynienia z autentycznym fanatykiem, który poprzysiągł obalić Demokrację i ma paręset milionów wyznawców, gotowych strzelać do wszystkiego, do czego im każe. Ale Prorokini... ona nie zrobiła niczego złego i nie ma milionowej armii gotowej do walki na każde skinienie. Więc czemu nie zostawić jej w spo-

koju?

- Jej nie potrzeba armii - odpowiedział Lodziarz zapalając cienką antarejską cygaretkę. - Sama jest więcej niż godnym przeciwnikiem dla Namaszczonego. - Lodziarz pyknął z cygara. - Nadal uważam, że nie zdajesz sobie sprawy, kim ona właściwie jest: nigdy nie kierowała się ludzkimi motywami, jej sposób myślenia nie jest ludzki ani zdolności czy cele.

- Jakie sobie wyznaczyła cele?

- Jakiegokolwiek by były, są sprzeczne z naszymi.

- Skąd możesz być tego pewien?

- Któregoś dnia, jeśli przeżyjesz to wszystko, polec do układu Alfya Crepello - polecił Lodziarz.

- I co wtedy?

- Wtedy spróbuj odnaleźć trzecią planetę.

- Chcesz mi powiedzieć, że ona unicestwiła całą planetę?

- zapytał Lomax, wreszcie dopijając drugiego drinka i wracając na swój fotel.

- Tak jest.

- Czemu?

- Trzymano ją tam uwięzioną przez szesnaście lat.

- A więc miała powód, czyż nie?

- By zabić wszystkich na całej planecie? - zapytał Lodziarz. - A co będzie, jeśli w przyszłym roku nie spodoba jej się nakaz zapłaty podatku? Na Deluros VIII mieszka jedenaście miliardów ludzi; wierz mi, że potrafi ją zniszczyć równie łatwo, jak zniszczyła Hades.

- Hades?

- Alfa Crepello III.

- Czy jest ci wiadomo, by kiedykolwiek zabiła jakiegoś człowieka, który nie próbował jej zabić? - nie ustępował Lomax.

Lodziarz błyskawicznie przebiegł myślą ubiegłe lata, aż do chwili, gdy wiecznie młody rewolwerowiec leżał martwy na



ulicy i gdy drobna, muskularna kobieta stała z wyrazem bolesnego zdumienia na twarzy, a po jej koszuli rozlewała się krwawa plama.

- Ty powiedziałbyś, że nie - rzekł Lodziarz. - Ja twierdzę, że tak.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo gdy można uratować ludzi, a pozwala im się zginąć, ja nazywam to morderstwem.

- Dyskusyjne.

- Dlatego właśnie powiedziałem, że możesz się ze mną nie zgodzić. Zresztą to kwestia akademicka. Albo jesteś ze mną, albo nie. A jeśli nie, to jesteś z nią, choćby ci się wydawało, że działasz samodzielnie.

- Ty płacisz - stwierdził lakonicznie Lomax. - A poza tym, kto wie? Jako premię dodatkową być może załatwię Namaszczonego.

Lodziarz energicznie potrząsnął głową.

- Absolutnie nie! Potrzebujemy go.

- Potrzebujemy? Do czego?

- Wszystko w swoim czasie - rzekł Lodziarz.

- Możesz mi zaufać - powiedział Lomax.

- Wiem, że mogę - zgodził się Lodziarz. - I prawdę mówiąc nie będę mógł zrobić tego, co zamierzam, bez twojej pomocy. Po prostu nie jestem jeszcze pewien wszystkich szczegółów.

- Gdy wyjadę, w jaki sposób mnie powiadomisz, co mam robić dalej?

- Podaj mi szyfr skramblera twojego statku - odrzekł Lodziarz gasząc cygaro, wyciągając następne z kieszeni marynarki, ale po chwili zmienił zamiar i schował je z powrotem. - Gdy będę gotów wykonać ruch, skontaktuję się z tobą i podam ci instrukcje.

- To może nie wystarczyć - orzekł Lomax. - Namaszczony jest w ciągłym ruchu. Gdy wreszcie zdecydujesz się nawiązać ze mną łączność, może być na którejkolwiek z pięćdziesięciu planet. Wszystko wskazuje, że mogę się znaleźć poza twoim zasięgiem nadawania. - Zastanowił się chwilę. - Może to ja powinienem skontaktować się z tobą.

Lodziarz wzruszył ramionami. - Jak sobie życzysz.

- Czy będziesz w Końcu Trasy?

- W każdym razie będę na Ostatniej Szansie - stwierdził Lodziarz i nabazgrał numer na świstku papieru. - Oto mój szyfr. Odlatując wgraj go do komputera statku.

- Dziękuję - powiedział Lomax. - Jeszcze jedno pytanie.

- Proszę.

- Co będzie, jeśli uzna, że skoro potrafiłem zabić ciebie, może poradzę też sobie z Prorokinią i wyśle mnie przeciw niej?

- Nie zrobi tego.

- Skąd możesz wiedzieć? Nigdy go nie widziałeś.

- Żaden człowiek nie osiąga jego pozycji nie posiadając rozumu i nie umiając go użyć - odrzekł Lodziarz. - Jeśli okażesz się dość dobry, by mnie zabić, będziesz zbyt dobry, by cię zmarnować stawiając przeciw Prorokini. Dla niego staniesz się o wiele cenniejszy jako osobisty ochroniarz.

- Może on nie wie, że Penelopa potrafi odczytywać przyszłość - nie ustępował Lomax. - Może myśli, że można ją zabić jak każdego innego.

- No to zwlekaj.

- To nie jest taki rodzaj człowieka, przy którym można zwlekać. Lodziarz patrzył na niego przez chwilę.

- No, dobrze... wobec tego postaramy się, abyś przez kilka tygodni był w stanie, który uniemożliwi ci akcję przeciwko Penelopie Bailey.

- To mi się nie podoba - zauważył Lomax.  
- Nie spodoba ci się także, gdy to poczujesz - oświadczył Lodziarz. - Ale tylko w taki sposób możemy mieć pewność, że cię przeciw niej nie wyśle.

Lomax spojrział Lodziarzowi w oczy.

- Zgoda.

- Myślę, że dzisiejszego wieczoru będę musiał nalać cię trochę w barze. To zapewni autentyczność twoim motywom, by mnie zastrzelić.

- Jak bardzo? - spytał podejrzliwie Lomax.

- Nie zanadto. Może uszkodzę ci rękę albo nogę na tyle tylko, abyś nie mógł zaatakować Penelopy.

- A co będzie, jeśli w trzy dni później pokaże się Silikonowy Chłopicz?

- Cholera! - mruknął Lodziarz. - Zapomniałem o nim. - Westchnął. - Możesz go załatwić tylko wtedy, gdy jesteś w stu-procentowej kondycji. Myślę, że trzeba będzie udawać.

- To mi wygląda na wielki spektakl w wykonaniu dwóch mężczyzn, którzy ściśle mówiąc nie są zawodowymi aktorami.

- Uda się - zapewnił Lodziarz. - Gdy ktokolwiek zwróci na to uwagę, wszystko będzie już skończone. Ty natychmiast odejdziesz... Poinstruuję moich ludzi, by ci nie przeszkadzali, a paru z nich będzie czekać na zewnątrz, żeby cię natychmiast odstawić do twego statku, po prostu na wypadek, gdyby ktoś chciał mnie pomścić, albo, co prawdopodobniejsze, wyrobić sobie opinię człowieka, który zgładził tego, kto zabił Lodziarza... Mnie zaś odniosą do biura, nim ktokolwiek zdoła się zorientować. Wiadomość rozejdzie się jutro rano, a Ostatnia Szansa będzie oficjalnie zaprzeczać przez kilka dni, a potem przyzna, że zostałem zabity przez Tancerza Grobów. - Uśmiechnął się. - Gdy już będę pewien, że jesteś bezpieczny na terenie sfery wpływów

Namaszczonego, możemy nawet wyznaczyć cenę za twoją głowę, tylko po to, by sprawę uprawdopodobnić.

- Jesteś pewien, że to wszystko jest niezbędne? - zapytał Lomax. - Myślałem, że możesz po prostu na jakiś czas się ukryć, ja zaś rozpuściłbym wiadomość, że cię zabiłem.

Lodziarz potrząsnął głową.

- Nie, musimy to wszystko przeprowadzić. Ktoś powiedział twojemu szefowi, że jestem na Ostatniej Szansie. To znaczy, że ktoś mnie tu wdział. Zapewne nadal znajduje się na tej planecie, a jeśli tak, z pewnością dzisiejszej nocy będzie w barze lub w kasynie. Kimkolwiek jest, musi wiedzieć, jak mnie zabijasz, i potwierdzić twoją opowieść. W przeciwnym razie Namaszczony nie uwierzyłby ci.

- Zgoda - powiedział Lomax rozpierając się na krześle i uśmiechając się. - Przypuszczam, że potrafię przeżyć reputację człowieka, który zabił Lodziarza. Zastanawiam się też, ilu ludzi zginęło próbując zyskać ten tytuł?

- Więcej niż potrafisz sobie wyobrazić - stwierdził ponurym tonem Lodziarz.

W Końcu Trasy kłębił się tłum.

Lomax, zanim wybrał się do kasyna, wziął suchy prysznic i zjadł kolację w swym pokoju, a potem znalazł się wśród zwykłej klienteli tawerny: górników, handlarzy, podróżników, awanturników, łowców nagród, kurw oraz nieudaczników. Niektórzy ubrani byli w jaskrawe jedwabie i satyny, inni nosili stroje, które bardziej pasowałyby na wojnie. Siedziało tam również paru kosmitów: Canphorytów, Lodinitów i Robelian, jeden potężny Torqual, a nawet para maleńkich Andrican. Lomax pierwszy raz w życiu widział przedstawicieli tego gatunku.

Lodziarza nie było widać, więc Lomax przespacerował się do stołów gier. Minął koło ruletki oraz grających w oczko i w ciągu kilku minut przegrał siedemdziesiąt kredytów w jaboba. Andricanin, który z nim wygrał, wyglądał jak zadowolone z siebie dziecko, chodząc dumnym krokiem i wymachując pieniędzmi ze śmiechem, brzmiałym jak delikatny dźwięk dzwoneczków. Nawet Lomaxa to rozbawiło. Wreszcie powędrował z powrotem do tawerny.

Większość stolików była zajęta. Pozostały tylko dwa wolne koło kasyna, ale absolutnie nie miał zamiaru uciekać obok pół tuzina łowców nagród, jako że niektórzy mogli zacząć zastanawiać się, czy zostanie ogłoszona nagroda za mordercę Lodziarza. Zaczekał więc, póki nie zwolnił się stół przy drzwiach wyjściowych.

Usiadł, zamówił butelkę cygniańskiego koniaku, nalał sobie szklankę i ponownie rozejrzał się po sali. Drogę do drzwi miał wolną, był dobrze widoczny przez ogromne jednokierunkowe lustro za barem, gdzie Lodziarz powinien mieć umieszco-

nych kilku ludzi dla ochrony. Po części skrywał go cień, jeśli więc nie pomacha teraz swą rzekomo zranioną ręką, nikt jej nie zauważy. Najlepsi z łowców nagród, a przynajmniej cieszący się reputacją najlepszych, byli oddaleni o jakieś sześćdziesiąt stóp przy stołach gry i nie zaryzykują trafienia któregoś ze zwykłych gości, gdy skieruje się do drzwi.

Ostrożnie pomacał lewą rękę palcami prawej dłoni. Torebka z płynem imitującym krew była na miejscu, tuż nad bicipsem, gdzie Lodziarz będzie mógł przeciąć woreczek nożem. Następnie ponownie sprawdził swe uzbrojenie: pistolet miotający załadowany ślepakami miał na prawym biodrze, na lewym zaś laserowy, ot tak na wypadek, gdyby obiecana przez Lodziarza ochrona nie całkiem spełniła swe zadanie.

Lomax usiłował się odprężyć, zadowolony, że zrobił wszystko, co do niego należało, aby fortel się powiodł. Teraz musiał już tylko poczekać na Lodziarza, który niewątpliwie chciał wybrać taką chwilę, by mieć pewność, iż informator Namaszczonego znajduje się w lokalu.

Jedna z kurw podsunęła się do Tancerza, więc rozmawiał z nią przez parę minut. Gdy zrozumiała, że nie ma zamiaru ubić z nią żadnego interesu, przeszła do rokującego większe nadzieje klienta, a coś w jej mowie ciała powiadomiło inne kurwy o tym, że człowiek w czerni nie ma nastroju na spotkanie z nimi.

Wreszcie, po kolejnej godzinie, Lodziarz ukazał się w drzwiach swego biura. Przeszedł obok stolika Lomaxa nie okazując, że go poznaje, kilka minut poświęcił na grzecznościowe rozmówki z klientami, sprawdził u krupierów i rozdających karty, jak sobie radzi kasyno, wreszcie zatrzymał się przy barze. Wypił piwo, zażądał następnego i zaniósł swą szklankę do stolika Lomaxa.

- Gotowy? - zapytał cicho. Lomax skinął głową.
- Dobrze. Poczekajmy jeszcze kilka minut na wypadek, gdyby nasz człowiek okazał się śpiochem.
- Nawet jeśli tak jest, masz tu stu naocznych świadków - zauważył Lomax.
- Prawda - przyznał Lodziarz. - Ale pewien jestem, że Namaszczony wolałby mieć sprawozdanie z pierwszej ręki. Ja bym wolał.
- Ty jesteś szefem - powiedział Lomax, pijąc kolejny łyk koniaku. Kilka minut spędzili w milczeniu, aż wreszcie Lodziarz znów się odezwał.
- Sądzę, że już czas. - Zamyślił się. - Prawie czuję przykrość na myśl, że opuścisz Ostatnią Szansę - zauważył kwaśnym tonem. - Pijesz drogi trunek.
- Wszystko w porządku - odparł z uśmiechem Lomax. - Jest zapisany na mój rachunek, którego nie mam zamiaru zapłacić.
- Na pewno zapłacisz! - wrzasnął Lodziarz głosem, który rozległ się w całej knajpie. - Gdy przychodzisz do mojego zakładu, robisz to na takich samych warunkach jak wszyscy!
- Zdziwiłbyś się, mój stary, jak bardzo różnię się od wszystkich - odpowiedział Lomax, nie całkiem krzykiem, ale jednak głosem dającym pewność, że i on będzie słyszany.
- Krwawisz jak każdy! - warknął Lodziarz, wyciągając nóż i tnąc lewe przedramię Lomaxa tuż poniżej łokcia. Lomax poczuł, jak przeszywa go błyskawicznie ból, i krew, prawdziwa krew, zaczęła plamić jego koszulę.
- To miało być powyżej łokcia, ty dupku - wychrypiął, gdy Lodziarz rzucił się na niego.
- Zdecydowałem, że nie możemy ryzykować - szepnął

Lodziarz. - A teraz zastrzel mnie, nim ktoś nas rozdzieli!

Lomaxowi udało się wyciągnąć swój pistolet miotający pociski i w chwilę później cztery głośne eksplozje odbiły się echem w tawernie. Lodziarz gwałtownie chwycił się za pierś, zdołał rozciąć nożem woreczek z krwią, zakręcił się w miejscu tak, by wszyscy widzieli, iż klatkę piersiową oraz brzuch ma skąpane we krwi i zwałił się na ziemię.

Gdy wszyscy z osłupieniem patrzyli na Lodziarza, Lomax włożył do kabury użytą broń, z trudem wyciągnął swój pistolet laserowy i przełożył do zdrowej ręki. Następnie zaczął bardzo ostrożnie tyłem wycofywać się z tawerny, bacząc czy któryś z klientów nie chce go zatrzymać. Nic takiego nie nastąpiło i w chwilę później znalazł się na ulicy.

- Ruszajmy! - rozległ się szept i natychmiast otoczyło go trzech ludzi.

- Za chwileczkę - powiedział niewyraźnie. - Muszę tylko zorientować się, gdzie jestem.

- Co to znaczy: zorientować się? - wyszeptał głos. - Stoisz tuż przed frontem Końca Trasy.

- Musi padać deszcz - wymamrotał Lomax. - Jestem cały mokry.

- Co się dzieje? - zapytał drugi głos. - Ile wypiteś dziś wieczór?

- Niewiele - odparł Lomax. - Ale coś się ze mną dzieje. Kręci mi się w głowie.

- Ruszaj! - szepnął pierwszy głos. - Zanim ktoś pójdzie za tobą!

- Dobrze - powiedział Lomax. Nagle padł na kolana. - Nie mogę wstać - wymruczał.

- Jezu! - syknął trzeci głos. - Spójrzcie na jego rękę! Myślę, że Lodziarz trafił go w tętnicę. Stracił mnóstwo krwi!



## Wróżbiarka T.3 Prorokini

---

- No to załóż mu opaskę uciskową, ale wynośmy się stąd!
- Trzymajcie go nieruchomo! Jest cały przemoczony!
- Bardzo dobry koniak - mruknął Lomax i zemdlał.

Nie pamiętał niczego z następných czterech godzin. Jasne było, że go opatrzyli, wsadzili do jego statku i tak ustawili komputer nawigacyjny, by wyniósł go na kilkaset lat świetlnych, a potem zahamował całkowicie pomiędzy układami gwiazdnymi. Pomyślał gniewnie, że powinni mu podać trochę środka uśmierzającego, bo gdy choćby odrobinę poruszał lewą ręką, przeszywał go ból. Pocięli mu koszulę i zabandażowali ramię. Tylko w niewielu miejscach opatrunek nie przesiąkł krwią i gdy Lomax spróbował go rozciąć męka była nieznośna. W apteczce miał mnóstwo środków dezynfekcyjnych, ale niczego do zaszycia czy przyżegania ran. Polecił statkowi wylądować na pierwszej placówce Ludzi.

Próbując opanować wściekłość zdecydował, że winny jest Lodziarz. Nikt nigdy nie zdołał niczego staremu grubasowi wytłumaczyć. Zaplanował wszystko od początku, a cała popołudniowa gadanina o tym, jak będą udawać, że go zrani, okazała się tylko zasłoną dymną. Stary Mendoza dokładnie wiedział, co robi; rana była głęboka i bolesna, Lomax zaś tak osłabiony upływem krwi, że Namaszczony z pewnością zostawi mu kilka dni, aby doszedł do siebie i nie wyśle go przeciw Prorokini... A przecież, dzięki gromadzonemu przez całe życie doświadczeniu, Lodziarz przecinając tętnicę zdołał ominąć większość głównych nerwów i ścięgien. Rana była paskudna i bolesna, ale nie obezwładni go zupełnie i będzie mógł za kilka dni stawić czoło Chłopcui. Szybka transfuzja krwi, trochę środków przeciwbólowych i będzie prawie jak nowy, gdy pokaże się Chłopiec. Uda słabość, czego zresztą spodziewał się Lodziarz, aby nie walczyć z Prorokinią. Zresztą i tak uważał ją za abso-

lutnie niepokonaną, a zapewne plotki o tym, jak otarł się o śmierć i jak jest osłabiony, zapewnią mu właśnie tyle przewagi nad Chłopcem, ile potrzebował.

Przeklęty Lodziarz pomyślał o wszystkim i choć niewątpliwie miał rację, Lomax nie mógł opanować wściekłości.

Przez następnny dzień tracił i odzyskiwał przytomność, aż wreszcie obudził się drgnąwszy, gdy komputer zasygnalizował mu, że otrzymał zezwolenie lądowania na Polluksie IV. Przed lądowaniem zażądał przez radio pomocy lekarskiej. Kiedy wylądował, przeniesiono go do ambulansu i pośpiesznie przewieziono do pobliskiego centrum medycznego. W dwa dni później miał rękę w sterylnym opatrunku, a liczbę krwinek doprowadzoną do normy, wystartował więc ponownie.

Nie miał pojęcia, gdzie znajduje się Namaszczony, ale szyfowanym kanałem skontaktował się z Korbekianem i otrzymał wiadomość, że jego wódz w tej chwili ukrywa się w fortecy na pustynnej planecie Bety Stromberg, zwanej lokalnie Nową Gobi. Wgrał do komputera koordynaty, zjadł lekki posiłek i przespał większość drogi do celu. Znalazłszy się na orbicie użył tajnej częstotliwości podanej przez Korbekiana, by zawiadomić o tym, że już jest, i w parę chwil później otrzymał polecenie lądowania na małym lądowisku na równiku.

Wyszedłszy ze statku znalazł się w niewiarygodnie ostrym świetle słonecznym, panował nieznośny upał i przez chwilę, niosąc torbę podróżną do maleńkiego posterunku celnego, poczuł zawrót głowy. Natychmiast podano mu duży pojemnik wody i parę tabletek solnych.

- Przyzwyczajenie się do tutejszego klimatu wymaga trochę czasu - zwierzył się jeden ze strażników.

- Założę się, że nie mniej niż przywyknięcie do piekła - mruknął Lomax popijając wodą dwie tabletki.

Strażnik roześmiał się.

- Nie trzymam zakładu - oświadczył.

Lomax rozejrzał się, osłaniając oczy od blasku zdrową ręką.

- Co teraz? - zapytał.

- Chodź ze mną - odparł strażnik, prowadząc go do samochodu. - On czeka na ciebie.

- Doprawdy?

- Jesteś bohaterem, Tancerzu Grobów - stwierdził strażnik. - Wysłał mnóstwo ludzi przeciw Lodziarzowi. Dopiero tobie się udało.

- Wiecie już o tym?

- Niewiele się zdarza, o czym nie wiedziałyby Namaszczony - odpowiedział strażnik, gdy wsiadali do maszyny. Kazał włączyć się zapłonowi i nagle Lomax poczuł wiejący ze wszystkich kierunków ożywczy, chłodny podmuch.

- Lepiej? - zapytał strażnik.

- O wiele - odrzekł Lomax. - W ogóle nie mam ochoty wysiadać.

Strażnik znów się roześmiał i pomknął wąskim, ziemnym traktem, tym tylko różniącym się od otaczającego terenu, że były na nim odciski opon. Jechali tak około dziesięciu minut, okrążyli ogromną wydmnę i nagle znaleźli się przed olbrzymią fortecą, mogącą pomieścić przynajmniej trzy tysiące ludzi.

- Nie zbudowaliście tego z dnia na dzień - zauważył Lomax, uważnie oglądając budynek. Była to potężna, kanciasta konstrukcja z materiału o wzmocnionych wiązaniach molekularnych, dzięki czemu względnie cienkie mury mogły przetrwać wszelki atak.

- Nie - odpowiedział strażnik. - Gdy po raz pierwszy pojawiliśmy się tutaj kilka lat temu, już to stało, opuszczone.

Oczywiście musiało należeć do jakiejś rasy kosmicznej, która paręset lat temu chciała się bronić przed Ludźmi. Na całej planecie znajdują się z dwa tuziny takich fortec.

- A rasa tubylcza?

- Zniknęła.

- Co jest tak ważnego w Nowej Gobi, że musieliśmy wybić całą rasę, by osiąść planetę?

- Nie mam pojęcia - rzekł strażnik. - Zginęli zapewne dlatego, że tu byli.

Lomax kiwnął głową.

- To by się zgadzało.

- No to - powiedział strażnik - moglibyśmy wejść do środka.

- Mam cholerną nadzieję, że jest klimatyzowany - stwierdził Lomax, niechętnie opuszczając chłodną kabinę samochodu.

- Gdyby nawet nie był, zapewne Namaszczonemu nie zrobiłoby to różnicy - zwierzył się strażnik. - Jest absolutnie niewrażliwy na takie doczesne sprawy, jak wygoda fizyczna. Ale rozumie, że reszta z nas ma ludzkie słabości i ograniczenia, i opiekuje się swymi wyznawcami.

- To oznacza, że wewnątrz jest chłodno? - upewnił się Lomax, czując na głowie i szyi nieznośny słoneczny żar.

- Owszem.

- No to pośpieszmy się - powiedział Lomax, wydłużając krok. Dotarli do silnie strzeżonego wejścia i zostali przepuszczeni bez

żadnych pytań. Strażnik przekazał Lomaxa dwóm mężczyznom w wojskowych mundurach, potem odszedł, by odjechać z powrotem do kosmoportu. Wojskowi towarzyszyli Lomaxowi w marszu długim, wysoko sklepionym korytarzem, aż doszli do dwuskrzydłowych ozdobnych drzwi.

- On jest w środku - odezwał się jeden z mężczyzn. - Masz wejść sam.

- Dzięki.

- Znasz procedurę? - zapytał drugi.

- Na tyle, by dać sobie radę - odpowiedział Lomax.

Mężczyzna popatrzył na niego, ale nic nie powiedział i w chwilę później dwa skrzydła drzwi otworzyły się tylko na tyle, by Lomax mógł przez nie przejść, a potem zamknęły się szybko.

Mojżesz Mahomet Chrystus siedział na swym samozwańcym tronie, odziany w białą szatę ze złotym łańcuchem - tak zresztą ubierał się zawsze. Kotokształtny mięsożerca kosmicznego pochodzenia leżał jak zwykle u jego stóp.

- Witamy w domu, panie Lomax - powiedział, a przez jego ascetyczną twarz przebiegł cień uśmiechu. - Dobrze się pan spisał.

- Dziękuję, Mój Panie - odpowiedział Lomax, podchodząc na odległość piętnastu stóp, gdzie zatrzymał się, gdy drapieжник zaczął napinać mięśnie.

- Jak rozumiem, nie wyszedł pan z tego nietknięty - kontynuował Namaszczony.

- Niezupełnie - zgodził się Lomax, wskazując gestem lewą rękę, bezwładnie zwisającą u boku. - Lekarze mówią, że za trzy do czterech tygodni będę jak nowy.

- To znakomita wiadomość - powiedział Namaszczony. - Za nic nie chciałbym utracić usług człowieka, który zabił Carlosa Mendozę

- wyjaśnił. - Reszta pańskiego honorarium została złożona na pana rachunku zgodnie z umową.

- Nigdy nie wątpiłem, że tak będzie - odrzekł Lomax. - Wszyscy wiedzą, że dotrzymuje pan słowa, Mój Panie.

Namaszczony pochylił się naprzód.

- Proszę mi opowiedzieć o pańskiej przygodzie, panie Lomax.

- Nie ma wiele do opowiadania, Mój Panie. Obraziłem go, rozzłościł się, a ja go zabiłem. To była tylko zwykła, codzienna robota.

- Zbytek skromności, panie Lomax - rzekł Namaszczony. - Przed panem wysłałem na Ostatnią Szansę czterech ludzi. Cemu panu się udało, a im nie?

- Bo jest tak, jak powiedziałem, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, Mój Panie - odpowiedział Lomax. - Ja jestem najlepszy.

- A jak pan uciekł? Z pewnością Lodziarz miał ochroniarzy, ludzi rozstawionych wokół jego zakładu.

Bystry z ciebie sukinsyn, prawda? - pomyślał kwaśno Lomax. Usłyszałeś o tym przynajmniej od jednego sprzysiężonego, ale nadal masz podejrzenia.

Głośno zaś odezwał się:

- Po części działał tam element zaskoczenia, Mój Panie. Lodziarz i ja byliśmy starymi znajomymi i jego ludzie prawdopodobnie niczego się nie spodziewali. Prócz tego zająłem pozycję tuż przy drzwiach, bym mógł szybko się wydostać.

- Z pewnością odzyskali przytomność i strzelali szybciej, niż mógł pan wyjść przez drzwi - podsunął Namaszczony.

- Wiedziałem, że jego ludzie są na pozycjach w kasynie oraz za jednokierunkowym lustrem, wiszącym nad barem - odpowiedział Lomax.

- Poczekaj, póki dostateczna liczba gości nie zasłoniła im pola widzenia, nim sprowokowałem jego atak na mnie. Opowiadanie tego zajmuje wiele czasu, ale cała sprawa skończyła się w kilka sekund.

- A jak dostał się pan do swego statku z taką ciężką raną?

- Miałem pojazd oczekujący mnie na zewnątrz - skłamał Lomax.

- To była niezwykle godna uwagi ucieczka - skomentował Namaszczony.

- Proszę posłuchać - powiedział w uniesieniu Lomax - jeśli sądzi pan, że skłamałem, można to sprawdzić na Ostatniej Szansie; potwierdzą, że Lodziarz nie żyje. I może też pan sprawdzić na Polluksie IV, tam mnie opatrzyl.

- Już to zrobiłem - stwierdził Namaszczony. Lomax spojrział mu w oczy.

- A więc?

- Lubię opowieści o bohaterskich czynach - rzekł z uśmiechem Namaszczony.

- Tak długo, jak pan za nie płaci, będę stale dostarczał nowych - obiecał Lomax.

Czy dobrze to robię? Rozzłościłem się nie za wcześnie? Czy powinienem tak mu się sprzeciwiać? Do cholery, Lodziarzu, chciałbym, byś tu był. Jesteś o wiele lepszym ode mnie kłamcą i oszustem... A z niego cholernie bystry skurwysyn, z tego Namaszczonego. Prawie tak bystry jak ty, zastanawiał się Lomax w popłochu.

- Będzie pan miał mnóstwo możliwości - oświadczył Namaszczony. - Już wybrałem panu następny cel.

Gotów jestem się założyć, że to zrobisz, pomyślał Lomax z sarkazmem.

- Ale póki pan się całkowicie nie wyleczy, zostanie pan ze mną tutaj, na Nowej Gobi. Od dawna potrzebny mi był człowiek o pana zdolnościach, panie Lomax. Myślę, że czeka nas długa i owocna znajomość.

- Mam taką nadzieję, Mój Panie.

- Jeśli pozostanie pan lojalny wobec mnie i będzie wypełniał moje polecenia, może pan stać się jednym z najpotężniej-



szych ludzi Galaktyki.

- Zdołam to przeżyć, Mój Panie - odpowiedział Lomax, zmuszając się do uśmiechu.

- Jestem pewien, że tak. - Namaszczony popatrzył srogo. - Lecz jeśli zawiedzie pan moje zaufanie, mogę obiecać śmierć, jakiej niewielu ludzi doświadczyło.

Lomax odpowiedział podobnym spojrzeniem.

On chce zrobić na mnie wrażenie. Ciągle mnie testuje. Gdyby zdołał mnie przestraszyć, nie byłbym człowiekiem, którego poszukuje, pomyślał.

- Oszczędź sobie gróźb, Mój Panie - powiedział obojętnym tonem. - Jestem człowiekiem interesu i rozważywszy wszystko dokładnie, oceniłem, że najlepszym moim interesem jest ci służyć. Jeśli kiedykolwiek przekonam się, że podjąłem błędną decyzję, nie będzie pan w stanie spowodować mojej śmierci.

Namaszczony uśmiechnął się.

- Lubię pana, panie Lomax - odpowiedział. - Jest pan szczerzy i nieskomplikowany. Pragnie pan zabijać i stać się bogaty; ja zaś poszukuję wykonawcy wyroków, który kieruje się motywami racjonalnymi i łatwymi do przewidzenia. Przepowiadam, że będziemy harmonijnie współpracować przez wiele przyszłych lat.

- Nie widzę powodu, aby miało stać się inaczej, Mój Panie.

- Dobrze - rzekł Namaszczony. - Teraz proszę udać się do swej kwatery, rozpakować rzeczy i odpocząć. Dziś wieczorem będzie mi pan towarzyszył przy kolacji.

- Gdzie?

- Przyślę ludzi, którzy panu dotrzymają towarzystwa, dopóki nie rozezna się pan lepiej w swoim otoczeniu - odpowie-

dział Namaszczony. - To bardzo duża forteca.

- Dziękuję, Mój Panie - rzekł Lomax, kłaniając się i cofając do drzwi, które otworzyły się w momencie, kiedy do nich dotarł.

Odprawdzono go do kwatery - obszernego, przewiewnego pokoju z oknem wychodzącym na ukwiecony podwórzec. Natychmiast zażył następną tabletkę przeciwbólową. Następnie posiał po swoje rzeczy, które strażnik z kosmoportu pozostawił przed wejściem do fortecy, wziął suchy prysznic, uważając, by jego lewa ręka znajdowała się poza zasięgiem lekkiego chemicznego natrysku, i ogolił się dokładnie. Pomyślał, czy nie zażyć więcej tabletek solnych, ale wewnątrz fortecy było przyjemnie chłodne, on zaś nie miał zamiaru ponownie wychodzić na dwór. Tak więc napił się tylko wody z lodem z ogromnego pojemnika, który znalazł obok łóżka. Następnie z ulgą, po wielu dniach drzemki w kokpicie swego statku, rozciągnął się na łożu powietrznym, pływającym w łagodnych podmuchach, i wkrótce głęboko zasnął.

Obudził go zgrzytliwy dźwięk; po chwili zorientował się, że ktoś potrząsa małym dzwonkiem za jego drzwiami. Niepewnie wstał z łóżka, krzywiąc się, gdy podparł się lewą ręką i kazał otworzyć się drzwiom.

- Czas na kolację, sir - powiedział umundurowany strażnik.

- Za pięć minut - mruknął.

- Namaszczony nie lubi, gdy każe mu się czekać - oświadczył strażnik.

- No to jeśli Namaszczony nie chce, abym zemdlał przy stole, może poczekać, aż wezmę moje lekarstwo - odpowiedział poirytowany Lomax.

Przeszedł do łazienki, obmył twarz zimną wodą, przecze-

sał włosy i połknął kolejną tabletkę przeciwbólową. Zauważył, że opatrunek na jego ręce zaczyna nieco przesiąkać, ale zdecydował, że to uprawdopodobni jego opowiadanie, i postanowił nie zmieniać bandaża, póki nie wróci do pokoju.

Następnie podszedł do kręcącego się niespokojnie strażnika i skinął głową. Człowiek natychmiast pośpiesznie ruszył z miejsca, a Lomax poszedł za nim przez labirynt chłodnych, wyłożonych płytkami korytarzy, aż dotarli do obszernego pokoju, gdzie Namaszczony siedział samotnie u szczytu długiego, wypolerowanego stołu z jakiegoś oryginalnego drewna. Jego ulubionego zwierzątka nie było nigdzie widać, więc Lomax wywnioskował, że nawet Namaszczony nie umie nad nim zapanować, gdy w pobliżu znajduje się jedzenie.

- Spóźnił się pan, panie Lomax - powiedział obojętnie.

- Przepraszam, Mój Panie - odrzekł Lomax, gdy strażnik wyszedł z pokoju - ale nadal zażywam lekarstwo przeciwbólowe, ręka ciągle mi dokucza.

- Rozumiem - powiedział Namaszczony. Przerwał na chwilę, a potem prawie niezauważalnie skłonił głowę. - Wybaczam panu.

- Dziękuję, Mój Panie.

- Póki leczy się pan, będę posyłał po pana o kilka minut wcześniej.

- To w najwyższym stopniu rozsądne podejście, Mój Panie.

Do sali weszli mężczyzna i kobieta ubrani w oficjalnego kroju beżowe stroje, niosąc salaterki z sałatkami.

- Nie przyjmujemy napojów podniecających, panie Lomax - zauważył Namaszczony, gdy słudzy postawili przed nimi salaterki. - Mam nadzieję, że nie będzie to dla pana udręką.

- Bynajmniej - odpowiedział Lomax, gdy następną kobie-

ta wniosła pojemnik z wodą i dwie wielkie szklanki. Napętiła je po brzegi i postawiła przed nakryciami siedzących przy stole.

- Dobrze. Jako danie główne dostaniemy pieczeń z czarnej owcy.

- Czarnej owcy, Mój Panie?

- Zmutowanej owcy z Baloka XIV - odpowiedział Namaszczony.

- Baloka XIV, Mój Panie? - zapytał Lomax marszcząc brwi. - Wedle numeru sądziłbym, że jest to gazowy olbrzym.

Namaszczony uśmiechnął się.

- Balok ma trzydzieści jeden planet. Jedyłą nadającą się do zamieszkania jest Balok XIV, kolonia rolnicza, gdzie dokonano eksperymentów genetycznych z owcami i kozami. Czarne owce ważą po około osiemset funtów sztuka i twierdzi się, że mają najsoczystsze mięso na całej Wewnętrznej Granicy.

- Doprawdy?

- Dziwię się, że nigdy go pan nie próbował.

- Jadam bardzo mało mięsa, Mój Panie - odrzekł Lomax.

- To dobrze. Lubię ludzi, którzy stosują dietę, aby utrzymać dobrą kondycję.

- Oraz ciśnienie krwi i poziom cholesterolu na jakim takim poziomie - dodał z krzywym uśmiechem Lomax.

- Ach! - wykrzyknął z uśmiechem Namaszczony. - Więc jednak nie jest pan nadczłowiekiem.

- Obawiam się, że nie, Mój Panie. - Lomax przerwał, zastanawiając się, czy powinien skierować rozmowę na Penelopę Bailey, czy też czekać aż zrobi to Namaszczony. Wreszcie postanowił skorzystać z okazji. - Jedyń nadczłowiek, o którym mi wiadomo, to Penelopa Bailey.

- Dobrze! - powiedział Namaszczony. - Miałem nadzieję, że podyskutujemy o niej dzisiaj wieczoru. Czy Mendoza mówił panu o niej?

- Niezbyt wiele - odrzekł Lomax.
- Nic nie mówił o jej możliwościach? Lomax potrząsnął głową.
- Nie, Mój Panie. Miałem nadzieję, że może pan mi o nich powie. Namaszczony przyjrzał mu się uważnie.
- Jeśli nic pan nie wie o jej możliwościach, czemu twierdzi pan, że jest ona nadczłowiekiem? - zapytał.
- No i dobrze, Lomax. Właż w to obiema nogami, pomyślał.
- Wyglądało na to, że tak uważa Lodziarz - powiedział ostrożnie. - Co do mnie, to nie sądzę, by pracował on dla kogoś wykraczającego ponad normalność. - Wzruszył ramionami. - Mówił coś, że ona przepowiada przyszłość, ale ja bym do tego nie przywiązywał większej wagi.
- O? Czemu nie?
- Może ona potrafi odczytywać zakryte karty, czy robić salonowe triki, ale jeśli naprawdę potrafi widzieć przyszłość, czemu go nie ostrzegła, że przybyłem na Ostatnią Szansę, by go zabić?
- Może już nie był jej potrzebny.
- Może - powtórzył Lomax. Starał się wyglądać na nieprzekonanego. - Ale przepowiadać przyszłość? Trochę trudno to przełknąć.
- Więc co wobec pana czyni ją nadczłowiekiem, panie Lomax?
- nie ustępował Namaszczony.
- Lepiej skończ z tym, zanim powiesz jeszcze coś, czego on może się ucześcić, Lomax strofował się w myśli.
- Mam swoje powody, Mój Panie, ale przeczuwam, że może to pana obrazić.
- Dajże spokój - rzekł Namaszczony. - Ma pan moje ze-

zwolenie, by mówić otwarcie.

- No dobrze - powiedział Lomax, udając, że robi to niechętnie.

- Myślę, że obawia się jej pan, Mój Panie, a jeśli człowiek, który nie boi się Demokracji, czuje lęk przed kobietą mieszkającą gdzieś na Granicy, to musi ona być w jakiś sposób nadczłowiekiem.

- Nie boję się nikogo! - warknął Namaszczony.

- Wobec tego przepraszam, Mój Panie.

- Nikogo, słyszysz?

- Słyszę, Mój Panie - powiedział Lomax. - A ponieważ myliłem się co do tego, to z pewnością myliłem się i co do Prorokini. - Popatrzył bez zmrużenia oka w czarne jak węgiel oczy Namaszczonego. - Gdy tylko całkowicie zagoi mi się ręka, mam nadzieję, że poleci mi pan ją zabić... A ponieważ pana obraziłem i pragnę przekonać pana o mej lojalności i pragnieniu pozostania w pańskiej służbie, przyjmę takie zlecenie w ogóle bez zapłaty.

To była właściwa odpowiedź, bo chude ciało Namaszczonego odprężyło się i prorok odchylił się na oparcie fotela.

- Załatwimy to inaczej, panie Lomax - powiedział, znów panując nad głosem. - Zapłacę panu pełną wartość usługi.

- Jeśli pan nalega, Mój Panie - odrzekł Lomax. - Ale nie cofam mojej oferty.

Namaszczony nie odrywał od niego spojrzenia. - Jest pan niezwykłym człowiekiem, panie Lomax.

- Przyjmuję to jako największą pochwałę, Mój Panie.

- Być może - powiedział Namaszczony. - W tej chwili to tylko spostrzeżenie.

Jedli w milczeniu, póki służący nie wnieśli pieczeni z czarnej owcy.

Zjaw się tu szybko, Chłopcze, pomyślał Lomax, odcinając

sobie mały kawałek mięsa i żując go z namysłem. Ten człowiek jest zanadto bystry. Może Lodziarz potrafiłby dać sobie z nim radę, ale jestem pewien, że ja nie potrafię, w każdym razie nie przez dłuższy czas. Jeśli szybko się nie pokażesz, na pewno popełnię o jeden błąd za dużo.

Minęły dwa dni, podczas których Lomax ze wszystkich sił próbował zostawać w samotności... a przynajmniej trzymać się z dala od Namaszczonego. Poskarżył się, że leki, które przyjmuje, powodują zawroty głowy, następnie zaczął spędzać wiele godzin każdego popołudnia w łóżku udając, że śpi, na wypadek, gdyby jego pokój był pod obserwacją. Upierał się, że najważniejsze jest bezpieczeństwo Namaszczonego i każdego dnia spędzał coraz więcej godzin spacerując wokół zamku i nawet po spalonym słońcem terenie, sprawdzając wszelkie wejścia, próbując wyobrazić sobie, jak sam przeniknąłby do fortecy, gdyby był mordercą. Co dzień poświęcał godzinę na czyszczenie i polerowanie broni, a kolejne pół godziny spędzał na strzelnicy.

Ale ciągle zbyt często, jak na swój gust, znajdował się w obecności Namaszczonego. Jadał z nim lunch i kolacje i wymagano jego obecności podczas przedstawień wieczornych. Było to żądanie, któremu nikt nie śmiał odmówić. Dziwiło go, że Namaszczony wcale nie próbował nawrócić go na Jedyną Prawdziwą Wiarę; zapewne dlatego, że Lomax już wcześniej jasno postawił sprawę, że nie interesuje go żadna w ogóle religia, ta zaś - kombinacja ortodoksyjnego chrześcijaństwa, judaizmu oraz islamu - miała według niego jeszcze mniej sensu niż większość innych.

Trzeciego dnia wstał rano, pozwolił sobie na luksus przysznica z prawdziwej wody, ogolił się, ubrał i kazał otworzyć się drzwiom. Już nie potrzebował pomocy, by trafić, gdzie chciał w fortecy, pomimo tego często mu asystowano. Ale tego właśnie ranka nie było widać strażników, poszedł więc do ogromnej kuchni, gdzie zwykle wypijał szklankę soku i filiżankę kawy,



nim Namaszczony potrafił go odnaleźć i zaprosić na śniadanie.

Ale tego ranka nikt w kuchni nie pracował i jeszcze nie zaparzone kawy. Wzruszył ramionami, podszedł do olbrzymiej chłodziarki, wyjął pojemnik soku owocowego, napił się i odstawił sok na miejsce.

Opuszczając kuchnię, wyrzął przez okno, wychodzące na ten sam ogród co okno w jego sypialni, choć pod innym kątem, i wówczas coś zauważył. Nie ruch, bo w porannym słońcu nic się nie poruszało, ale plamę koloru, która wydawała się tam nie na miejscu. Wpatrywał się w nią przez chwilę, potem zamrugał i spojrzał ponownie i nagle cały obraz nabrał ostrości. Zrozumiał, że patrzy na nogę martwego człowieka, który niedawno jeszcze był osobistym kuchmistrem Namaszczonego.

Wyciągnął pistolet laserowy i ostrożnie podszedł do drzwi kuchni. Wychodziły na jadalnię, gdzie Namaszczonemu podawano posiłki, ale pokój okazał się zupełnie pusty. Lomax szybko przezeń przeszedł, do znajdującego się dalej, wysoko sklepionego korytarza.

Tam natknął się na jeszcze dwa ciała, obie osoby zostały zabite bronią dźwiękową. Nie potrafił sobie przypomnieć, czy Silikonowy Chłopiec posługuje się pistoletem dźwiękowym. Prawdę mówiąc nie pamiętał, czy, kiedy się spotkali, tamten miał jakąkolwiek broń, ale dobrze wiedział, że to jego robota. Lodziarz to przepowiedział, Lomax zaś doszedł do wniosku, że rozważny starzec niemal tak dobrze potrafił przewidywać przyszłość jak sama Penelopa Bailey.

Przeszedł nad dwoma ciałami i wyrzął na pobliskie podwórze. Nie było tam trupów, ale nie dostrzegł też strażników, zwykle zaś stało tam dwóch mężczyzn, nawet podczas największego upału.

Chłopiec był dobry, to musiał mu przyznać. Zabił przy-

najmniej dwóch ludzi, a może więcej i zrobił to szybko i cicho, nie zdradzając swej obecności. Ale nie mógł długo pozostać nie zauważony, wewnątrz fortecy i wokół niej znajdowało się prawie tysiąc uzbrojonych ludzi. Tak więc w każdej chwili może usłyszeć wystrzały z broni na pociski, trzeszczenie laserów, dziwaczne brzęczenie pistoletów dźwiękowych.

Ale gdy szedł korytarzem nic takiego nie doszło jego uszu. Dotarł do zakrętu niedaleko wejścia do fortecy i wyjrzał przez okrągłe okno. Na podwórzu było około trzydziestu mężczyzn. Jedni stali na baczność, inni rozmawiali, czterej podnosili drobne śmieci. Pomyślał, czy nie zaalarmować ich, że Chłopiec jest tutaj, ale zmienił zdanie: jeśli ma pozyskać całkowite zaufanie Namaszzonego, musi samotnie stawić czoło Chłopcowi, tak jak mówił Lodziarz. Wezwanie armii mogło mu oszczędzić ryzyka, ale nie pozwoliłoby wygrać wojny.

Trzymając pistolet w dłoni, szedł chyłkiem, lewa ręka nadal bezwładnie zwisała u boku. Nagle Lomax przyśpieszył kroku, kierując się ku „sali tronowej”, gdzie Namaszczony załatwiał rano różne sprawy. Lomax jeszcze dwukrotnie skręcał za róg, aż znalazł się przed masywnymi, podwójnymi drzwiami. Przed nimi leżało czterech martwych ludzi.

Ominął ich po cichu, a potem lekko pchnął jedno z drzwi. Nie ustąpiły.

- Otwórz się - mruknął.

Drzwi otworzyły się tylko na tyle, by mógł przez nie przejść, a potem zamknęły się za nim.

Chłopiec, odwrócony plecami do drzwi, stał frontem do Namaszzonego i trzech jego najbliższych doradców, trzymając w każdej ręce pistolet dźwiękowy. Doradcy trzymali ręce nad głowami, kotokształtny drapieżca Namaszzonego leżał martwy na podłodze, Mojżesz Mahomet Chrystus siedział spokojnie

na tronie, spoglądając na Chłopca takim wzrokiem, jakby z jakiegoś powodu miał nad nim przewagę.

- To wcale nie było trudne - mówił Chłopiec. - Ona mi powiedziała, że dotarcie do ciebie będzie łatwe; powinienem jej wierzyć.

- Czy powiedziała ci, jak się wycofać? - zapytał Lomax. Chłopiec odwrócił się na pięcie stając przodem do niego.

- Przed tobą też mnie ostrzegła, Tancerzu Grobów - powiedział. - Mówiła, że jesteś tym, którego należy się strzec. - Uśmiechnął się szyderczo. - Nie mam pojęcia, dlaczego.

- Zapewne dlatego, że cię zabiję - odrzekł obojętnym tonem Lomax.

- Ja jeden będę dzisiaj zabijał - oświadczył Chłopiec. - Ponieważ byliśmy kiedyś przyjaciółmi, dam ci pięć sekund na wyniesienie się stąd.

- Nigdzie się nie wybieram - odpowiedział Lomax. - Teraz rzuć pistolety i może przeżyjesz dość długo, by opuścić ten kój w jednym kawałku.

Chłopiec roześmiał się.

- Ty masz wycelowany we mnie pistolet, ja w ciebie dwa. Patowa sytuacja.

- Wcale nie - stwierdził Lomax. - Ja jestem gotów umrzeć za Namaszzonego. Ty Chłopcze masz przed sobą całe życie. Czy jesteś gotów stracić je dla kobiety, która nie miała dość odwagi, by sama wykonać tę brudną robotę?

Tylko na wypadek, gdybym miał wyjść z tego żywy, chciałbym, abyś cholernie dokładnie przysłuchiwał się każdemu słowu, Mojżesz. Mogłem równie łatwo strzelić mu w plecy, ale Lodziarz powiedział, że mam być twoim bohaterem, mówił w duchu.

- Żaden z nas nie musi umierać - powiedział Chłopiec, a

Lomax nagle ujrzał to, czego szukał: pierwszy, nikły przebłysk niepewności.

- O?

- Możesz przyłączyć się do mnie.

- Czemu miałbym to robić?

- Aby znaleźć się po stronie wygrywającej - rzekł Chłopiec.

- A ile ona płaci?

- Niebotyczne kwoty - powiedział entuzjastycznie Chłopiec. - Nie uwierzyłbyś. - Odprężył się nieco. - I co powiesz na to, Tancerzu Grobów?

- Oto co powiem - odrzekł Lomax, strzelając z pistoletu laserowego, rzucając się na ziemię i przetaczając w lewo.

Chłopiec wydał zduszony charkot i wypalił do Lomaxa z pistoletów dźwiękowych, ale celował zbyt wysoko i zanim zdołał poprawić swój błąd, zwałił się na ziemię.

- To nie może się zdarzyć - wychrypiał Chłopiec, wypluwając całe masy krwi. - Ja nie mogę przegrać!

Lomax podszedł i kopnięciem odrzucił jego broń.

- Mówiłem ci, że powinieneś zostać na Szarej Chmurze, Chłopcze - stwierdził.

Chłopiec próbował odpowiedzieć, ale nie zdołał.

- Mogłeś być farmerem, wytwórcą czipów albo robić mnóstwo innych rzeczy. - Lomax przerwał i popatrzył na niego z góry. - Teraz jesteś już tylko kolejnym głupcem, który przybył na Granicę i wylądował w bezimiennym grobie.

Chłopiec przez jedną chwilę spojrzał na niego groźnym wzrokiem. A potem jego twarz przybrała wyraz przerażenia, próbował jeszcze coś powiedzieć, znów zakaszłał i umarł.

- Nic panu nie jest, Mój Panie? - zapytał Lomax zwracając się do Namaszczonego.

- Nic, dzięki - odpowiedział Namaszczony.

- Cieszę się, że przybyłem na czas.  
- Znał pan tego człowieka?  
- Tak, Mój Panie - odrzekł Lomax. - Nazywał siebie Sili-konowym Chłopcem. Jego prawdziwe imię to Neil Cayman. - Zamyślił się.

Nikt nie poniesie szkody, jeśli trochę naciągnę fakty, po-  
stanowił.

- Przyjąłem go, karmiłem, dawałem mu pieniądze. Użył  
ich na wszczepianie bioczipów w swe ciało, dzięki czemu został  
zabójcą o fenomenalnym refleksie. - Spojrzał w stronę Namasz-  
czonego. - A potem zdezerterował i poszedł pracować dla Pro-  
rokini.

- Zaproponował panu życie - zauważył Namaszczony.  
- Owszem.  
- Czemu nie przyjął pan jego oferty, wiedząc, że dzięki  
tym czipom jest on przeraźliwym przeciwnikiem, pan zaś ciągle  
jeszcze leczy się z ran?

W pierwszym odruchu Lomax chciał spojrzeć mu w oczy i  
powiedzieć: Ponieważ jest pan moim wodzem, Mój Panie, a ja  
jestem lojalny tylko wobec pana. Ale połapał się na czas.

Gdy tylko skończysz się z tego śmiać, możesz zdecydo-  
wać, by odrąbać mi głowę, panie Namaszczony, pomyślał.

Przemówił po dobrej chwili:

- To była kwestia wartościowania, Mój Panie.  
- Wartościowania? Lomax skinął głową.  
- Gdybym zgodził się przyłączyć do niego, przyznałbym  
zarówno przed nim jak przed sobą, że nie potrafię go pobić. I  
bez względu na to, jak wysoko zaszedłbym w organizacji Proro-  
kini, rozkazy zawsze otrzymywałbym od niego. - Skierował do  
Namaszczonego zadowolony z siebie uśmiech. - A zabijając go,  
udowodniłem panu zarówno moją wartość, jak lojalność. Nie

proszę o specjalną nagrodę za moje działania; ufam w pana mądrość i hojność.

Namaszczony skinął głową.

- Jest pan prostodusznym człowiekiem, panie Lomax, ale uczciwym i dzielnym. - Uśmiechnął się. - Otrzyma pan swoją nagrodę.

- Dziękuję, Mój Panie. Namaszczony westchnął głęboko.

- Chciałbym móc czytać w myślach Prorokini tak łatwo, jak czytam w twoich.

- Może spotkawszy ją, odkryje pan, że to jest możliwe - odrzekł Lomax.

- Może - powiedział Namaszczony. Zwrócił się do trójki swych doradców, którzy pozostali na swych miejscach, milczący i nieruchomi. - Wezwijcie moich dowódców wojskowych.

Trzej mężczyźni wypadli biegiem z pokoju i po paru minutach wrócili z sześcioma umundurowanymi żołnierzami.

- Mój Panie - zaczął największy z nich. - Nie miałem pojęcia. Ja...

- Cisza! - rozkazał Namaszczony. Mężczyzna wyprężył się na baczność.

- Podczas gdy ty i twoi podwładni robiliście Bóg jeden wie co, ten człowiek - wskazał Lomaxa - stanął u mojego boku i pomógł mi załatwić notorycznego mordercę, znanego jako Sili-konowy Chłopiec, tego samego mordercę, który wszedł do tej fortecy, jakby w ogóle nie była strzeżona!

No, dzięki za przyznanie, że ci pomogłem, pomyślał kwaśno Lomax.

- Ten człowiek - powtórzył, ponownie wskazując Lomaxa - i tylko on gotów był bronić mnie za cenę swego życia.

- To nie tak, Mój Panie! My wszyscy...

- Milcz! - warknął Namaszczony. - We wszystkich spr-

wach dotyczących bezpieczeństwa ten człowiek, Tancerz Grobów, teraz będzie mówił w moim imieniu i musicie go słuchać, tak jakbym to był ja sam. Czy to jasne?

Sześciu mężczyzn popatrzyło ponurym wzrokiem na Lomaxa. Wybełkotali, że przyjęli do wiadomości.

Wspaniale, pomyślał, sześciu następnych ludzi czekających na okazję, aby wbić mi nóż w plecy. Tego tylko mi brakowało.

- Żądam, abyście natychmiast przeprowadzili śledztwo i odkryli, w jaki sposób ten morderca przeniknął przez naszą obronę, w jaki sposób wkradł się do fortecy bronionej przez setki uzbrojonych ludzi, którzy rzekomo mieli mnie chronić przed takimi sytuacjami. - Namaszczony uśmiechnął się niewesoło. - Gdy raport znajdzie się w moich rękach, a oczekuję tego nie później niż do wieczora, wymierzmy sprawiedliwość tym, którzy na nią zasłużyli.

Miny mężczyzn wskazywały na pewien niepokój co do jego pojęcia sprawiedliwości.

- Pana ręka znów krwawi, panie Lomax - zauważył Namaszczony, zwracając się do Tancerza Grobów. - Proszę się nią zająć, a potem przyłączyć do mnie w jadalni. Mamy wiele spraw do omówienia.

- Mamy, Mój Panie? Namaszczony skinął głową.

- Nie zdołała go uchronić. Być może, biorąc wszystko pod uwagę, nie okaże się nadczłowiekiem. - Oczy mu zabłyśły. - Wkrótce może spełnić się pańskie życzenie, panie Lomax.

- Moje życzenie?

- Chce pan ją zabić, prawda?

- Tak, Mój Panie - powiedział Lomax, zastanawiając się równocześnie, w co się pakuje.

- Myślę, że gdy tylko pana ręka się zagoi, dam panu ta-

ką szansę.

- Dziękuję, Mój Panie - odrzekł Lomax kłaniając się i wycofując tyłem z sali.

No i jak mam się z tego wykaraskać, Lodziarzu? - zapytał w myślach.



### 25

Wróciwszy do swego pokoju Lomax zauważył, że jego lewa ręka rzeczywiście krwawi. Przeszedł do łazienki, by zmienić opatrunek, a potem sięgnął po fiolkę z tabletkami... i zatrzymał się.

Zamknął za sobą drzwi i dokładnie, cal po calu, zbadał łazienkę. Wreszcie, stwierdziwszy, że nie ma tam wbudowanych w ściany czy sufit kamer bezpieczeństwa, wziął tabletkę i umieścił pojemnik w kaburze, tuż pod swym pistoletem laserowym.

Następnie opuścił łazienkę, podszedł do drzwi sypialni i polecił im się otworzyć. Tym razem było czterech strażników, raczej dla jego bezpieczeństwa niż dlatego, by Namaszczony mu nie ufał.

- Muszę pojechać do mego statku - zawiadomił.

- Czy coś jest nie w porządku, sir? - zapytał jeden ze strażników.

- Zostawiłem tam resztę moich tabletek. Przeciwwzapalnych i przeciwbólowych.

- Mogę kogoś posłać, by je panu przywiózł, sir - zaproponował strażnik.

Lomax potrząsnął głową.

- Mój statek ma bardzo skomplikowany system zabezpieczeń. Twój człowiek wysadziłby go w powietrze w tym samym momencie, gdy próbowałby otworzyć śluzę - stwierdził. - Czy możesz mi załatwić przejazd? Wątpię, bym sam to potrafił.

Co może uśmierzyć większość twych wątpliwości? - zastanawiał się gorączkowo.

- Oczywiście, sir - odpowiedział strażnik. - Tylko zamelduję o tym Namaszczonemu i wyjaśnię mu, czemu spóźni się pan

na spo- I tkanie.

- Zgoda - rzekł Lomax.

Strażnik odszedł parę stóp, połączył się z Namaszczonym przez komunikator, szepnął coś, słuchał przez chwilę, po czym wrócił do! Lomaxa.

- Wszystko załatwione, sir - oświadczył. - Samochód będzie czekał na pana przy głównym wejściu. Namaszczony życzy sobie, by po powrocie przyszedł pan do niego na lunch.

- Dziękuję - powiedział Lomax, kierując się korytarzem do wyjścia.

W chwilę później mknął przez spaloną słońcem pustynię, dziwiąc się, jaka rasa mieszkała w takim miejscu. Gdy tylko okrążyli osłaniającą fortecę gigantyczną wydme, ukazał się kosmoport. Ale światło i perspektywa płatały figle jego zdolności oceniania dystansu i by dotrzeć do jego statku samochód potrzebował o pięć minut więcej, niż Lomax się spodziewał.

- Sir, będę czekał na pana dokładnie w tym miejscu - powiedział kierowca.

- To nie jest konieczne - odparł Lomax. - Mogę spędzić tam trochę czasu.

- Tylko tyle, by zabrać nieco tabletek, sir?

- Chcę naładować mój pistolet laserowy.

- W fortecy mamy ładowniki, sir.

- Ufam tylko własnemu - odpowiedział Lomax. Kierowca wzruszył ramionami.

- Jak pan sobie życzy, sir.

- Może to potrwać około pół godziny, a ja nie chcę, abyś przegrzewał się ani ty, ani pojazd - rzekł Lomax. - Może pójdziesz do wieży kontrolnej i napijesz się czegoś zimnego? Uważaj na statek; gdy zobaczysz, że wychodzę ze śluzy podjedź i zabierz mnie.

- Jak pan sobie życzy, sir - powtórzył kierowca, już czując

się nieswojo od gorącego powietrza, wlewającego się przez otwarte drzwi. Gdy Lomax otworzył śluzę swego statku i przeszedł przez nią, wóz pomknął do wieży. Lomax zamknął wejście za sobą.

Wewnątrz statku panowało dokuczliwe gorąco. Tancerz natychmiast włączył klimatyzację i wkrótce temperatura opadła do właściwego poziomu. Zaczął ładować zasilacz swego pistoletu; nie byłoby dobrze, gdyby go przyłapano tegoż wieczoru na ładowaniu w fortecy. Następnie usiadł w fotelu pilota, uruchomił radio, zamaskował swój sygnał najlepiej jak potrafił i nadał wiadomość podprzestrzenną zabezpieczającym osobistym szyfrem Lodziarza.

W chwilę później usłyszał głos, zakłócony trzaskami statycznymi.

- Tu Lodziarz.

- Mówi Lomax.

- Co się dzieje?

- Chłopiec nie żyje, Namaszczony mnie kocha, a przy następnym naszym spotkaniu załatwię ci rękę.

Lodziarz zachichotał.

- Musiałem tak zrobić, abyś na wstępie nie stracił wiarygodności. Mam nadzieję, że nie wyrządziłem ci żadnych trwałych szkód.

- Przeżyję - odpowiedział Lomax. - Przynajmniej nie umrę z powodu tej ręki - poprawił. - Ale może to spowodować Namaszczony, jeśli dam mu zbyt wiele niewłaściwych odpowiedzi.

- Masz kłopoty? - zapytał Lodziarz.

- Jeszcze nie, ale mogą mi się zwalić na głowę w każdej chwili. Działam tu na ślepo. Nie wiem, czego ty chcesz, ja zaś mówię mu o Prorokini akurat tyle, by on myślał, że wiem więcej.

- Rozumiem - powiedział Lodziarz. W przekazie nastąpiła krótka pauza. - Dobrze. Przypuszczam, że czas się ruszyć.

- Dokąd się ruszyć? - spytał Lomax.

- Figura retoryczna - odrzekł Lodziarz. - To ja muszę się ruszyć. Ty zostajesz tam, gdzie jesteś.

- Co chcesz, abym zrobił?

- W jakiś sposób musisz przekonać Namaszczonego, by zaatakował planetę zwaną Mozart i to zaatakował wielkimi siłami.

- Mozart? - powtórzył Lomax. - Nigdy o niej nie słyszałem.

- To trzecia planeta w układzie Symfonii. Alfa Montana III na twoich mapach.

- Co szczególnego jest w tej planecie?

- Tam właśnie jest Penelopa Bailey.

- Naprawdę, czy tylko chcemy, aby tak uważał? - Jest tam naprawdę - odpowiedział Lodziarz. - I chcesz, by on zaatakował wszystkimi siłami?

- Zgadza się.

- Włącznie z atomówkami i chemikaliami?

- Ze wszystkim, co posiada - rzekł Lodziarz. - Nawet antymaterią, jeśli ją ma.

- Wątpię w to - odpowiedział Lomax. - Ale nawet bez tego z Mozarta wiele nie zostanie, gdy on uderzy.

- Nie oszukuj się - polecił Lodziarz. - Nie będzie w stanie spowodować, by spadł jej włos z głowy.

Lomax znów zmarszczył brwi.

- Więc o co w tym wszystkim chodzi?

- Muszę się dostać na tę planetę.

- Planujesz użycie armii złożonej z dwustu milionów ludzi dla odwrócenia uwagi? - wykrzyknął z niedowierzaniem Lomax.

- W pewnym sensie. Muszą tak jej zająć czas, bym mógł wylądować.

- Chwileczkę, Lodziarzu - powiedział Lomax. - Jeśli ona jest taka, jak mówisz, będzie wiedziała, że masz wylądować. Chcę przez to powiedzieć, że ona potrafi widzieć inne rzeczy oprócz bitwy.

- Oczywiście potrafi. Ale bezpośrednia groźba tak ją absorbuje, że będzie musiała, że tak powiem, odłożyć mnie na półkę i zająć się mną później.

- A co się stanie, gdy ona już się tobą zajmie?

- To moje zmartwienie - stwierdził Lodziarz. - Ty musisz postarać się, aby Namaszczony zaatakował. Zabijeś Chłopca, a on myśli, że zabijeś i mnie. Daj mu dostatecznie dobry powód do ataku, on zaś powinien ufać ci na tyle, by zrobić, co mu powiesz.

- Nie jest to najufniejsza dusza, jaką chciałbyś spotkać - rzekł z powątpiewaniem Lomax.

- No to pomyśl o zrobieniu czegoś, aby wreszcie zaufał ci bezwarunkowo, i postaraj się, aby to wypaliło.

- Zrobię wszystko, co będę mógł.

- Twoje wszystko było jak dotąd całkiem dobre - zauważył Lodziarz. - O... muszę jeszcze coś wiedzieć.

- Co takiego?

- Czy jego statki mają jakieś szczególne oznakowanie wojskowe? Nie chcę, by mnie rozwalily w proch, zanim dotrę do planety.

- Chyba nie. - Zastanowił się przez chwilę nad pytaniem. - Nie, jestem pewien, że nie mają. Skoro planujesz atak na Demokrację, nie reklamujesz swej obecności przyklejając godła na wszystkich twych statkach.

- Wolalbym, żebyś się nie mylił.

- Jeśli dowiem się, że jest przeciwnie, postaram się ciebie zawiadomić - obiecał Lomax. - Czy radio na twym statku od-

powiada na ten sam szyfr zabezpieczenia?

- Tak.

- Bardzo dobrze. Dam ci znać, jeśli myślę się co do oznakowania.

- Jak szybko według ciebie zdołasz spowodować, by zaatakował? - zapytał Lodziarz. - Jesteście znacznie bliżej Mozarta niż ja. Muszę mieć pewność, że nie zjawię się tam za późno.

- Jego siły zbrojne rozrzucone są po całej Demokracji i Wewnętrznej Granicy - powiedział Lomax. - Gdyby wydał rozkaz w tej chwili, zgromadzenie się i utworzenie jakiejś spójnej formacji zabierze im prawdopodobnie kilka miesięcy... On zaś nie będzie uważał, że ma aż tyle czasu - skonstatował. - Domyślam się, że ściągnie wszystko, co się da, z pobliskich układów gwiazdnych; z pięć tysięcy statków, może trzy do pięciu milionów ludzi i zaatakuje w ciągu tygodnia.

- W takim razie powinienem wystartować za parę dni i po prostu czekać o kilka układów dalej, póki moje sensory nie wykryją jego floty.

- Nie śpiesz się tak - przestrzegł Lomax. - Muszę jeszcze przekonać go, by zaatakował. To nie jest takie łatwe, jak sobie wyobrażasz. Nie jestem tak szybki, jak ty. Za każdym razem, gdy zaczynam naciągać prawdę, on robi się podejrzliwy.

- No to nic mu nie mów - odparł pośpiesznie Lodziarz.

- O czym ty mówisz?

- Niech sam odkryje prawdę - odpowiedział Lodziarz. - To znaczy tę prawdę, w którą chcemy, by uwierzył.

Lomax spoglądał na pusty ekran wizyjny nad panelem komputera, pogrążony w myślach.

- Halo? - powiedział Lodziarz. - Halo? Jesteś tam jeszcze?

- Taak, jestem tu - odrzekł Lomax.

- Nie nadawałeś przez blisko dwie minuty - zauważył

Lodziarz. - Myślałem, że straciliśmy łączność.

- Nasunął mi się pewien pomysł - odrzekł Lomax. - Jaki?

- Myślę, że potrafię sprawić, by Namaszczony to kupił.

Ale będę potrzebował twojej pomocy.

- Pomogę ci na wszelkie dostępne mi sposoby - odparł

Lodziarz. - Ale nie zapominaj: Namaszczony sądzi, że nie żyję.

- Wiem - zapewnił Lomax. - Czy nagrywasz tę rozmowę?

- Tak.

- W porządku. - Wgrał kod dziewięciocłonowy. - Odebrałeś to?

- Tak. Co to takiego?

- To jest kod dostępu do człowieka nazwiskiem Milo Korbekian na Olympusie.

- Okay, co mam z tym zrobić? - spytał Lodziarz.

- Stwórz fałszywe nazwisko i prześlij mu wiadomość, co do której nie będzie można wyśledzić, że pochodzi z Ostatniej Szansy ani z twego statku.

- Nie ma sprawy - stwierdził Lodziarz. - Jaką wiadomość?

- Powiedz mu - rzekł Lomax z trudem tłumiąc uśmiech - że organizacja militarna Prorokini nie będzie gotowa do wojny jeszcze przez miesiąc albo dwa, że ona sama przebywa na Mozarcie i jest względnie bezbronna. Zadaniem Korbekiana zaś jest zamówienie zabójców, by zamordowali paru ludzi, w tym mnie, po to, aby odwrócić uwagę Namaszczonego od bezbronności Prorokini.

- Uważasz, że to załatwi sprawę?

- Tak myślę - rzekł Lomax. - On wszędzie węszy spiski, więc czemu nie dać mu jeszcze jednego? Korbekian to tylko pośrednik; nie ma powodu, by przypuszczać, że nie spróbuje wygrywać wzajemnie dwóch antagonistów, dostarczając za opłatą zabójców obu stronom. - Lomax zastanawiał się chwilę. -

Tak, im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem pewny, że jest to bujda, którą Namaszczony kupi. A jeśli kupi to, kupi też wiadomość, że Prorokini jest bezbronna. Nie trzeba będzie go specjalnie przekonywać, by uderzył, nim Penelopa zbuduje swą siłę zbrojną.

- Co on o niej wie? - Niezbyt wiele.

- Dość, by zdawać sobie sprawę, że ona nie ma żadnej armii ani jej nie potrzebuje?

- To byłoby dla niego nie do pomyślenia - odpowiedział Lomax. - Do diabła, wiem o niej wszystko i z trudnością przyszło mi w to uwierzyć.

- W porządku - orzekł Lodziarz. - Ty miałeś pracowity dzień, a nie chcielibyśmy dostarczać mu zbyt wielu mocnych wrażeń naraz. Wyślę wiadomość dokładnie za dwa standardowe dni od tej chwili.

- W porządku.

- Tylko jedna rada, Tancerzu Grobów - dodał Lodziarz. - Jaka?

- W każdej sytuacji znajdzie się ktoś, kto przeżył, by opowiedzieć o wydarzeniach. Jeśli chcesz być kimś takim, postaraj się nie znajdować w atakującej flocie.

Lodziarz przerwał połączenie.



**26**

Gdy Lomax wrócił z kosmoportu, czekał na niego Namaszczony.

Lomax wszedł do jadalni, stwierdził, że talerz z owocami już dla niego postawiono, i szybko zajął miejsce. Ze szklanki wypił wielki łyk wody, a potem zaczął jeść plastry jakiegoś cytrusa.

- Zabijanie ludzi dobrze wpływa na pana apetyt - zauważył sucho Namaszczony.

Lomax uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie, Mój Panie. Ale przebywanie na dworze w tym upale powoduje, że chcę uzupełnić poziom płynów w organizmie.

- Czy pamiętał pan o tabletkach soli?

- Nie - powiedział zaskoczony Lomax. - Zupełnie o nich zapomniałem.

- Dopóki przebywa pan na Nowej Gobi, musi pan zawsze nosić je ze sobą - powiedział Namaszczony. - Stał się pan jednym z moich najcenniejszych ludzi. Nie zniósłbym myśli o tym, że utraciłbym pana z powodu udaru cieplnego.

- Ja też bym tego nie zniósł, Mój Panie - odrzekł Lomax. - Z pewnością postaram się już nigdy nie wychodzić bez tabletek.

- Czy znalazł pan swe leki na pokładzie statku? - kontynuował Namaszczony.

Lomax skinął głową.

- I doładowałem mój zasilacz.

- Nie sądzę, aby pańska broń wyczerpała tak wiele energii w czasie dzisiejszej porannej zwady.

- Nie wyczerpała, Mój Panie - odpowiedział Lomax - ale gdy broń jest narzędziem pracy zapewniającym utrzymanie, dba się o nią tak jak matka o dziecko. - Zmusił się do uśmiechu.

- Mogę przeżyć zapomniawszy o tabletkach solnych... Ale jeśli moja broń kiedykolwiek mnie zawiedzie, jest mało prawdopodobne, abym miał drugą szansę.

- Bardzo rozsądne - oświadczył Namaszczony. - Pochwalam. Lomax nie wiedział, co teraz powiedzieć, zamilkł więc i zaczął się  
jedzeniem.

- Proszę mi powiedzieć, panie Lomax - przerwał po chwili milczenia Namaszczony - jak według pana Silikonowy Chłopiec zdołał przeniknąć do fortecy?

- Musiał mieć wewnątrz współlnika - skłamał natychmiast Lomax.

- Ja też doszedłem do takiego wniosku. Czy ma pan jakieś sugestie odnośnie do tego, kto to mógł być? Lomax potrząsnął głową.

- Nie jestem tu dostatecznie długo, Mój Panie. Ale nie mam żadnych wątpliwości, że w organizacji tych rozmiarów musi być pełno zdrajców i podwójnych agentów.

- Może kilku - zgodził się Namaszczony. - Ale pełno? Nie sądzę, panie Lomax.

- Z przykrością muszę oznajmić, że jestem innego zdania, Mój Panie - rzekł Lomax - ale gdy jeden człowiek jest tak potężny i bogaty jak pan, to wprost zaprasza do, powiedzmy, nie-  
lojalności.

- Jestem Namaszczonym. Moi ludzie idą za mną dla wiary. Doczesne nagrody mają dla nich drugorzędne znaczenie.

- Nie są dla nich bardziej drugorzędne, niż dla mnie, Mój Panie - oświadczył Lomax. - Jedyne różnica jest taka, że ja się z tym nie kryję. - Spojrzał poprzez stół na białego odzianego, ascetycznego mężczyznę. - Weźmy na przykład pańskiego człowieka na Olympusie.

- Milo Korbekian służy mi lojalnie od siedmiu lat - odpowiedział Namaszczony.

- Milo Korbekian służył panu przez siedem lat - uściślił Lomax.

- Czy próbuje pan kwestionować jego lojalność? - zapytał Namaszczony.

- Powiedzmy, że próbuję ją zdefiniować - odrzekł Lomax.

- Jestem pewien, że jest lojalny... wobec Milo Korbekiana. Oraz wobec pani Korbekian, jeśli taka istnieje. A także wobec zasad kapitalizmu. Ale wiem z całą pewnością, że Korbekian przyjmował zlecenia od osób innych niż pan i organizował różne zabójstwa, o których panu nic nie wiadomo. - Wzruszył ramionami. - To nie oznacza, że jest nielojalny, Mój Panie. Według wszelkiego prawdopodobieństwa inne jego umowy nie mają żadnego wpływu na pana czy pańskie plany.

- Skąd pan wie, że przyjmował inne zlecenia? - zapytał Namaszczony.

- Mój zawód polega na tym, by wiedzieć - stwierdził Lomax. - Należę do tego gatunku ludzi, jakich on wynajmuje.

- Nie wierzę panu, panie Lomax.

- To pańskie prawo, Mój Panie - powiedział Lomax ze spokojną miną.

Namaszczony długo spoglądał na niego twardym wzrokiem przez stół.

- Udowodnij to - powiedział wreszcie.

- Jak? - zapytał Lomax. - To będzie tylko moje słowo przeciw jego. Przypuszczam, że może pan monitorować jego przychodzące i wychodzące wiadomości, jeśli zechce pan zadać sobie taki trud.

- Nie zechcę - powiedział Namaszczony. - Temat jest wyczerpany.

Ale Lomax dostrzegł na jego twarzy cień wątpliwości i

wiedział, że temat jest daleki od wyczerpania. Zadowolony zjadł resztę owoców i czas przy następnych daniach spędził na szalonych spekulacjach, którym strażnikom zapłacono, by przytknęli oczy na obecność Chłopca tego ranka. Następnie przyszła wiadomość o znalezieniu jeszcze jednego ciała; jakiegoś nieszczęsnego dozorca, którego Chłopiec zabił najpierw, a zwłoki ukrył. Namaszczony, nagle ogarnięty wściekłością, poszedł obejrzeć trupa i przesłuchać swych strażników, Lomax natomiast wrócił do swego pokoju i większość popołudnia zajęło mu udawanie snu ku pożytkowi wszystkich niewidzialnych obserwatorów.

Przez następne dwa dni nie działo się nic szczególnego. Lomax, kiedy tylko mógł, pozostawał w swej kwaterze, podczas posiłków odzywał się jak najmniej, zajmował się badaniem bezpieczeństwa fortecy, potajemnie gimnastykował swą coraz silniejszą lewą rękę, publicznie zaś pielęgnował ją troskliwie i nawet zaczęły mu smakować czarne owce.

W dwa dni po rozmowie z Lodziarzem, późnym popołudniem Lomax znów został wezwany do sali tronowej, gdzie Mojżesz Mahomet Chrystus z triumfalną miną siedział samotnie na swym siedzisku.

- Miał pan rację, panie Lomax - oznajmił - tak jak zawsze.

- Mój Panie? - zapytał Lomax, ze wszystkich sił starając się wyglądać na zmieszanego.

- Milo Korbekian - powiedział Namaszczony.

- O co chodzi?

- Był również na służbie Prorokini, jak sam pan to podsunął.

- Wiedziałem, że pracuje jeszcze dla kogoś, Mój Panie - odpowiedział Lomax - ale nigdy nie mówiłem, że jest to Proro-

kini. Przypuszczam, że chce pan, abym go wyeliminował.

- To już zostało dokonane - oświadczył Namaszczony.

- Fatalnie - rzekł Lomax. - Mogłem wydusić z niego jakieś informacje na temat Prorokini.

- Jestem w posiadaniu wszelkich potrzebnych mi informacji. - Tak?

Namaszczony w podnieceniu pochylił się do przodu na swym tronie, w jego czarnych jak węgiel oczach błyszczał triumf.

- Ukrywa się na planecie zwanej Mozart w układzie Alfya Montana... i jest praktycznie bezbronna!

- Jest pan tego pewien? - zapytał Lomax.

- Nie ma najmniejszej wątpliwości! - wykrzyknął Namaszczony. - Silikonowy Chłopiec został tu przysłany, by odwrócić moją uwagę na czas potrzebny jej do zorganizowania obrony. A z informacji jakie obecnie posiadam, wynika z absolutną pewnością, że Korbekian wynajął jeszcze wielu ludzi, by pośród nas strach i zamieszanie, abyśmy szukali wewnątrz zdrajców i spiskowców, zamiast zwrócić oczy na Mozarta.

- Jeśli pana informacja jest prawdziwa - powiedział ostrożnie Lomax - i jeśli ona rzeczywiście jest bezbronna, to naszym następnym logicznym krokiem byłoby...

- Atakować! - krzyknął Namaszczony, kończąc wypowiedź Lomaxa. - Wezwałem tu moje siły zbrojne i wydałem rozkazy dowódcom: za trzy dni atakujemy Mozarta!

- Czy potrafi pan tak szybko dokonać mobilizacji, Mój Panie? - zainteresował się Lomax, po raz kolejny zdumiony precyzją ocen Lodziarza.

- Nie wszyscy moi wyznawcy są wojownikami i nie wszystkich, którzy nimi są, mam do dyspozycji - odpowiedział Namaszczony. - Ale zaatakujemy potężną siłą, czterema milionami mężczyzn i kobiet na prawie ośmiu tysiącach statków, wy-

posażonych do wojny.

- Czy mogę coś zaproponować, Mój Panie?

- Z pewnością.

- Nie przypuszczam, by ktokolwiek z nas znał pełny zakres zdolności Prorokini, jeśli w ogóle posiada ona jakieś zdolności - rzekł Lomax. - Ale skoro mamy wystawić tak wielu naszych ludzi na potencjalne niebezpieczeństwo, to uważam, że powinniśmy uderzyć na Mozarta wszystkim, co mamy. Trzeba skończyć z istnieniem tej planety.

- Najdokładniej to samo uważam - stwierdził Namaszczony kiwając głową na znak zgody. - Nie będziemy szczeni żadnych wydatków, powstrzymywać się od użycia jakiegokolwiek broni ani okazywać żadnej litości.

- Dobrze - rzekł zdecydowanie Lomax. - Myślę, że podjął pan mądrą decyzję, Mój Panie. - Uśmiechnął się. - Dziś Prorokini, jutro Demokracja.

- Niech się tak stanie - zaintonował Namaszczony. - A pan, panie Lomax, będzie u mego boku, by dzielić się ze mną łupami.

- Nie sądzę, by z Mozarta pozostało coś, czym można by się dzielić.

- Będzie chwala zwycięstwa nad moim wrogiem, zwycięstwa, w którym odegrał pan kluczową rolę.

- Robię tylko to, za co pan mi płaci, Mój Panie - stwierdził Lomax. - Nic więcej.

- Proszę nie być tak skromnym, panie Lomax - powiedział Namaszczony. - Gdyby nie pan, Silikonowy Chłopiec mógłby mnie zabić. I gdyby nie wyraził pan swych wątpliwości co do Korbekiana, mógłbym nigdy nie dowiedzieć się, gdzie chowa się Prorokini, do czasu, kiedy będzie gotowa spotkać się ze mną w bitwie. Zaiste jest pan jednym z architektów naszego nadcho-

dzącego zwycięstwa.

- Czuję się zaszczycony, że zechciał pan tak pomyśleć, Mój Panie - odrzekł Lomax.

- I oczywiście - kontynuował wspaniałomyślnie Namaszczony - byłoby krzywdzące pozbawić pana uczestnictwa w tej Świętej Wojnie. Postanowiłem dać panu jego własny statek pod dowództwo.

- Mój własny statek? - powtórzył wstrząśnięty Lomax. Namaszczony uśmiechnął się.

- Początkowo miałem co do pana wątpliwości, to muszę przyznać. Ale swoimi działaniami przewyciężył pan je wszystkie. W ten sposób wynagradzam pana.

- Jest pan całkiem pewien, Mój Panie? - zapytał Lomax. - Chciałem powiedzieć, że zabiłem wielu ludzi, ale nigdy nie dowodziłem statkiem ani nie prowadziłem ludzi do boju.

- Jedno i drugie zrobi pan po raz pierwszy, ale nie ostatni - oświadczył Namaszczony.

- Ale...

- Panie Lomax, dość mam pańskiej fałszywej skromności - rzekł Namaszczony nie przestając się uśmiechać. - To do prawdy panu nie przystoi. - Podniósł się z miejsca. - Rozmowa skończona.

Zmartwiony Lomax wrócił do pokoju, zastanawiając się, co uśmiech Namaszczonego właściwie oznaczał.

# **CZĘŚĆ 5**

# **KSIĘGA PROROKINI**



Penelopa Bailey stała przy drewnianej ławce, obok stawu za domem, z błędnym wzrokiem ślepo skierowanym w niebo, widząc to, czego prócz niej nikt na Mozarcie nie mógł widzieć, czego prócz kilku skomplikowanych instrumentów nic nie mogło wykryć. - Jesteś głupcem, Mojżeszu Mahomecie Chrystusie - mruknęła. - Czy nasze poprzednie starcia niczego cię nie nauczyły? Czy myślisz, że moja władza ogranicza się do niszczenia twoich kościołów? Jest jeszcze dość czasu, by się wycofać... ale ty się nie zatrzymasz, prawda? Jakież szaleństwo cię ogarnęło, jakie demony sprowokowały do zaatakowania mnie, gdy jedynym możliwym wynikiem jest zniszczenie cię?

Westchnęła głęboko, a potem weszła do domu, by zrobić sobie filiżankę herbaty. Flota jeszcze nie ustawiła się w formacji, jakiej sobie życzyła i wiedziała, że ma godzinę lub więcej, by się przygotować. Usiadła przy małym stolczku w kuchni, dodała trochę cytryny do herbaty, zamieszała ją z roztargnieniem, ciągle wyglądając przez okno.

Nadal istniały czynniki, wymagające uporządkowania, alternatywy do odnalezienia, działania, które należało rozważyć.

W sześciu statkach Namaszczonego zepsuły się silniki; czy powinna je zniszczyć, czy zostawić przy życiu, aby ktoś opowiedział dzieje klęski, rozpowszechnić wieści o jej potędze po całej Galaktyce? Był też inny statek, który, jak przewidywała, nie dołączy się do formacji. Był on szczególny, choć jeszcze nie potrafiła określić, dlaczego.

Następnie zwróciła uwagę na Demokrację. Plan wymagał nieustannych modyfikacji, ciągłego monitorowania. Ten mężczyzna musi umrzeć, ta kobieta nie. Gospodarka tej plane-

ty musi się załamać, tamten samotny górnik musi odkryć jedyne na swej planecie złoża diamentów. Kurczyła się, przyjmowała pozy, przybierała postawy, robiła wszystko co konieczne, by wywołać pożądane zdarzenia. A potem zaczęła odczytywać permutacje tych zdarzeń, bo każde z nich zmieniało milion możliwych wariantów przyszłości i stawał przed nią kolejny komplet wyborów, nowy nawal alternatyw, a wszystkie je należało odczytać, przeanalizować i ekstrapolować.

Skupiła się na planowaniu przez jakieś czterdzieści minut. Następnie, zadowolona, że wszystko będzie rozwijało się należycie przez następny dzień, zrobiła sobie kolejną filiżankę herbaty i raz jeszcze wyszła nad staw. Znów spojrzała błędnym wzrokiem w niebo.

- Wkrótce, Mojżeszu Mahomecie Chrystusie - mruknęła. - Wkrótce.

Dopiła herbatę i odstawiła filiżankę ze spodkiem na drewnianą ławkę.

- Dałabym ci jeszcze sześć lat - powiedziała cicho, patrząc w niebo. - W końcu pobitabym cię w sektorze Kłosa, ale jeszcze przez sześć lat cieszyłbyś się władzą i autorytetem. Teraz będę musiała odbudować twoją organizację, będę wcześniej musiała się ukazać. Dostosuję się i zatriumfuję, lecz nie potrafię zgłębić, czemu postanowiłeś niepotrzebnie stracić życie. Gdybyśmy spotkali się przy Kłosie, nie dałabym ci innej alternatywy, jak walczyć lub uciekać, a ponieważ nie możesz stracić twarzy wobec swych wyznawców, walczyłbyś. - Zmarszczyła brwi. - Ale ta dzisiejsza konfrontacja nie ma żadnego sensu, nie istnieje powód, dla którego miałbyś umierać na Wewnętrznej Granicy. Muszę się dowiedzieć, co popchnęło cię do tak nieszczęśliwego zakończenia, bo stało się to prawdopodobnie dopiero tydzień temu, a pewnie dziś rano.

A ponieważ nie miała daru odczytywania przeszłości, znów zwróciła swą uwagę ku przyszłości, ku stojącej przed nią nieskończonej liczbie wariantów przyszłości, szukając w nich klucza otwierającego niedawną przeszłość, ustalenia przyczyny samobójczej decyzji jej przeciwnika.

I nie upłynęło parę minut, gdy ją znalazła.

- Oczywiście - powiedziała, nie czując zaskoczenia. - To musiałeś być ty.

Zamknęła oczy, by lepiej widzieć przyszłość.

- Szybko się uczysz, Carlosie Mendozo - powiedziała z półuśmiechem. - Nie zbliżysz się, póki nie zacznie się walka, ja zaś w tym czasie będę zbyt zajęta neutralizowaniem broni ostatecznych, by się tobą zajmować. Stanowią bezpośrednie zagrożenie. Natomiast tobie będę musiała pozwolić wyładować, mimo że jesteś bardziej niebezpieczny.

Skoncentrowała się mocniej, przesiewając przyszłości.

- Wybrałeś swą pozycję przewidująco i inteligentnie - kontynuowała. - Żaden meteor, żadna asteroida, żaden szczątek kosmiczny nie może do ciebie dotrzeć, zanim zacznie się bitwa. A przecież - powiedziała - być może potrafię ci pokazać, że mam więcej broni w moim arsenale, niż nawet ty potrafisz przewidzieć.

Nagle uśmiechnęła się.

- Stymulator serca? Środki przeciwzakrzepowe? Jesteś przygotowany, prawda? Doskonale. Nie umrzesz na zawał serca ani udar mózgu, dopóki nie staniesz przede mną. Pewnych rzeczy nawet ja nie mogę zmienić. W oczywisty sposób postanowiono w Księdze Losu, że muszę stawić ci czoło po raz ostatni.

I nagle jej twarz wykrzywiła wściekłość.

- Nigdy nie starałam się zrobić z ciebie mego wroga. Dwa razy mogłam cię zabić i dwa razy pozwoliłam ci żyć. Mogłam

zniszczyć Ostatnią Szansę w mgnieniu oka, a przecież tego nie zrobiłam. A ty nadal mnie gonisz, nadal chcesz mnie zniszczyć. To przez ciebie stałam się uciekinierką wśród mego własnego ludu, przez ciebie spędziłam ostatnie dwadzieścia lat w ukryciu lub w więzieniu. To przez ciebie jestem nieszczęśliwa i dziś, gdy uczynię ze zbliżającą się flotą to, co muszę, stawię ci czoło po raz ostatni.

Zamilkła, starając się opanować emocje.

- Okażę ci nie więcej miłosierdzia, niż ty mnie - wyszeptwała. - Mam coś do zrobienia w Galaktyce, wielkie dzieła, dzieła przekraczające twoje wyobrażenia. Nigdy więcej mi nie przeszkodzisz.

Raz jeszcze spojrzała w niebo, nie tam, gdzie zgromadziła się flota, lecz gdzie samotny statek, odległy jeszcze o lata świetlne, mknął w kierunku Mozarta.

- Nauczysz się, co to znaczy przeciwstawiać się mnie, teraz, gdy moje siły dojrzały - obiecała. - Nauczysz się, czemu ludzie boją się ciemności, a sama śmierć może być aktem miłosierdzia. Przygotuj się, Carlosie Mendozo, bo to ostatni dzień twego życia.

Lomax wezwał swego zastępcę na mostek statku.

- Sir? - zapytał mężczyzna.

- Mamy tu poważny problem - oświadczył Tancerz.

- Problem, sir? Lomax skinął głową.

- Jedna z cholernych bomb sama się uzbroiła. Stanął z boku, by mężczyzna mógł przyjrzeć się tablicy sterowniczej, a szczególnie migającemu czerwonemu światłu.

- Czy może to być wadliwe działanie tablicy, sir?

- Już o tym pomyślałem - odpowiedział Lomax. - Tablica działa bezbłędnie.

- Proszę mi pozwolić sprawdzić samą bombę, sir - powiedział zastępca. - Może nadaje fałszywy sygnał.

- Zrób to - rzekł Lomax. - I bądź dyskretny. Nie ma sensu niepokoić całej załogi, póki nie będziemy wiedzieć, z czym mamy do czynienia.

Mężczyzna skinął głową i oddalił się w stronę luku bombowego. Po jakichś czterech minutach powrócił. - Jest uzbrojona, sir - zameldował. - Jak sądzisz, ile mamy czasu nim wybuchnie?

- Nie wiem, sir. Może dziesięć minut, może dziesięć godzin. Nigdy przedtem nie woziliśmy tego typu broni.

- Dla mnie też jest nowy - poskarżył się Lomax. - Do diabła, cały ten statek jest nowy dla mnie. Jestem tylko rewolwerowcem, którego polubił Namaszczony.

- Ocalił pan jego życie, sir - zaprotestował mężczyzna z namiętnością fanatyka. - Jesteśmy przygotowani do wykonania wszelkich rozkazów, które pan wyda.

- Chodzi o to, że nie wiem, jakie rozkazy powinno się wy-

dać w tej sytuacji - odparł ponurym tonem Lomax. - Przypuszczam, że powinniśmy bombę wyrzucić za burtę, ale wedle komputera jest ona w takiej pozycji, że musielibyśmy wyrzucić cały ładunek. Za nic nie chciałbym tego robić. Atakujemy z mniejszymi siłami niż bym zalecał, gdyby czas nie był istotnym czynnikiem. Prorokini jest najgroźniejszym przeciwnikiem w Galaktyce; możemy potrzebować każdej broni.

- Istnieje inna możliwość, sir.

Zastanawiałem się, kiedy ci to przyjdzie do głowy pomyślał Lomax.

- Jaka mianowicie?

- Możemy załogę załadować do ładownika i pozwolić jej przedostać się na planetę za głównym korpusem floty, natomiast pan i ja zostaniemy na pokładzie i spróbujemy dezaktywować bombę.

- Znakomita propozycja! - odpowiedział Lomax. - Daj im znać. Chcę, by wszyscy opuścili statek w ciągu piętnastu minut. Z tobą włącznie.

- Proszę o zezwolenie pozostania na pokładzie, sir.

- Zezwolenia odmówiono.

- Nalegam, sir. Jeden z nas musi zejść do luku bombowego i spróbować dezaktywować bombę, a drugi sterować statkiem.

- Włączę autopilota.

- To może działać w dalekim kosmosie, sir, ale jesteśmy w strefie działań wojennych. Może pan zostać zaatakowany.

- Wątpię - rzekł Lomax.

- Sam pan stwierdził, że ona jest najgroźniejszym przeciwnikiem, jakiego kiedykolwiek napotkamy, sir.

Lomax zrozumiał, że dalsza sprzeczka może wywołać podejrzenia zastępcy. Co więcej, było sprawą zasadniczą, by po-

zbyt się załogi ze statku jak najszybciej, nim ktoś odkryje, co się naprawdę dzieje.

- Zgoda - powiedział. - Możesz zostać. Teraz zajmij się ewakuacją i zamelduj się u mnie, gdy zostanie ukończona. Ja będę nadal próbował stąd dezaktywować bombę.

Mężczyzna zasalutował i odszedł, Lomax zaś zapalił cygaretkę i udawał, że pracuje przy tablicy kontrolnej, dopóki wszyscy nie opuścili mostka. Śledził na ekranie wizyjnym, jak promy kolejno opuszczają statek-matkę, póki nie odleciał ostatni członek załogi i pozostał tylko Lomax z zastępcą.

Mężczyzna zbliżył się do niego i zasalutował.

- Ewakuacja zakończona, sir.

- Dobrze - powiedział Lomax.

- Teraz zejść na dół i zobaczę, czy zdołam dezaktywować bombę, sir.

- Bądź ostrożny.

- Tak jest, sir.

Mężczyzna odszedł, Lomax zaś zapalił następne cygaro z nadzieją, że Prorokini potrafi patrzeć dość daleko w przyszłość, by wiedzieć, że jego statek jej nie zagraża.

Zastępca powrócił po dziesięciu minutach. Miał zdziwioną minę.

- Sir? - powiedział.

- Tak?

- Wydaje mi się, że bomba działa właściwie.

- Chcesz powiedzieć, że nie jest uzbrojona?

- Owszem, jest... ale wygląda, jakby została uzbrojona umyślnie, z tego miejsca.

- Coś podobnego.

- Tak, sir. Z pańskiej tablicy. Lomax wyciągnął pistolet.

- Powinieneś był opuścić statek ze wszystkimi.

- Nie rozumiem, sir.

- Jesteś dobrym człowiekiem - oświadczył Lomax. - I do-  
prawdy przykro mi, że muszę to zrobić.

Wystrelił. Mężczyzna wydał tylko zaskoczony pomruk i  
zwałił się martwy na pokład.

Następnie, zrobiwszy wszystko co w jego mocy, by prze-  
konać Prorokinię, że jego statek nie ma zamiaru brać udziału  
w skazanej na klęskę bitwie, Lomax rozsiadł się wygodnie w  
oczekiwaniu na wyniki.



W pierwszych trzydziestu sekundach rzekomej bitwy w siedemdziesięciu czterech statkach Namaszczonego całkowicie zawiodły systemy podtrzymywania życia; osiemnaście dalszych zostało zniszczonych, gdy ich bomby, w przeciwieństwie do statku Lomaxa, naprawdę uzbroiły się i wybuchły. Meteoryt zmiotł dalszych dwadzieścia siedem statków. Kometa, szaleńczo odchylając się ze swego odwiecznego kursu, załatwiła dalsze dziewiętnaście. W jednym zawiódł komputer sterujący bronią i zniszczył trzydziestu siedmiu sprzymierzeńców, nim sam został zniszczony.

- Co tam się dzieje? - zapytał Namaszczony z twarzą wykrzywioną z wściekłości i strachu. - Nikt do nas nie strzelał, a jesteśmy dziesiątkowani. - Spojrzał groźnie na błękitno-zieloną planetę Mozart, obracającą się spokojnie na jego ekranie wizyjnym. - Przecież to tylko samotna kobieta! Co się dzieje?

A milion mil niżej Penelopa Bailey, patrząc błędnym wzrokiem w niebo, uśmiechnęła się i szepnęła:

- Jeszcze nie, mój głupcze. Jeszcze nie. Najpierw musisz ujrzeć, jakim szaleństwem było atakowanie mnie. Gdy wszyscy twoi ludzie zostaną zabici, gdy wszystkie twoje statki będą unosiły się martwe w pustce, wtedy zajmę się tobą.

Otrzymał zezwolenie lądowania od znudzonego urzędnika kosmoportu, który nie miał pojęcia, że o milion mil nad jego głową wybuchła wojna, statek Lodziarza opuścił orbitę i zanurkował ku powierzchni Mozarta. Lodziarz nie obawiał się ostrzału wiedząc, na czym polega siła Penelopy. Władzami lokalnymi w ogóle się nie przejmował. Gotów był się założyć, że nikt poza nim nawet nie ma pojęcia, że w górze znajduje się flota Namaszczonego, ani że jest rozbijana w drobny mak.

Znalazłszy się o pięć mil nad powierzchnią nacisnął guzik, wyzwalający trzy spadochrony założone na wypadek, gdyby Penelopa przestała się koncentrować na groźnie uzbrojonych statkach na orbicie i poświęciła mu parę sekund. Ale lądowanie przebiegło bez zakłóceń, Lodziarz przeszedł więc do ładowni swego statku, by przygotować ładunek.

Zmontowanie składników zabrało mu prawie dwadzieścia minut. Następnie przymocował je do luźnej kurtki, nałożył ją i wreszcie opuścił statek.

Urzędnik portowy czekał na niego.

- Witamy na Mozarcie - powiedział.

- Dziękuję - odrzekł Lodziarz.

- Długo nie opuszczał pan statku - kontynuował urzędnik.

- Czy wszystko w porządku? Może potrzebna panu pomoc mechanika?

- Nie - powiedział Lodziarz. - Tylko porządkowałem ładunek.

- Czy będzie panu potrzebne paliwo lub hangar?

- Ani jedno, ani drugie - oświadczył Lodziarz. - Moją sprawę tutaj powinienem załatwić przed zapadnięciem zmro-

ku.

- Jeśli pan nie zdąży, opłata za pozostawienie statku tam, gdzie stoi, wyniesie dwieście kredytów.

Lodziarz sięgnął do kieszeni, wydobył plik banknotów i oddzielił z niego dwa stukredytowe.

- Oto są - powiedział, wręczając je urzędnikowi. - Może mi pan je zwrócić, gdy będę wieczorem odlatywał.

- W czasie, gdy będzie pan przechodził kontrolę celną, wypiszę pokwitowanie - powiedział mężczyzna, wkładając je między stronicę notesiku.

- Gdzie jest urząd celny?

- W wieży na parterze - odrzekł urzędnik, prowadząc Lodziarza do holu wieży kontrolnej i dalej do stanowiska cła. Przy stojąca, umundurowana kobieta podniosła głowę i spojrzała na niego.

- Nazwisko, proszę?

Lodziarz wyciągnął swą tytanową kartę paszportową i położył na biurku.

- Carlos Mendoza.

Kobieta przepuściła kartę przez komputer, poczekała kilka sekund na przeskanowanie siatkówki Lodziarza i potwierdzenie jego tożsamości. Następnie zwróciła paszport Mendozie.

- Czy mogę zapytać, panie Mendoza, jaki jest cel pana wizyty?

- Przybyłem tu, by dokończyć pewien bardzo stary interes - odpowiedział.

- A jak nazywa się osoba, z którą ma się pan spotkać?

- Penelopa Bailey.

Podniosła głowę znad komputera i przyglądała mu się przez chwilę.

- Czy panna Bailey wie, że przybył pan, by się z nią zobaczyć?

- Byłbym bardzo zdziwiony, gdyby nie wiedziała - odpowiedział Lodziarz.

- W porządku, panie Mendoza, ma pan zezwolenie na czternastodniowy pobyt na Mozarcie. Gdyby zamierzał pan zostać dłużej, proszę powiadomić nasze biuro.

- Dziękuję.

- Oficjalną walutą Mozarta jest kredyt Demokracji, ale przyjmujemy także ruble nowostalinowskie, talary Marii Teresy, dolary Nowego Zimbabwe oraz funty Dalekiego Londynu. Jeśli posiada pan inną walutę, proszę ją zgłosić na tym formularzu - wręczyła mu oficjalnie wyglądający dokument - oraz rejestrować wszelkie transakcje wymiany.

Lodziarz wziął formularz, złożył go starannie i wsunął do kieszeni kurtki.

- Witamy na Mozarcie, panie Mendoza - powiedziała. - Dziś temperatura wynosi 28 stopni Celsjusza, co oznacza 542 stopnie Rankina, 22 stopnie Reaumura i 83 stopnie Fahrenheita. Może pan przekonać się, że pańska kurtka okaże się nader ciepła.

- Nie będę jej nosił zbyt długo - odrzekł. - Jak mogę dostać się stąd do miasta?

- Co dwie godziny mamy bezpłatny transport publiczny. - Popatrzyła na zegarek. - Obawiam się, że właśnie się pan spóźnił. Jeśli nie zamierza pan czekać, zwykle przed wejściem do kosmoportu znajduje się kilka samochodów do wynajęcia.

- Dziękuję - powiedział Lodziarz. Odwrócił się i przez maty hol dotarł do głównego wyjścia. Stał tam tylko jeden samochód. Lodziarz wszedł szybko.

- Dokąd? - zapytał kierowca.

- Szukam rezydencji prywatnej - odpowiedział Lodziarz. - Czy ma pan książkę adresową?

Kierowca nacisnął guzik uruchamiający holoelektroekran, uno-

szący się w powietrzu o jakieś dwie stopy od Lodziarza.

- Wystarczy wymienić nazwisko osoby - wyjaśnił kierowca. - Jej adres pojawi się u góry ekranu, zostaną obliczone taryfy za przejazd w jedną lub obie strony i zjawią się w lewym dolnym rogu.

- Penelopa Bailey.

Natychmiast pojawił się adres, po nim zaś mapa, podająca siedem czy osiem dróg dojazdu, komputer wybrał najszybszą, zostawił ją na ekranie i podał opłatę czterdziestu ośmiu kredytów za przejazd w jedną oraz osiemdziesięciu ośmiu w obie strony.

- Wyniosła się na wiochę, no nie? - zauważył kierowca, gdy identyczny ekran pojawił się nad jego tablicą rozdzielczą.

- Tak to wygląda - zgodził się Lodziarz. - Nigdy tu jeszcze nie byłem. Ile czasu zabierze jazda?

Kierowca przyjrzał się mapie.

- Ze dwadzieścia minut, dwadzieścia pięć, jeśli trafimy na korek.

- Korek? Na tej planecie?

- Żniwiarki albo kombajny na drodze, jeżdżące od jednej do drugiej farmy - wyjaśnił kierowca. - Można się przez nie bardzo opóźnić. No to co, jedziemy?

- Tak.

Taksówka ruszyła spod kosmoportu.

- W jedną stronę czy powrotny?

- Wystarczy w jedną - odpowiedział Lodziarz. - Jeśli będę potrzebował przejazdu powrotnego, zadzwonię.

- Proszę zapamiętać mój numer rejestracyjny i poprosić o niego - rzekł kierowca. - Przyda mi się zarobek.

- Zrobię to - zapewnił Lodziarz.

Przez blisko dwadzieścia minut jechali w milczeniu najpierw przez miasto, a potem bocznymi drogami. Wreszcie Lo-

dziarz pochylił się do kierowcy.

- Jak daleko jeszcze?
- Może ze dwie mile.
- Proszę się zatrzymać, gdy będziemy o milę.
- Na pewno?
- Tylko po to, by oszczędzić panu kłopotów z silnikiem.
- Nie mam żadnych.
- Nigdy nic nie wiadomo - stwierdził Lodziarz, wręczając kierowcy banknot stukredytowy.

- Pan płaci, pan wymaga - odrzekł wzruszając ramionami kierowca.

W chwilę później samochód zwolnił, zatrzymał się na poboczu i Lodziarz wysiadł.

- Jeśli mapa się zgadza, powinno to być zaraz za najbliższym zakrętem - oznajmił kierowca. - Na pewno nie chce pan, bym poczekał?

- Na pewno.

- Dobra. Z tego, co słyszałem na mieście, bardzo dziwnej pani składa pan wizytę. Nie wiem, jaki pan ma do niej interes, ale życzę szczęścia.

- Dzięki - odpowiedział Lodziarz. - Zapewne będzie mi potrzebne.

Taksówka zawróciła i odjechała w stronę kosmoportu. Lodziarz ruszył skrajem pola zmutowanej kukurydzy do domu Penelopy Bailey. Gdy wreszcie dostrzegł szczyt kopuły geodezyjnej, zatrzymał się, zapalił cygaro, poczekał na przyjemność smakowania pierwszego pociągnięcia, a następnie ruszył w dalszą drogę i po pięciu minutach dotarł do miejsca przeznaczenia.

Podszedł do drzwi od frontu, stwierdził, że są zamknięte, a ponieważ nie był już w formie pozwalającej je wyważyć czy wyrwać, ostrożnie okrążył dom. Za nim ujrzał młodą blondynkę, stojącą plecami do niego, obok małego stawku, ze wzro-

kiem wlepionym w niebo. Co kilka sekund zmieniała pozę.

- Witaj, Lodziarzu - powiedziała nie odwracając się do niego. - Długo czekałam na tę chwilę.

- Nie wątpię - odrzekł Lodziarz zatrzymując się tuż za nią.

- Zostało mi do zniszczenia jeszcze tylko czterdzieści statków - oznajmiła - a potem zajmę się już wyłącznie tobą. - Zamilkła na chwilę, a potem zaczęła wyliczać: - Teraz dwadzieścia trzy, teraz już siedemnaście. - Bardzo jesteś sprytny, że tu dotarłeś.

- Miałem szczęście.

- Miałbyś jeszcze większe, gdybyś zdecydował się pozostać na własnej planecie - odpowiedziała, ciągle stojąc bez ruchu. - Jedenaście, teraz już tylko siedem, teraz cztery. A teraz został już tylko Namaszczony. - Wreszcie odwróciła się do Lodziarza. - Czy pozwolimy mu żyć jeszcze trochę, by pojął cały zakres swej klęski?

- Dla mnie to nieistotne - oświadczył Lodziarz.

- No, oczywiście - potwierdziła. - Mojżesz Mahomet Chrystus nie obchodzi cię ani trochę bardziej, niż mnie. - Rzekła i spojrzała Lodziarzowi w oczy. - Więc wszystko sprowadza się do nas dwojga, zawsze wiedziałam, że tak będzie.

**31**

Lodziarz wpatrzył się w stojącą przed nim młodą kobietę.

- Byłaś wzruszającą małą dziewczynką, Penelopo - powiedział, myśląc o ich pierwszym spotkaniu. - Małą, przerażoną, wystawioną na niebezpieczeństwa. Powinienem cię wówczas zabić. Uśmiechnęła się.

- Nie zdołałbyś.

- Zapewne - przyznał. - Nawet wówczas potrafiłaś się obronić. - I nadal potrafię - odpowiedziała. - Z latami stałam się silniejsza.

- Oboje wyrośliśmy, Penelopo - rzekł Lodziarz, patrząc jej w oczy. - Ty stałaś się silniejsza, ja mądrzejszy.

- Dość mądry, by mnie zabić? - zapytała rozśmieszona.

- Tak sędzę - odparł z powagą.

Roześmiała się głośno.

- By cię zniszczyć, nie potrzebuję nawet moich zdolności. Nie stałeś się mądrzejszy, tylko starszy. Jesteś starym, kulawym grubasem. Sam wysiłek przejścia ostatniej mili do mego domu wystarczył, byś się zadyszał i spocił. Serce bije ci szybciej, krew krąży wartko, z trudnością chwytasz oddech. Mogłabym zabić cię gołymi rękami, Lodziarzu.

- Spójrz w przyszłość i zobacz, co nastąpi, jeśli to zrobisz - zaproponował Lodziarz.

- Umrzesz. - Ale nie sam.

- Oczywiście masz na myśli swoją kurtkę.

- Jeśli mnie uderzysz albo strzelisz do mnie, upadnę. A jeśli upadnę, wszystkie mapy Mozarta w pół sekundy później okażą się przestarzałe. Mam na sobie dość materiałów wybuchowych, by tu pojawiło się centrum dwudziestomilowego kra-



teru.

Wpatrzyła się w niego.

- A więc pięć milionów ludzi zginęło dzisiaj tylko po to, by umożliwić ci podejście do mnie z twymi planami i materiałami wybuchowymi? I ty nazywasz mnie potworem?

- Niczym cię nie nazywam, Penelopo - oświadczył. - Nie jestem twoim sędzią, lecz wykonawcą wyroku.

- I doprawdy spodziewasz się, że to będzie takie proste? - zainteresowała się. - Oczekiwałeś, że nie znajdzie się ani jedna możliwość, w której twoje przełączniki nie zdołają uruchomić materiałów wybuchowych?

Lodziarz poczuł, jak nagle ściska mu się żołądek.

- Blefujesz - powiedział z większą pewnością siebie, niż czuł. Pogodnie potrząsnęła głową.

- Nigdy nie potrzebowałam blefować. Mogłam wyłączyć twoją bombę, gdy tylko chciałam.

- Ale nie zrobiłaś tego? - zapytał marszcząc brwi.

- Nie, Lodziarzu, nie zrobiłam. - Patrzyła na niego przez długą chwilę. - Jesteś gotów umrzeć dzisiaj, prawda?

- Jestem.

- Ja także - oświadczyła. - Nasza śmierć jest spleciona tak jak nasze życie. Ale najpierw chciałam z tobą porozmawiać. Zdziwił się.

- O czym chcesz rozmawiać?

- Och, o wielu rzeczach - odpowiedziała. - To dziwne, wiąże mnie z tobą nienawiść, ale jestem także ci bliższa, niż ktokolwiek z żyjących. I ty jeden nigdy nie kłamałeś. Groźba inwazji już nie istnieje. Mamy czas do końca życia, by rozmawiać. - Uśmiechnęła się ironicznie. - A ja chcę ci zadać kilka pytań.

- Jakich pytań? - zapytał podejrzliwie.

- Prosty.

- Zgoda - powiedział.

- Czemu wszystkie żywe istoty unikają mnie? - spytała. -

Nie tylko ludzie, ale nawet zwierzęta. Nawet szczeniaki.

Pytanie zaskoczyło Lodziarza na moment. Nie spodziewał się czegoś takiego. Wreszcie odezwał się:

- Bo jesteś inna - odpowiedział. - Bo nie jesteś już Człowiekiem.

- Ludzie nie unikają kalek ani zgrzybiałych, zapóźnionych w rozwoju czy zdeformowanych - rzekła Penelopa. - Przyjmują ich na łono rodziny i otaczają miłością i współczuciem. Czemu ze wszystkich synów i córek twej rasy ja jedna stałam się wyrzutkiem?

- Bo żaden z nieszczęśników, z którymi się porównywałam, nie posiada zdolności niszczenia dla kaprysu całych planet. Nie tylko posiadasz tę zdolność, lecz ją także wykorzystujesz,

- Tylko w obronie własnej. Czy wiesz, że od dnia, gdy Mysz umarła dwadzieścia lat temu, nie dotknęła mnie żadna istota ludzka? Ani jedna.

- Nie - powiedział Lodziarz. - Tego nie wiedziałem.

- Kociaki syczą, a szczeniaki chowają się przede mną - kontynuowała. - Ptaki odlatują. Nawet gady w moim ogrodzie odpędzają, gdy się pokazują.

- Nie mam lepszej odpowiedzi - rzekł ze skrępowaniem. Do jego uszu doleciał odgłos traktora, pracującego na pobliskim polu. - Czy masz jeszcze jakieś pytania?

- Nienawidziłeś mnie od pierwszego naszego spotkania - powiedziała. - Dlaczego? Co ci kiedykolwiek zrobiłam?

- Wcale nie czuje do ciebie nienawiści, Penelopo - odrzekł.

- Nie można nienawidzić burzy jonowej zagrażającej twemu statkowi czy roju meteorytów, bombardujących twą planetę. Gdy jest się w dżungli, nie można nienawidzić drapieżców,

skradających się ku tobie w nocy. Żadne z nich nie jest dobre ani złe. Są to po prostu naturalne niebezpieczeństwa, które trzeba zwalczyć, by żyć. Nie czuję wobec ciebie żadnej nienawiści. Nie mam żadnej urazy. Obwiniam cię tylko za jedno: za śmierć Myszy.

- Zdradziła moje zaufanie.

- Byłaś dzieckiem - odpowiedział. - Nie okazałaś się dość przenikliwa. Nie umiałaś w pełni pojąć, co się działo. - Zamilkł na chwilę. - Kochała cię jak własną córkę. Jediną przyczyną jej śmierci było to, że nigdy w pełni nie zrozumiała, kim jesteś. Myślała, że cię chroni przed śmiercią, jakby ciebie można było zastrzelić tak jak każdego zwykłego człowieka.

Penelopa zamilkła.

- Od dawna nie myślałam o Myszy - odezwała się wreszcie. - Ja myślę o niej każdego dnia - rzekł Lodziarz.

- Jej śmierć sprawiła ci aż tyle bólu?

- Tak.

- Więc odpłaciłam ci za część bólu, który ty mi zadałeś. Spojrzał na nią i nie odpowiedział.

- Czy ona naprawdę mnie kochała? - spytała po krótkim milczeniu Penelopa.

- Tak było.

- Zastanawiam się, czy ktokolwiek jeszcze mnie pokocha - zadumała się Penelopa.

Lodziarz potrząsnął głową.

- Nie, nikt.

- Wiem - odpowiedziała. - A czy ty wiesz, co to znaczy stać w obliczu przyszłości, w której ani jeden człowiek nigdy cię nie pokocha? Przyszłości, w której każdy ucieka od ciebie, jakbyś była jakąś bestią, której trzeba unikać?

- Nie - odrzekł. - I nie zazdrozczę nikomu, kogo to spotyka.

- Nigdy nie prosiłam o ten dar, Lodziarzu - powiedziała. - Zawsze chciałam być tylko normalną dziewczynką, bawiącą się z innymi dziewczynkami, mieszkającą z moją rodziną. - Zamilkła na chwilę, pogrążywszy się we wspomnieniach. - Moja własna matka była mną przerażona. Gdy miałam sześć lat zabrali mnie i zabili mi ojca, który próbował zapobiec nieszczęściu. Czy wiesz, Lodziarzu, ile razy od tamtej pory bawiłam się z dziewczynkami w moim wieku?

- Nie.

- Jednego popołudnia, gdy wraz z Myszą chowałyśmy się przed tobą - powiedziała gorzko. - Przez jedno popołudnie w całym moim życiu! - Nagle westchnęła. - Zawsze będą ode mnie uciekać, prawda?

- Małe dziewczynki? - zapytał zakłopotany.

- Wszyscy.

- Tak, przypuszczam, że tak będzie.

Podniosła wzrok na niego i na jedną chwilę jej pozbawiona uczuć, nieludzka maska zniknęła.

- Myślałam, że uciekam z Westerly, Kalliope, Przystani Śmierci i Hadesu - powiedziała - ale naprawdę nigdy nie było żadnej ucieczki, prawda? Mozart to tylko cela więzienna, większa od tej, jaką miałam na Hadesie, a Galaktyka to tylko cela większa od Mozarta.

- Nie możesz uciec od tego, kim jesteś - odrzekł.

- Powiem ci coś interesującego, Lodziarzu.

- Mianowicie?

- Ze wszystkich ludzi, których spotkałam od czasu opuszczenia Hadesu, tylko ty patrzysz na mnie bez obrzydzenia. Ze strachem, tak, bo powinieneś, i z drżeniem, ale bez wstrętu.

- Nie czuję do ciebie wstrętu - stwierdził Lodziarz.

- Czuli go wszyscy inni mężczyźni i kobiety. Widziałam go nawet na twarzy Czarnej Śmierci i w oczach twego młodego

szpiega. - Westchnęła. - Widziałam go każdego dnia w życiu, nawet w oczach mojej własnej matki.

- Przykro mi - powiedział szczerze Lodziarz.

- Uważasz mnie za potwora - kontynuowała. - Ale patrzysz z zewnątrz. Wierz mi, Lodziarzu, nieskończenie gorzej jest być Penelopą Bailey, niż bać się jej. Przez sam fakt mego istnienia wzbudzam nienawiść i przerażenie. Jestem więźniem, jak zawsze byłam, schwytana w pułapkę mego ciała tak, jak moje ciało było schwytane w małej celi na Hadesie. Jedynym moim pocieszeniem był Plan.

- Plan? - powtórzył.

- Pracowałam nad nim od lat - powiedziała. - Zaczął się rysować w moim umyśle, gdy byłam w celi na Hadesie. I zaczęłam wprowadzać go w życie od chwili, gdy odzyskałam wolność.

- Czego on dotyczy? - zapytał Lodziarz. - Kontroli nad Demokracją? Obalenia jej?

- Nawet teraz, w ostatnim dniu naszego życia, podczas całej tej rozmowy nie zaczęłaś mnie rozumieć - stwierdziła Penelopa. - Nie mam chęci, by rządzić kimkolwiek. Nie mam armii, nie kontroluję żadnych polityków, nie zgromadziłam nieopisanych bogactw.

- Więc co to jest za Plan? - nie ustępował. Spojrzała na niego spokojnym wzrokiem.

- Po prostu to - odrzekła - aby żadne dziecko nigdy już nie dźwigało przekleństwa prekognicji. Istnieje około trzech setek mężczyzn i kobiet, zdolnych genetycznie do splodzenia następnej Wróżbiarki, następnej Wyroczni, następnej mnie. Manipulowałam zdarzeniami, umacniałam i niszczyłam gospodarki planetarne, zmieniałam całe systemy polityczne, by zapewnić, aby żadne z owych trzech setek ludzi nie spotkało się wzajemnie. Taki jest mój dar dla twojej Galaktyki, Lodziarzu. A co waż-

niejsze, mój dar dla nie narodzonych. Żadne już dziecko nie będzie odcięte od swego gatunku tak, jak ja byłam.

Odpowiedział jej spojrzeniem.

- Jesteś gotowa umrzeć, prawda?

- Wkrótce - odrzekła. - Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia. - Na moment zamknęła oczy, a potem otworzyła je. - Pozwoliłam Mojżeszowi Mahometowi Chrystusowi, by żył i dalej walczył. Dzięki swej klęsce dzisiejszego ranka nie będzie już miał wpływu na urzeczywistnienie Planu. - Wzruszyła ramionami. - Niech twoja nadęta Demokracja sama przekona się, czy on zasługuje na to, by rządzić, czy też jest tak zepsuty, że jego czas przeminął.

- Nie znasz odpowiedzi?

- Odpowiedź już mnie nie interesuje - powiedziała. Nagle przeszła obok niego, okrążyła staw i weszła do domu. W chwilę później wynurzyła się stamtąd, tuląc jedną ręką coś małego i kosmatego.

- Zdaje mi się, że pamiętam tę lalkę - powiedział Lordziarz. Potrząsnęła głową.

- To nowa. Tamta, którą pamiętasz, rozleciała się, gdy byłam w więzieniu na Hadesie. I oczywiście nie zażądałam nowej, bo dorosłe kobiety nie obsypują pieścizotami lalek. - Westchnęła. - A z biegiem czasu dowiedziałam się tego, co inni zawsze wiedzieli: że nie jestem kobietą. - Znów na niego spojrzała. - Myślę, że już czas.

Wydobył pistolet z kabury i wycelował w Penelopę.

- Zmów modlitwę do twego Boga - powiedziała spokojnie. - Skok energii, gdy pociągniesz za spust, uruchomi twoje materiały wybuchowe.

- Chwileczkę - sprzeciwił się. - Jest lepszy sposób.

- Myślałam - odrzekła - że jesteś gotów umrzeć. Mam

nadzieję, że nie kłamałeś, bo żadne z nas nie przeżyje dzisiaj-szego dnia.

Ostrożnie wyciągnął z kamizelki maleńki ładunek i przymocował do zasilacza swej broni.

- Pozwól, że zdejmę kurtkę i rozbroję ją - powiedział. - Czemu miałabym pozwolić?

- Ta bomba wystarczy, by zabić nas oboje. Jeśli wybuchnie kurtka, zmiecie dziesięć tysięcy ludzi.

- Cóż oni dla mnie znaczą? - spytała Penelopa.

- Pozwól, że to zrobię, bo w innych okolicznościach mogliby dla ciebie coś znaczyć.

Przez długą chwilę zastanawiała się nad jego prośbą, wreszcie skinęła głową.

Rozbroił kurtkę i wszedł do domu, by ostrożnie ułożyć ją na kanapie. Następnie wrócił nad staw, gdzie czekała na niego Penelopa.

- Celuj prosto i dokładnie, Carlosie Mendozo - powiedziała.

- Po to tu przyjechałem - odrzekł, unosząc pistolet i celując w jej serce.

Nagle zamarł.

- Mam pytanie - oświadczył. - Jesteś zapewne jedyną osobą w dziejach ludzkości, która może potrafi na nie odpowiedzieć.

- Jakie?

- Czy potrafisz dostrzec inne życie poza tym?

- Mam nadzieję, że nie - odparła z dreszczem wstrętu.

Lodziarz pociągnął za spust.

Przed wyrzuceniem za burtę trupa swego zastępcy Lomax odczekał, póki statek flagowy Namaszczonego nie wycofał się na Nową Gobi, porzucając swych niezdolnych do walki towarzyszy. Potem, ponieważ był człowiekiem ostrożnym, absolutnie zdecydowanym przeżyć, czekał jeszcze kilka godzin. Wreszcie poprosił o pozwolenie i wylądował w maleńkim kosmoporcie o jakieś dwieście jardów od statku Lodziarza.

Kilka minut zajęło mu przejście przez urząd celny, następnie załatwił paliwo dla statku i umieścił go w hangarze. Za wieżą kontrolną oczekiwało kilka samochodów. Wsiadł do pierwszego z brzegu.

- Dokąd? - spytał kierowca.

Z komputerowej książki Lomax wybrał adres Penelopy Bailey.

- Wczoraj woziłem tam kogoś - zauważył kierowca.

- Starszego faceta z kulawą nogą? - zapytał Lomax. -  
Właśnie jego.

- Nie wiesz, czy wrócił?

- Jeśli to zrobił, to nie wynajął w tym celu wozu - odpowiedział kierowca.

Lomax sprawdził swój pistolet laserowy upewniając się, że ma pełny ładunek.

- Czy coś ci powiedział? - zainteresował się.

- Tyle tylko, że ma do załatwienia sprawę osobistą - rzekł kierowca. - Ale zabawne: kazał mi wysadzić się o jakąś milę od celu podróży. Wydaje mi się, że miał ochotę na spacer.

- Zapewne - powiedział wymijająco Lomax.

Resztę drogi przebyli w milczeniu, póki nie ukazała się geodezyjna kopuła.



- No to jesteśmy na miejscu - oświadczył kierowca. - Pan też należy do spacerujących?

- Nie, lubię wygodę.

W chwilę później samochód podjechał pod dom.

- Mam czekać na pana?

- Chyba lepiej nie - odpowiedział Lomax. - Zatelefonuję, jeśli będę cię potrzebował.

Wysiadł z samochodu i podszedł do frontowego wejścia. Było zamknięte, a system bezpieczeństwa, który go nie rozpoznał, odmówił wpuszczenia go do środka. Wobec tego ostrożnie udał się na tył domu.

Koło stawu znalazł to, co z nich zostało. Niewiele, lecz dość, by ich zidentyfikować. Tylne wejście do domu było otwarte, wewnątrz zaś znalazł kurtkę Lodziarza wyładowaną materiałem wybuchowym. Mimo wszelkich starań nie potrafił zrekonstruować, co tu się wydarzyło, choć wynik końcowy był oczywisty dla każdego.

Za krzakami odnalazł komórkę na narzędzia, wyłamał zamek do drzwi, strzałem laserowym uciszył włączającą się syrenę alarmową i zaczął przeszukiwać budyneczek, póki nie znalazł szpadla. Wybrał cieniste miejsce pod ogromnym drzewem przy stawie, wykopał płytki grób i pogrzebał ich doczesne szczątki.

Potem zastanawiał się, jak je oznaczyć. Wątpił, by którekolwiek z nich życzyło sobie symbolu religijnego, on zaś nie zamierzał pozostawać na Mozarcie, póki nie zostanie wykonany i ustawiony nagrobek. I wtedy jego spojrzenie padło na coś małego i kosmatego, leżącego na ziemi. Podszedł i podniósł przedmiot. Były to poszarpane szczątki małej lalki.

Starł sobie wyobrazić, co lalka mogła mieć wspólnego z którymkolwiek z nich, aż wreszcie wzruszywszy ramionami prze-

stał o tym myśleć. Nie miało to znaczenia. Jeśli nie brać pod uwagę kurtki, zbyt niebezpiecznej, by ją tu zostawiać, lalka była jedynym przedmiotem, którym mógł oznaczyć grób.

Tak więc nadział ją na krótką gałązkę, którą wbił w ziemię..

Wiedział, że jak na znak pamięci nie jest to wiele, ale więcej w obecnych warunkach nie mógł zrobić. Wszedł do domu, przez wideotelefon wezwał taksówkę i w dwadzieścia minut później mknął do kosmoportu.

# **EPILOG**

Upłynęło pięć miesięcy i Lomax znalazł się, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, na Słodkowodnej, gdzie robot podał mu koktajl.

- To wszystko, Sidney - powiedział Robert Gibbs, robot zaś skłonił się i opuścił pokój.

- Dobrze, panie Gibbs - rzekł Lomax. - Sprowadził mnie pan tutaj. Więc może powie mi pan, o co w tym wszystkim chodzi.

- O zwariowanego fanatyka, zwanego Namaszczonym - odpowiedział Gibbs - człowieka, z którym, jak sądzę, był pan dawniej związany.

- A konkretnie?

- Chcemy go.

- My? - powtórzył Lomax.

- Demokracja - odrzekł Gibbs. - Zostałem przywrócony do służby i powierzono mi mój dawny departament, choć tymczasem zezwolono mi działać z mego domu.

- No to niech Demokracja złapie go sama - odpowiedział Lomax.

- On sądzi, że nie żyję, i jeśli o mnie chodzi są to zdrowe stosunki.

- Nie uważam, by rozumiał pan powagę sytuacji, panie Lomax

- nalegał Gibbs. - Ten człowiek zagraża istnieniu naszego rządu.

- To tylko człowiek - odparł spokojnie Lomax. - Już przeżyliście najpoważniejszą groźbę, z którą się kiedykolwiek zetkniecie.

- Przepraszam?

- Penelopę Bailey. Gibbs potrząsnął głową.

- Ona nie żyje od czterech lat. Zginęła, gdy Alfa Crepello III została zniszczona.

- Zginęła pięć miesięcy temu, gdy jednonogi starzec dopadł ją i zabił.

- Mówi pan o Mendozie? - zapytał wstrząśnięty Gibbs. - On nie żyje?

Lomax skinął głową i łyknął drinka.

- On nie żyje. I ona też.

- Ale życie toczy się dalej, panie Lomax, i życie większej liczby ludzi niż może pan sobie wyobrazić jest zagrożone przez człowieka, zwanego Mojżeszem Mahometem Chrystusem.

- Przeżył pan ją - stwierdził Lomax. - Przeżyje pan i jego. - Jestem gotów zaoferować pięć milionów kredytów za pańskie usługi - powiedział Gibbs. - Jedną trzecią teraz, reszta po wykonaniu pana misji.

- Nie jestem zainteresowany.

- Więc po co pan tu przybył? - zapytał Gibbs. - Musiał pan wiedzieć, jakiego rodzaju propozycję panu złożę?

- Chciałem tylko zobaczyć człowieka, który to wszystko zaczął.

- Co wszystko?

- Porwał pan Penelopę Bailey, gdy miała sześć lat - rzekł Lomax. - Nie nazywał się pan wówczas Robert Gibbs, ale to był pan. - Zamilkł na chwilę. - Wie pan, gdyby dał jej pan spokój albo podjął wysiłek, by pozyskać jej zaufanie, nie musiałby pan zależeć od ludzi takich jak Lodziarz czyja, by wykonywali brudną robotę. Mogła podać wam wyniki wszelkich wyborów, przepowiedzieć rezultaty każdej bitwy, a gdyby nie podobał się wam przebieg wypadków, znalazłaby sposób, by go zmienić. Mogliście mieć to wszystko, ale ponieważ nigdy nie nauczył się pan sekretu kija i marchewki, pozwoliliście, by się wam to wszystko wymknęło.

- Jeśli była tak nieomylna - zadrwił Gibbs - jak Lodzia-

rzowi udało się ją zabić?

- Nie sądzę, by to zrobił - odparł w zamyśleniu Lomax. - Myślę, że po prostu zmęczyła się walką... tak jak ja.

- Pan się nie wycofuje - powiedział Gibbs. - Ludzie tacy, jak pan i Carlos nigdy się nie wycofują.

- Nie, nie wycofuję się - potwierdził Lomax. - Ale nie chcę walczyć w pańskich bitwach, panie Gibbs. Jeśli kiedykolwiek będzie miał pan z kimś na pieńku, wie pan, gdzie mnie znaleźć. Ale proszę nie oczekiwać, że podejmę walkę z każdym wrogiem, którego Demokracja stworzyła sobie przez swą arogancję lub głupotę.

- Do diabła, nie my stworzyliśmy Namaszczonego czy tę Bailey! - warknął Gibbs.

Lomax westchnął.

- Panie Gibbs, stworzyliście wszystkich wrogów, których mieliście kiedykolwiek.

- Był pan z Namaszczonym, rozmawiał z nim, widział go w działaniu! - kontynuował Gibbs. - Z pewnością rozumie pan, że on musi zostać wyeliminowany!

- Jest fanatykiem religijnym i zapewne w takim stopniu żadnym władzy, jak pan sądzi - zgodził się Lomax i uśmiechnął się. - Wie pan, kogo on mi przypomina?

- Penelopę Bailey?

- Nie, panie Gibbs - odpowiedział Lomax. - On przypomina mi pana i mówię: syf na oba wasze domy. - Odstawił swego drinka. - A teraz, jeśli mi pan wybaczy, mam coś ważnego do roboty.

- Nie może pan stąd tak wyjść!

- Oczywiście mogę - oświadczył Lomax. - Gdzieś daleko, na planecie, o której nigdy pan nie słyszał, jest grób, oznaczony tylko szmacianą lalką. Dla pana to nie ma znaczenia, już nie,

ale ja właśnie mam postawić tam nagrobek.

- Siedem milionów! - powiedział Gibbs. Lomax uśmiechnął się i poszedł do drzwi.

- Wróci pan - powiedział ufnie Gibbs. - Carlos zawsze wracał i pan zrobi tak samo.

- Ma pan wrogów, panie Gibbs - odrzekł Lomax. - Myślę, że lepiej będzie dla pana nie oczekiwać mego powrotu.

I już go nie było.